tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 44 (1399)
26.10-1.11.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Szymon Zdziebłowski
Bogowie i słowiańskie bóstwa

Prof. Michał Wenzel
Strachy na Lachy

Biskup Andrzej Jeż
przed sądem

Jacek Pałkiewicz
Szanghaj – symbol chińskiego triumfu

DŁUGOWIECZNOŚĆ
SZANSA CZY ILUZJA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 818f3ad50a

DKMS

POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

dkms.pl



Dzień Dawcy szpiku w Twoim miejscu pracy

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem czyjejś szczęśliwej historii – zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Z Fundacją DKMS to proste!

- Profesjonalne wsparcie organizacyjne
- Rejestracja pracowników w biurze – szybko i sprawnie
- Możliwość rejestracji online – w kilka minut, z dowolnego miejsca

Zeskanuj QR kod i dowiedz się więcej

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!

Fundacja DKMS, ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa | T +48 22 882 94 00 | kontakt@dkms.pl • dkms.pl

eprasa.pl 818f3ad50a



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Czerwone błyskawice ciągle czekają

Żałosna awantura organizowana przed Trybunałem Konstytucyjnym przez zawodowy aparat PiS i zdesperowanych ucieczką widzów pracowników stacji Republika ma sprowokować władzę do wielkiej burdy z udziałem policji.

Trybunał to jeden z ostatnich przyczółków potężnej kiedyś władzy. Partia Kaczyńskiego będzie go bronić desperacko. Chowając się za plecami ludzi z krzyżami, którzy myślą, że idą na wojnę, bo przecież prezes Kaczyński krzyczał do nich, że „rządzi nami jakaś ponura banda, ponury gang". Jeśli na te paranoiczne słowa do obrony Trybunału stanęło ledwie kilkaset osób, oznacza to, że prezes ciągle największej partii opozycyjnej żyje już w rzeczywistości alternatywnej. Nerwy i wybuch słabo kontrolowanych emocji nie są chyba tym, czego od Kaczyńskiego oczekują wyborcy, którzy jeszcze nie chcą się żegnać z PiS. Choć i oni widzą, że w tym, co robi, jest tylko jeden cel: wywołać jak największą awanturę i oskarżyć o nią koalicję i Tuska.

Czas pracuje na korzyść nowo wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, w tym także Macieja Berka. Kompetencją i kulturą bycia deklasują Bogdana Święczkowskiego. Jak można na serio traktować człowieka, który mając na koncie tyle poważnych zarzutów, ciągle powtarza, że boi się tylko „Pana Boga i sądu ostatecznego". Powinien dorzucić jeszcze prezydenta Nawrockiego, bo przecież do niego biega po decyzje. Przyjazd Nawrockiego do Trybunału potwierdził, że w tej sprawie jest stronniczy do bólu. I że rozumie jak niebezpieczny może być dla niego dobrze funkcjonujący Trybunał.

To byłby koniec z dyspozycyjnością sędziów na telefon. W sprawie Trybunału Nawrocki pokazał, że stanie na straży konstytucji w jego wydaniu oznacza dolewanie benzyny do ognia. Byle tylko zaszkodzić rządowi. To, nawet dla niego, jest polityka samobójcza. Większość jego wet ma bardzo negatywne konsekwencje dla zwykłych ludzi. A to, co wyprawia w sprawie kryptowalut – ma podtekst kryminalny.

Minęło 10 lat od pierwszej fali Czarnych Protestów. W ramach Ogólnopolskiego Strajku Kobiet manifestacje objęły 147 miast, w tym wiele małych miejscowości. Pod wpływem tak wielkiej skali protestów Sejm wycofał się z prac nad całkowitym zakazem aborcji oraz karania więzieniem kobiet i lekarzy. W październiku 2020 r., w proteście przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, zobaczyliśmy czerwone błyskawice i ośmiogwiazdkowe hasła. W marszu na Warszawę poszło ok. 100 tys. osób.

Przypominam o tym, bo w sprawach aborcji ciągle jest w Polsce wiele gniewu i frustracji kobiet. Ale oczywiście nie tylko ich. Jeśli koalicja chce obronić swoją pozycję i wygrać wybory, musi zrealizować większość ówczesnych postulatów. Jeśli tego nie zrobi, to już może się pakować. Wiem, że tych ustaw Nawrocki nie podpisze. Wtedy zobaczy demonstracje z bliska. Miło nie będzie.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 818f3ad50a

W NUMERZE

KRAJ
8 **Śmierć była bliżej życia**
– rozmowa z Szymonem Zdziebłowskim
15 **Strachy na Lachy**
– rozmowa z prof. Michałem Wenzlem
18 **Ofiara losu**
Jaki wyrok usłyszy bp Andrzej Jeż?
20 **Polskie górnictwo**
Likwidacja zamiast naprawy
24 **PKB nie ogrzeje mieszkania**
ani nie zapełni lodówki
Skrajne ubóstwo w Polsce nie zmalało

ZDROWIE
11 **Długie życie na receptę**
Miliardy inwestowane w długowieczność

OPINIE
28 **Andrzej Wilk**
Polski Październik 1956
32 **Piotr Kimla**
„Naiwność" Bolesława Prusa

ZAGRANICA
34 **Republika w ogniu**
Korespondencja ze Strasburga
38 **Albania nie jest na sprzedaż**
Korespondencja z Tirany

HISTORIA
42 **Pyrrusowe zwycięstwo**
Czym były wybory 2001 dla lewicy

KULTURA
46 **Zbrodnia założycielska Europy**
„Oresteja" w Teatrze Narodowym
48 **Chodzenie zaspokaja ciekawość**
– rozmowa z Agatą Romaniuk
53 **Qulturalia**
66 **Utracone / Odzyskane. Oblicza kobiet**

SPORT
54 **Tęsknota za lagą**
Kluby wciąż w rolach Świętych Mikołajów

OBSERWACJE
56 **Szanghaj – najbardziej spektakularny**
dowód chińskiego sukcesu

ZWIERZĘTA
60 **Ptaki w obiektywie Piotra Czułowskiego**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Czerwone błyskawice ciągle czekają
7 **Jerzy Bralczyk**
Językowe uzbrojenia
27 **Jan Widacki**
Konstytucyjne gry i zabawy
31 **Andrzej Romanowski**
Tryptyk warmiński. III. Krasnoludki
37 **Roman Kurkiewicz**
Jak nie rozumieć protestów
41 **Tomasz Jastrun**
Oblężenie Trybunału
59 **Wojciech Kuczok**
Wybory półgłówkowe

34
ZAGRANICA



REPUBLIKA W OGNIU
Korespondencja ze Strasburga



60
ZWIERZĘTA

PTAKI W OBIEKTYWIE PIOTRA CZUŁOWSKIEGO

66
GALERIA



UTRACONE / ODZYSKANE OBLICZA KOBIET



Ilustracja: Iza Mierzejewska

eprasa.pl 818f3ad50a


Obok siebie

Ukraińska młodzież, z którą pracowałem, szybko opanowała nasz język ojczysty. Pochodzę z okolic Przemyśla, więc z językiem ukraińskim mam kontakt od dawna. Nie jest mi obcy. To podobne do siebie języki. Zawsze podkreślam, że największym problemem w relacjach polsko-ukraińskich jest nierozliczona historia. Trzeba wiele spraw wyjaśnić, przeprowadzić uczciwe ekshumacje i starać się unormować wzajemne stosunki. Dużym problemem jest także gloryfikacja na Ukrainie postaci odpowiedzialnych za zbrodnie na obywatelach II RP. Jednak nie mogę nie wspomnieć o tym, że w Polsce również jest problem w odniesieniu do niektórych tzw. żołnierzy wyklętych. Ani faszyści z UPA, ani niektórzy polscy „niezłomni" nie są przykładami ludzi wyznających zasadę chrześcijańskiej miłości bliźniego, a tym bardziej bliźniego słowiańskiego. Gloryfikacja tych ludzi jest nieporozumieniem i głupotą.

Damian Paweł Strączyk

•

Dzieci doznają przykrości i szykan z wielu powodów: bo są rude, bo są grube, bo są zezowate, bo mają krzywe zęby, bo seplenią, są ze wsi, są biedne, nieśmiałe… Do jutra można by wymieniać. Bez względu na przyczynę (czy może raczej pretekst) dla szykanowanego jest to zawsze sytuacja nieprzyjemna i dotkliwa. Tymczasem z ogółu niewłaściwych zachowań wobec bliźnich wyłuskuje się z jakichś powodów wyłącznie te, które dotyczą czyjejś narodowości, koloru skóry czy upodobań seksualnych. Najwyraźniej tylko szykany na wymienionym tle zasługują na moralne wzmożenie i potępienie. A właściwie dlaczego? Identyczna wybiórczość panuje w innych obszarach. Na przykład w sporcie: jeden zawodnik może naurągać drugiemu najbardziej obelżywymi słowy i włos mu za to z głowy nie spadnie. Ale niech tylko spróbuje w zapalczywej wymianie zdań na boisku rzucić słówko za dużo na temat karnacji rywala, a natychmiast przerywa się mecz i wszelkie możliwe instancje podrywają się na równe nogi, by ukarać słownego złoczyńcę. Strasznie wybiórcze przewrażliwienie nastało nam ostatnimi czasy.

Raphael Wagner

Ściganie uciekających wyborców


ŚCIGANIE UCIEKAJĄCYCH WYBORCÓW

O prawach socjalnych i szokującym przekonaniu Amerykanów, że „wszystkie kraje europejskie są z definicji komunistyczne albo przynajmniej socjalistyczne", pisał w „Przeglądzie" Andrzej Szahaj (nr 46/2024). A kiedy przeczytałem, że „są Amerykanie, którzy swój gigantyczny dług studencki spłacają niekiedy i do emerytury" (nr 15/2024), o czym pisała Eliza Sarnacka-Mahoney, to jestem zadowolonym Europejczykiem.

Józef Brzozowski

•

I nadal wielkie rzesze walczą o ten kapitalizm, nie dopuszczając do siebie myśli o tym, że życie w otoczeniu ludzi, którzy mniej się męczą i mniej szarpią z rzeczywistością, pozytywnie wpływa na samopoczucie, zadowolenie i dobrostan wszystkich. Niestety, w kraju zbudowanym na idei samowystarczalności i egoizmu ekonomicznego najtrudniejszą rzeczą na świecie jest przekonanie ludzi do pracy na rzecz wspólnego dobra.

Eliza Sarnacka-Mahoney

ZDJĘCIE TYGODNIA



Protest „Czerwona kartka za aborcję". Ogólnopolska akcja protestacyjna, w której uczestnicy żądają liberalizacji prawa aborcyjnego, okazując jednocześnie swoje rozczarowanie działaniami koalicji rządzącej. Gdańsk, 22 października 2026 r.

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

eprasa.pl 818f3ad50a

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Adam Michnik, współzałożyciel i redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, obchodzi 80. rocznicę urodzin. Niepokorny erudyta. Z natury buntownik. Odważnie, często samotnie idący pod prąd, gdy trzeba było bronić ludzi i wartości. Konsekwentnie występuje przeciwko zakłamywaniu przez prawicę historii PRL i transformacji w III RP. Ad multos annos, Redaktorze. • Sejm przyjął projekt ustawy o dekryminalizacji aborcji. 217 posłów głosowało za, 213 przeciw, 27 nie wzięło udziału w głosowaniu. • Lwowska Rada Obwodowa (84 radnych z zachodniej Ukrainy) ogłosiła 2027 rokiem UPA, jej dowódcy Romana Szuchewycza oraz poety i działacza OUN Ołeha Olżycza. Prowokacyjna decyzja spotkała się z powszechnymi protestami w Polsce. Z pewnością wzmocni nastroje antyukraińskie. • Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, skierował do Parlamentu Europejskiego wniosek o uchylenie immunitetu Danielowi Obajtkowi, byłemu prezesowi Orlenu, oraz o zgodę na jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. • Zmarł Wiktor Legowicz (77 lat), wieloletni dyrektor radiowej Trójki i współtwórca jej prestiżu. Dziennikarz o wyjątkowej wiedzy i kulturze osobistej. Kierował redakcją bardzo profesjonalnie, mając na względzie opinie dziennikarzy i słuchaczy. • Kateřina Tučková, czeska pisarka i autorka powieści „Bílá Voda”, otrzymała Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus. Książkę przetłumaczyła Julia Różewicz, a wydało Wydawnictwo Afera.

PRZEBŁYSKI



Kolejny Las Pamięci

Po Poznaniu, Krakowie, Szczecinie i Gdyni Las Pamięci powstaje także w Gdańsku, na Cmentarzu Łostowskim. Jako miejsce pochówku bez tradycyjnych nagrobków, krzyży i innych symboli religijnych. Tylko biodegradowalne urny w naturalnym krajobrazie. Może być las albo park. Otoczony żywopłotem. Z wydzielonym miejscem dla odwiedzających. I tablicą, na której są nazwiska pochowanych. Ta nowa, alternatywna możliwość wobec tradycyjnych pochówków staje się coraz popularniejsza wśród mieszkańców. W Gdańsku złożyli oni taki wniosek w ramach Zielonego Budżetu Obywatelskiego.



Na cuda to do Zgierza

Zazdrość to nic zdrowego. Nawet jeśli dotyczy kogoś z samego jądra opieki zdrowotnej. No bo czy zazdrośnicy wiedzą, jaką cenę muszą płacić lekarze, by związać koniec z końcem. Choćby lekarz z Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Zgierzu. Ten, który pobił rekord świata, pracując 55 godzin na dobę. Zaimponował nawet Japończykom, którzy zaprosili go na pokazy do Tokio. Może wezmą cały szpital, bo w Zgierzu takich magików jest dużo więcej.

52 godziny na dobę i skromne 22 godziny na dobę, 628 tys. zł za 51 dni, 442 tys. zł – kontrakt na jeden miesiąc. Zarobki 333 lekarzy ujawnił radny miejski ze Zgierza. Szpital wydał na płace w 2025 r. 241 mln zł (87% wszystkich środków).

PYTANIE TYGODNIA

Idea harcerstwa – potrzebna bardziej niż kiedyś?

Harcmistrzyni MARTYNA KOWACKA,
naczelniczka Związku Harcerstwa Polskiego

Idea harcerstwa jest dziś bardzo potrzebna i można nawet powiedzieć, że przeżywa renesans. W świecie technologii oferujemy bezpieczną przestrzeń offline, w której młodzi ludzie obcują z przyrodą i budują bezpośrednie relacje w nowej grupie rówieśniczej. Harcerstwo uczy kluczowych kompetencji miękkich: współpracy, samodzielności czy odpowiedzialności za innych. Pamiętamy o historii, ale przede wszystkim patrzymy w przyszłość. Pokazujemy, że patriotyzm to codzienne zaangażowanie i małe, pożyteczne działania na rzecz lokalnej społeczności. Umiejętności praktyczne, takie jak pierwsza pomoc, zaradność czy działanie zespołowe pod presją czasu, dają młodym poczucie sprawczości i pewność, że również w sytuacji kryzysu nie są bezradni.

Dr MICHAŁ GULCZYŃSKI,
politolog, socjolog z USWPS, współzałożyciel Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn

W dobie smartfonów, internetu i rosnącej samotności młodzieży warto wrócić do sprawdzonych rozwiązań. Jednym z nich jest harcerstwo. Samotność zastępuje samodzielnością. Młodzi ludzie uczą się od siebie w praktyce, w bezpośrednich interakcjach, zdobywają wiedzę poprzez doświadczenie. Współdziałają w grupie rówieśniczej, utrwalając takie zasady jak wzajemność i solidarność. Otrzymują poczucie przynależności do wspólnoty i instytucji, którego często brakuje w szkole. Harcerstwo odciąga też od ekranów, ze wszystkimi tego skutkami: począwszy od nabywania umiejętności manualnych, na zmuszeniu do „analogowego” myślenia skończywszy. Przygotowuje także do przywództwa. Młody człowiek szybko staje się odpowiedzialny za innych i przekonuje, że dawanie przykładu jest najlepszym sposobem oddziaływania na grupę.

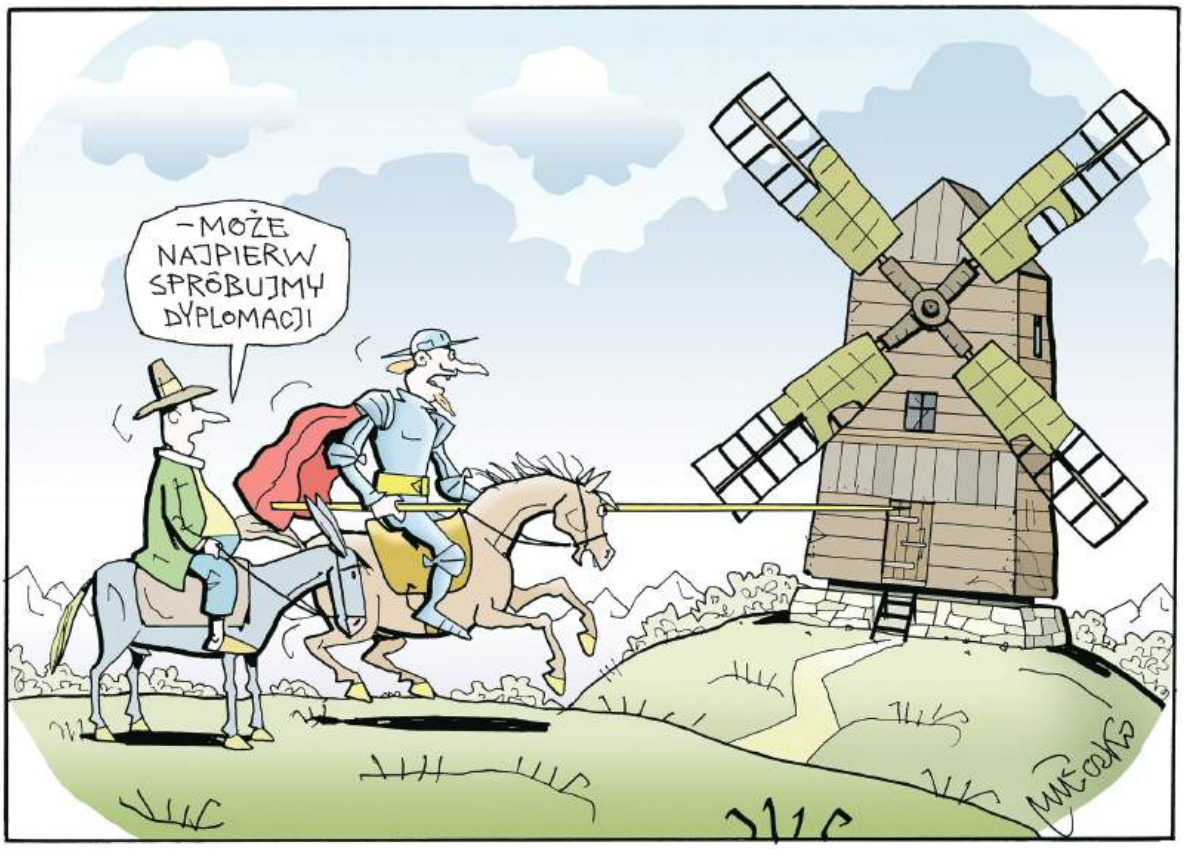
Prof. UŚ dr hab. TOMASZ HUK,
pedagog z Uniwersytetu Śląskiego, harcmistrz, naczelnik Wydziału Edukacji UM Katowice

Harcerstwo od początku istnienia było odpowiedzią na potrzebę nowego, innego, wyróżniającego się wychowania. Dlatego z pełnym przekonaniem twierdzę, że harcerstwo zawsze było potrzebne „bardziej”. Ale to „bardziej” nie jest związane z przeszłością rozumianą jako „kiedyś”. Ono jest umocowane w teraźniejszości i przyszłości, co w doskonały sposób widoczne było w programie ideowym Szarych Szeregów: „Dziś, jutro, pojutrze”. Współczesna potrzeba harcerstwa ma co najmniej dwa ważne powody. Pierwszy to idea, która kształtuje odporność psychiczną dzieci i młodzieży poprzez uczenie w działaniu i samodzielność. Drugi powód nawiązuje bezpośrednio do sytuacji na naszej wschodniej granicy – to służba drugiemu człowiekowi, służba Polsce i Bogu.

Rozmawiał Maciej Belowski

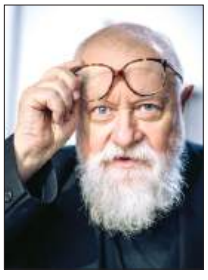
FOT. YOUTUBE (2)

eprasa.pl 818f3ad50a



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

Językowe uzbrojenia



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Nazwy zwykle bardziej od wyrażanych opinii narzucają nam sposób widzenia rzeczy i spraw. W publicznym języku wiele określeń pokazuje nam, jaki jest właściwy stosunek do rzeczywistości. Na przykład do zbrojeń, które mają nam zapewnić poczucie bezpieczeństwa.

W młodości obcowałem z dwoma publicznie rozgrzewającymi wyścigami. Wyścig Pokoju był nasz, dobry, emocjonował sportowo. Zły był zaś wyścig zbrojeń, o tyle charakterystyczny, że w nim zdawał się uczestniczyć tylko wrogi świat kapitalistyczny – mogło się wydawać, że oni ścigają się sami ze sobą, bo jakoś wbrew oczywistości nam nie przypisywało się ścigania w tym wyścigu. Dziś, choć akurat rzeczywistość skłaniałaby do używania tego określenia, na wszelki wypadek w oficjalnych przekazach rzadko mamy z nim do czynienia.

Nieco podobnie jest z wyrażeniem lobby zbrojeniowe. Jeśli go ktoś użyje, może być posądzonym o to, że odnosi je nie tylko do tych, których potępiamy i nie lubimy, lecz też i do tych, którzy przede wszystkim właśnie dbają o nasze bezpieczeństwo i nie wypada użyć żadnego określenia, które mogłoby sugerować korzyści ekonomiczne.

Przyznam, że z pewną ciekawością obserwuję jeszcze jedno wyrażenie z tego pola znaczeniowego, właściwie nazwę własną. Myślę tu o nazwie Fort Trump dla bazy wojsk amerykańskich, co do której konieczności wszystkie nasze polityczne ugrupowania zdają się być zgodne, kłócąc się tylko o to, które do zainstalowania tej bazy dążą najbardziej, a które jakby niedostatecznie. Ale, obserwując coraz mniej entuzjastyczny stosunek do jej potencjalnego patrona nawet u jego dotychczasowych wielbicieli, mam niejakie podejrzenia, że stosunek społeczeństwa, już podobno do konieczności bazy przekonanego, może z patrona przenieść się na to, czemu miałby patronować.

A co do poczucia bezpieczeństwa, to wcale nie jestem pewien, czy rzeczywiście zwiększa je prezentowanie konieczności tego poczucia i działań mających właśnie je zwiększać. ■

eprasa.pl 818f3ad50a

Śmierć była bliżej życia

Bogowie odchodzą w mrok historii, ale pytania o śmierć pozostają te same

Rozmawia
Kornel Wawrzyniak



SZYMON ZDZIEBŁOWSKI
– dziennikarz naukowy i podróżniczy oraz wydawca związany z „National Geographic Polska". Ukończył archeologię oraz public relations na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor książki „Bogowie Polski. Szamani, megality i zapomniane słowiańskie bóstwa" (Rebis)

Kim byli tytułowi „Bogowie Polski" dla zwykłych mieszkańców dawnych polskich ziem? Czy relacja z nimi opierała się bardziej na wierze, czy na pragmatycznej próbie oswojenia natury?

– Trzeba pamiętać, że mówimy o bardzo różnych społecznościach żyjących przez dziesiątki tysięcy lat. Inaczej wyglądała relacja z tym, co nadprzyrodzone u pierwszych ludzi współczesnych, pojawiających się na tych terenach ok. 40 tys. lat temu, a inaczej u Słowian z pierwszego tysiąclecia naszej ery. Wydaje mi się jednak, że wspólnym mianownikiem była bardzo bliska więź z przyrodą. Widać ją już w najstarszych śladach kultowych. Znamy przypadki składania czaszek zwierząt w budowlach interpretowanych czasem jako świątynie sprzed prawie 7 tys. lat. U Słowian szczególną rolę odgrywały natomiast konie. W grobach znajdowane są końskie szczątki składane obok zmarłych. Ze średniowiecznych źródeł wiemy też, że niektórzy bogowie mieli swoje święte konie. Te zwierzęta wykorzystywano m.in. do wróżb. To pokazuje, że światy natury, zwierząt i sił nadprzyrodzonych mocno się ze sobą przenikały.

Wokół mitologii słowiańskiej narosło wiele mitów i wyobrażeń popkulturowych. Co podczas pracy nad książką najbardziej pana zaskoczyło w zderzeniu obiegowych opinii z faktami naukowymi?

– To, jak mało tak naprawdę wiemy. W księgarniach znajdziemy dziesiątki książek o słowiańskich bogach i mitach. Można odnieść wrażenie, że ten świat został dokładnie opisany i zrekonstruowany. Tymczasem, kiedy zacząłem zagłębiać się w tę tematykę, okazało się, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Słowianie nie pozostawili po sobie własnych zapisów religijnych. To podstawowy problem. Nasza wiedza opiera się głównie na krótkich wzmiankach kronikarzy chrześcijańskich, często niechętnie nastawionych do pogan. Mamy też późniejsze źródła etnograficzne z XIX w. i początku XX w., ale trudno rozstrzygnąć, na ile zachowane w nich opowieści rzeczywiście sięgają czasów przedchrześcijańskich. W archeologii możemy datować przedmiot metodami naukowymi (fizykochemicznymi). W przypadku mitów jest znacznie trudniej. Nie da się pobrać próbki z opowieści i określić jej wieku. Dlatego wiele elementów współczesnych rekonstrukcji wierzeń słowiańskich pozostaje hipotezami.

Ile naprawdę chrześcijaństwo przejęło z zastanych wierzeń i rytuałów? Przykłady takie jak święcenie pokarmów, data Bożego Narodzenia czy kult świętych to bezpośrednia kontynuacja zastanych tradycji?

– Chrzest Polski nie był wydarzeniem, które z dnia na dzień zmieniło sposób myślenia ludzi. Nie było tak, że po 966 r. wszyscy nagle stali się chrześcijanami. Archeologia pokazuje, że chrześcijańskie cmentarze

eprasa.pl 818f3ad50a

zaczynają się powszechnie pojawiać dopiero wiele dekad później, a czasem nawet ponad 100 lat po chrzcie Mieszka I. W niektórych regionach można wręcz mówić o zjawisku dwuwiary. Ludzie nadal praktykowali część dawnych zwyczajów, równocześnie przyjmując nową religię. Możliwe, że część społeczności początkowo potraktowała Boga chrześcijan jako kolejnego boga, którego można dołączyć do własnego panteonu. Taki sposób myślenia nie byłby niczym niezwykłym dla religii politeistycznej. Z przekazów wiemy, że Kościół szczególnie zwalczał niektóre praktyki. Potępiano np. taniec podczas świąt religijnych i używanie masek w obrzędach. Jeszcze w XII i XIII w. kronikarze wspominali, że wśród ludności utrzymują się podobne zwyczaje. Nie ma wątpliwości, że najważniejsze święta związane z rytmem przyrody, przesileniami czy równonocami zostały w jakiś sposób zaadaptowane przez chrześcijaństwo. Dla społeczności rolniczych były to zbyt ważne momenty roku, by mogły po prostu zniknąć.

Jak patrzy pan na rodzimowierców, czyli współczesnych wyznawców dawnych bogów? To bardziej rekonstrukcja obrządków z przeszłości czy kreacja oparta na wyobrażeniach kultury masowej?

– To bardzo zróżnicowane środowisko. Są grupy, które bardzo skrupulatnie opierają się na źródłach naukowych, ale są też takie, które czerpią przede wszystkim z folkloru, wyobraźni i współczesnych interpretacji. Trzeba pamiętać, że wiele dawnych rytuałów nie zostało opisanych w szczegółach. Jeśli ktoś chce dziś odtworzyć religię sprzed tysiąca lat, nieuchronnie musi zrekonstruować część praktyk albo wręcz stworzyć od nowa. Nie oceniam tego. Religii nie powinno się oceniać. Każdy ma prawo wierzyć w to, co uważa za słuszne.

Jak dawni mieszkańcy polskich ziem wyobrażali sobie przejście na drugą stronę? Co o ich wierzeniach mówi sam pochówek?

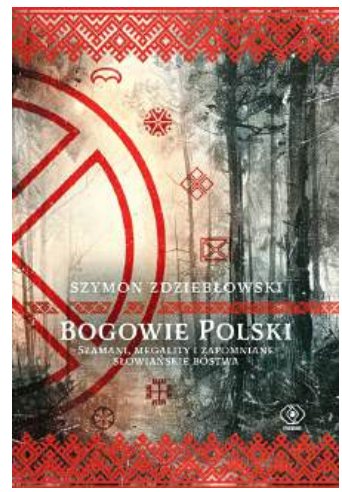
– Zacząłbym od najstarszego znanego pochówku odkrytego na terenie Polski. Ma ok. 28 tys. lat. Co ciekawe, archeolodzy odnaleźli przede wszystkim kilka zębów należących do bardzo młodej dziewczyny oraz dary grobowe w postaci przewierconych zębów zwierząt. Sam fakt złożenia darów sugeruje, że śmierć nie była postrzegana jako absolutny koniec. Możliwe, że przedmioty miały służyć zmarłej po drugiej stronie. W wielu pradziejowych grobach spotykamy też ochrę, czerwony pigment rozsypywany na szczątkach.

– Najstarsze ślady kremacji na naszych ziemiach pojawiają się ok. 10 tys. lat temu. Potem przez tysiąclecia różne społeczności stosowały zarówno ciałopalenie, jak i pochówki szkieletowe. Sam moment pojawienia się kremacji uważam za część większej przemiany, którą można nazwać rewolucją funeralną. Z tego okresu znamy m.in. niezwykłe cmentarzysko w Mszanie na Kujawach.

Źródła pisane informują, że u Słowian zmarłych najpierw palono na stosach, a prochy umieszczano w urnach.

Niekiedy były to całe kilogramy tej substancji. Jedna z interpretacji mówi, że ochra mogła symbolicznie przywracać życie. Dziś wiemy, że ma właściwości odkażające, więc być może przypisywano jej szczególną moc i wierzono, że pomoże zmarłemu odrodzić się już nie na tym świecie, ale w zaświatach.

Ciałopalenie przez stulecia było jednym z najważniejszych obrządków pogrzebowych. Skąd taka praktyka?



Z grobów, urn i śladów pradawnych ceremonii wyłania się opowieść o świecie, w którym zmarli pozostawali częścią codzienności żywych. Choć wiedza o dawnych wierzeniach mieszkańców ziem polskich pełna jest luk i domysłów, archeologia pozwala coraz lepiej zrozumieć, jak oswajali śmierć, czcili przodków i wyobrażali sobie życie po śmierci.

Znajdowały się tam głębokie, obudowane drewnem groby obsypywane ochrą. Przed zasypaniem grobów zwłoki podpalano. Wokół odkryto ślady ognisk oraz ofiary ze zwierząt, m.in. dzików. Musiały to być ceremonie pełne symboliki i silnych emocji. Pogrzeb nie ograniczał się do złożenia ciała w ziemi. Wymagał przygotowań, składania ofiar i organizowania skomplikowanych rytuałów. W przypadku Słowian źródła pisane informują, że najpierw palono zmarłych na stosach, następnie prochy umieszczano w urnach. Według części przekazów takie urny stawiano nawet na słupach. Później pojawiają się także tzw. domy zmarłych, czyli niewielkie konstrukcje przypominające półziemianki, w których składano urny.

Jak ważna była pamięć o przodkach w dawnych społecznościach? Czy zmarli pozostawali częścią świata żywych?

– Tak naprawdę niemal każda epoka dostarcza dowodów na szczególne traktowanie przodków. Bardzo ciekawym przykładem są grobowce kujawskie sprzed ok. 5,5 tys. lat, nazywane czasem polskimi piramidami. Ich kształt przypominał dawne długie domy pierwszych rolników. Niektórzy badacze sugerują, że budowniczowie świadomie nawiązywali do przodków i ich siedzib. Nawet jeśli nie wiedzieli już dokładnie, kto mieszkał w tych dawnych konstrukcjach, mogły one funkcjonować jako miejsca pamięci związane z wcześniejszymi pokoleniami. Jeszcze ciekawsze są

eprasa.pl 818f3ad50a



Grobowce kujawskie sprzed ok. 5,5 tys. lat, nazywane są czasem polskimi piramidami. Ich kształt przypominał dawne długie domy pierwszych rolników.

przypadki otwierania grobów i zabierania części szczątków zmarłych. Archeolodzy znajdują pochówki, z których po pewnym czasie usunięto pojedyncze kości.

Kiedyś zostawał po dziadku paliczek, a dziś zatrzymujemy zegarek?

– Możliwe, że takie szczątki przechowywano jako relikwie rodzinne. Dziś może wydawać się to osobliwe, ale tak jak pan mówi, współcześnie wiele osób przechowuje przecież po bliskich pamiątki o ogromnej wartości emocjonalnej. Jeśli chodzi o bliskość zmarłych, warto wspomnieć o łowcach i zbieraczach. W jednym z obozowisk sprzed kilkunastu tysięcy lat, w Wilczycach koło Sandomierza, bezpośrednio pod podłogą szałasu wyłożoną płytami z piaskowca archeolodzy odkryli grób dziecka. Później, w czasach pierwszych rolników, groby znajdowane są bezpośrednio w obrębie osad, pomiędzy domami. To pokazuje, że zmarli pozostawali bardzo blisko żyjących.

Jak zwyczaje pogrzebowe na ziemiach polskich wypadają w porównaniu z obrządkiem Celtów, Greków czy wikingów? Wyróżnialiśmy się czymś na tle innych kultur?

– Wbrew pozorom nie byliśmy wyjątkiem. Przez tysiąclecia ziemie polskie znajdowały się na skrzyżowaniu różnych wpływów kulturowych. Docierały tu idee z południa, zachodu, wschodu i północy Europy. Przykładem są megality. Wielkie grobowce znamy z Kujaw, ale podobne tradycje rozwijały się również we Francji czy innych częściach Europy. Idee budowlane, wierzenia i zwyczaje przemieszczały się stopniowo między kolejnymi społecznościami.

W czasach pierwszych rolników groby znajdowały się w obrębie osad, między domami. To pokazuje, że zmarli pozostawali bardzo blisko żyjących.

Jednocześnie nigdy nie było tak, że nowe grupy całkowicie zastępowały poprzednie. Badania genetyczne i archeologiczne pokazują raczej długotrwałe mieszanie się ludności oraz kultur. Dlatego historia ziem polskich jest historią ciągłych kontaktów i wzajemnych wpływów.

Czego dawny stosunek do śmierci może nauczyć współczesnego człowieka? Obecnie wydaje się, że śmierć przestano traktować jako oczywisty i stały element cyklu życia.

– Mam wrażenie, że dziś śmierć stała się tematem tabu. Gdy ktoś umiera, bardzo szybko znika z domowej przestrzeni. Wiele spraw przejmują instytucje, a samo pożegnanie często trwa krótko. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wyglądało to inaczej. Ludzie dłużej towarzyszyli zmarłym, a sam rytuał pożegnania był bardziej rozbudowany.

Przychodzi na myśl kaszubska „pusta noc", która była zwieńczeniem trzydniowego okresu żałobnego. Paweł Huelle opisywał ten rytuał w „Śpiewaj ogrody". Rzecz dzieje się w XX w., więc rzeczywiście mówimy o niedalekiej przeszłości.

– W społecznościach pradziejowych ten proces był jeszcze bardziej widoczny. Budowa grobu, przygotowanie ofiar, organizacja uczty pogrzebowej czy wznoszenie stosów wymagały ogromnego nakładu pracy. Niekiedy cały rytuał mógł trwać wiele dni, a nawet rozciągać się w czasie na znacznie dłuższy okres. To pokazuje, że śmierć była oswojoną częścią codzienności. Nie oznacza to oczywiście braku cierpienia po stracie bliskich. Wręcz przeciwnie. O głębokim przywiązaniu świadczą choćby dary grobowe składane już 28 tys. lat temu. Przewiercone zęby zwierząt tworzące ozdoby wymagały ogromnej ilości pracy. Skoro wkładano je do grobu, oznacza to, że chciano pożegnać zmarłego w sposób godny i pełen troski. Od samych początków obecności człowieka współczesnego na tych ziemiach widać jedno: ludzie dbali o swoich zmarłych i nie chcieli o nich zapominać.

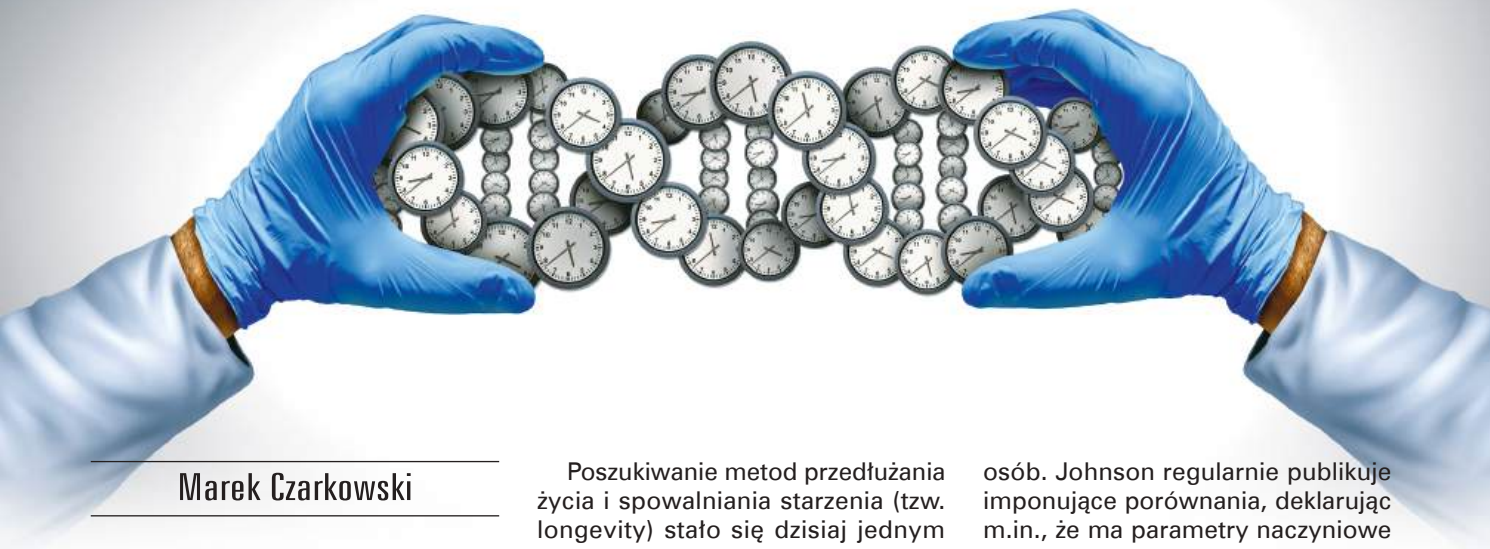
Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM BMP

eprasa.pl 818f3ad50a

Długie życie na receptę

Gdzie kończy się leczenie, a zaczyna sprzedaż długowieczności



Marek Czarkowski

Ludzie zawsze chcieli zachować młodość i żyć dłużej. Staroegipski traktat medyczny, papirus Edwina Smitha, zawierał m.in. recepturę kremu, który po nałożeniu na twarz usuwał wszelkie oznaki starzenia. Pierwszy chiński cesarz Qin Shi Huang, żyjący w III w. p.n.e., wierzył, że przyjmowanie pigułek z rtęcią zapewni mu nieśmiertelność. Zmarł w wieku 49 lat.

Gdzie przebiega granica między medycyną opartą na faktach, odważnym eksperymentem klinicznym a cynicznym marketingiem, który żeruje na lęku przed starością?

Żyjący w XVI w. szwajcarski lekarz, alchemik, astrolog i filozof Paracelsus był przekonany, że regularne picie mikstury sporządzonej z roztworu soli, wina i złota regeneruje organizm. Zmarł, mając lat 48.

Piosenkarz Michael Jackson uważał z kolei, że najlepszym sposobem zachowania młodości jest sypianie w komorze tlenowej. Król popu przeżył 51 lat.

Poszukiwanie metod przedłużania życia i spowalniania starzenia (tzw. longevity) stało się dzisiaj jednym z najważniejszych obszarów badań medycyny, przemysłu farmaceutycznego oraz… inwestycji kapitałowych najbogatszych ludzi świata.

Model biznesowy długowieczności

Spory rozgłos zdobył amerykański milioner Bryan Johnson, który obwieścił, że za pomocą opracowanego na jego zlecenie programu Blueprint próbuje „oszukać zegar biologiczny". Według doniesień mediów Johnson przeznacza na ten cel ok. 2 mln dol. rocznie. Przy pomocy zespołu ok. 30 lekarzy i ekspertów poddaje się restrykcyjnej kuracji, która ma nie tylko poprawić jego kondycję, lecz także spowolnić starzenie i przywrócić narządom cechy charakterystyczne dla znacznie młodszych osób. Johnson regularnie publikuje imponujące porównania, deklarując m.in., że ma parametry naczyniowe jak u nastolatków lub osób 20-letnich oraz bardzo dobre wyniki, jeśli chodzi o glikemię i ciśnienie. Przy okazji promuje i sprzedaje własne suplementy, produkty spożywcze, kosmetyki i urządzenia medyczne oraz wellness. Zadeklarowane przez niego cele (m.in. całkowite powstrzymanie procesu starzenia, osiągnięcie biologicznej nieśmiertelności czy przywrócenie organizmowi sprawności i parametrów 18-latka) nie zostały jednak dotąd potwierdzone naukowo. Johnson jest za to jednym z wielu przedsiębiorców, którzy chcą zarobić na odwiecznym pragnieniu ludzkości, by żyć długo i w dobrej kondycji.

W Montreux, na brzegu Jeziora Genewskiego działa ekskluzywna Clinique La Prairie, w której tygodniowy program regenerujący kosztuje od 14 900 fr. (ok. 70 440 zł) do 50 250 fr. (ok. 237 550 zł) za pakiet Revitalisation Premium. Za tę kwotę klient otrzymuje pobyt w luksusowym otoczeniu, limuzynę do dyspozycji, zaawansowane badania organizmu,

eprasa.pl 818f3ad50a

suplementy diety opracowane z myślą o wspieraniu długowieczności poprzez poprawę funkcjonowania komórek, odporności i witalności oraz zapewnienie, że jego zegar biologiczny zacznie odmierzać czas wstecz.

Amerykańska platforma internetowa AgelessRx reklamuje się hasłem: „How you age is up to you", „To, jak się starzejesz, zależy od ciebie". Oferuje comiesięczne abonamenty na leki na receptę, takie jak metformina (doustny lek przeciwcukrzycowy stanowiący podstawę terapii cukrzycy typu 2) czy rapamycyna (stosowana w transplantologii), drobnym drukiem zaznaczając, że amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) nie oceniała ich skuteczności ani bezpieczeństwa w spowalnianiu procesu starzenia.

Także w Warszawie działają prywatne kliniki, które kuszą hasłem „odmłodzenia komórkowego". Niekoniecznie oznacza to próby przywrócenia starzejącym się komórkom niektórych cech i funkcji komórek młodszych, raczej np. „wspomaganie odnowy komórkowej, poprawę wydolności fizycznej i psychicznej oraz ograniczanie starzenia skóry" poprzez podawanie odpowiednich preparatów.

W szwajcarskiej Clinique La Prairie takim preparatem jest standaryzowany, liofilizowany ekstrakt z wątroby jagnięcej, stosowany wraz z biostymulatorami (zaawansowanymi formułami komórkowymi, przeciwutleniającymi i nutrigenomicznymi) oraz suplementami.

Dlatego tak ważne jest rozróżnienie między długoletnimi, prowadzonymi w laboratoriach badaniami nad przeprogramowaniem komórek, tak by jak najdłużej zachowały „młodość", a oferowanymi za ciężkie pieniądze komercyjnymi programami błyskawicznej „rewitalizacji". To nie są te same procedury.

Prywatne kliniki sprzedają też pakiety badań i analizy wieku biologicznego, których ceny w Polsce mogą sięgnąć kwoty 8,9 tys. zł, a nawet wyższej. Wiek biologiczny to próba określenia na podstawie stanu komórek, tkanek i sprawności, w jakim stopniu organizm się zestarzał. W odróżnieniu od wieku metrykalnego to szacunek zależny od wybranej metody. Co ważne, nie istnieje jeden powszechnie uznany test, który bezspornie ustala „prawdziwy" wiek biologiczny człowieka.



Amerykański milioner Bryan Johnson oświadczył, że spróbuje „oszukać zegar biologiczny" za pomocą programu Blueprint.

Mimo to podobne obietnice działają jak magnes. Gdzie zatem przebiega granica między medycyną opartą na faktach, odważnym eksperymentem klinicznym a cynicznym marketingiem, który żeruje na lęku przed starością?

Klienci prywatnych klinik w rzeczywistości otrzymują najczęściej standardową diagnostykę: próbę wysiłkową, wyniki tomografii komputerowej oceniającej zwapnienie tętnic wieńcowych, echo serca, kolonoskopię, USG i konsultację dietetyczną. A także testy wieku biologicznego poszczególnych narządów, wlewy witaminowe, sesje w komorze hiperbarycznej i oczywiście zachętę do zakupu suplementów. Promotorzy tego modelu biznesowego opowiadają o rewolucji w medycynie, która ma polegać na odejściu od „leczenia wyłącznie objawowego". I to działa.

Rzeczywistość jest zaś prozaiczna. Oferowane bogatym klientom zabiegi i procedury nie są niczym nowym. Ale podane zostają w nowoczesnym i bardzo atrakcyjnym opakowaniu.

Prof. dr hab. n. med. Marek Postuła, kardiolog związany z Warszawskim Uniwersytetem Medycznym, zajmujący się również procesami starzenia, podkreśla w wywiadach, że „wokół długowieczności narosło mnóstwo marketingu, biohackerskich mitów i technologicznej egzaltacji, ale kiedy odrzuci się cały ten hałas, zostaje coś bardzo racjonalnego: próba zrozumienia, dlaczego człowiek choruje wraz z wiekiem i co można zrobić, by ten proces spowolnić".

Dodać życia do lat, a nie lat do życia

Współczesne badania nad biologią starzenia przesunęły się z tradycyjnej, opisowej gerontologii w stronę tzw. geronauki – interdyscyplinarnej dziedziny łączącej biologię molekularną, genetykę, immunologię i medycynę translacyjną. Przekładają odkrycia naukowe na praktyczne korzyści dla pacjentów: nowe leki, testy diagnostyczne, procedury medyczne i metody zapobiegania chorobom. Głównym celem tych działań ma być nie samo przedłużanie życia, lecz wydłużenie okresu zdrowia poprzez ukierunkowaną ingerencję w mechanizmy odpowiedzialne za procesy starzenia.

Założony w 1999 r. w Novato w Kalifornii Buck Institute for Research on Aging był pierwszą na świecie niezależną instytucją badawczą powołaną w celu kompleksowego zrozumienia procesów starzenia i opracowania procedur terapeutycznych. Pracujący w nim naukowcy odegrali kluczową rolę w badaniach nad komórkami starzeniowymi, metabolizmem energetycznym oraz starzeniem się układu odpornościowego.

Najważniejszą agencją rządową na świecie finansującą i koordynującą badania nad biologią starzenia

eprasa.pl 818f3ad50a

jest National Institute on Aging (Narodowy Instytut Starzenia), który działa w należącym do obszaru metropolitalnego Waszyngtonu mieście Bethesda. Prowadzi on m.in. Intervention Testing Program (ITP) – rygorystyczny program testowania związków farmakologicznych i suplementów pod kątem ich zdolności do wydłużania życia u myszy.

W Nowym Jorku z kolei działa Institute for Geroscience w Albert Einstein College of Medicine, który skupia się na genetycznych i epigenetycznych uwarunkowaniach pozwalających niektórym ludziom dożywać sędziwego wieku w pełnym zdrowiu – bez chorób serca, nowotworów czy demencji. Ośrodek ten jest pionierem w przygotowaniu badań klinicznych nad lekami przeciwstarzeniowymi, np. nad wspomnianą metforminą.

Jednym z najważniejszych europejskich instytutów zajmujących się biologią starzenia jest założony w 2008 r. w Kolonii Instytut Biologii Starzenia się im. Maksa Plancka, koncentrujący się na badaniu tego procesu oraz mechanizmów molekularnych, fizjologicznych i ewolucyjnych leżących u jego podstaw. Długoterminowym celem instytutu jest wskazanie drogi do zdrowszego starzenia się człowieka. Zatrudnieni w placówce naukowcy współpracują z wieloma szpitalami uniwersyteckimi i międzynarodowymi klastrami badawczymi.

Podobny profil ma Instytut Zdrowego Starzenia się działający w strukturach University College London (UCL Institute of Healthy Ageing), europejski lider w genetycznej analizie procesów starzenia.

W Polsce badaniami tych procesów zajmuje się m.in. Instytut Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. Pracujący w nim naukowcy specjalizują się w biologii mitochondriów, badaniu stresu oksydacyjnego, mechanizmów autofagii (proces, za pomocą którego komórka oczyszcza się od wewnątrz) oraz bioenergetyce komórki, co stanowi fundament współczesnej biologii starzenia. Cenione są też prace prowadzone w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie oraz na Uniwersytetach Medycznych – warszawskim, gdańskim i wrocławskim.

Wśród naukowców zajmujących się tą dziedziną wyróżnia się wspomniany już prof. Marek Postuła. 26 listopada 2024 r. wraz z prof. Karolem Kamińskim, dr Kingą Kierul, dr. Tomaszem Chomiukiem oraz grupą ekspertów i naukowców powołał do życia Polskie Towarzystwo Medycyny Długowieczności, które łączy lekarzy, naukowców, specjalistów technologicznych i przedstawicieli biznesu zainteresowanych zdrowym starzeniem się. Towarzystwo współpracuje m.in. z National University of Singapore, Institute for Healthier Living Abu Dhabi i American Academy of Neurology z Minneapolis. W listopadzie odbędzie się Warsaw Longevity Forum – pierwsze tego typu w Europie Środkowo-Wschodniej spotkanie poświęcone systemowemu podejściu do długowieczności. Będzie na nim mowa nie tylko o osiągnięciach naukowych, ale też o tym, jak należy przeprojektować systemy emerytalne i opiekę zdrowotną pod kątem żyjącego coraz dłużej społeczeństwa.

Prof. Ewa Sikora, która przez 25 lat kierowała Pracownią Molekularnych Podstaw Starzenia w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego Polskiej Akademii Nauk, tłumaczy, że starzejemy się bardzo różnorodnie i bardzo nierównomiernie. U jednej osoby wcześniej pogarsza się sprawność mózgu, u drugiej – wątroby, nerek czy innych narządów. Dlatego nie da się ubrać procesu starzenia w jeden algorytm. „Chodzi o to, żebyśmy mogli dożyć do maksymalnej długości życia we względnym zdrowiu", mówi. W przeciwieństwie bowiem do przedstawicieli biznesu oferujących „odmładzanie komórkowe" naukowcy podążają ścieżkami znacznie trudniejszymi i obalają kolejne mity związane z „przełomowymi" lekami i terapiami.



Jeff Bezos, twórca Amazona (nz. z żoną), był jednym z inwestorów firmy Altos Labs, która skupia się na biologii odmładzania komórkowego.

Przykładem może być historia badań nad rapamycyną – wspomnianym już lekiem immunosupresyjnym zapobiegającym odrzuceniu przeszczepionej nerki. Gdy w badaniach prowadzonych przez amerykański National Institute on Aging okazało się, że pomaga ona przedłużyć życie myszy, podano ją niewielkiej grupie pacjentów. Na początku 2025 r. opublikowano wyniki tego badania. Rapamycyna nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Mimo to w Polsce 30 tabletek tego przepisywanego na receptę specyfiku kosztowało swego czasu ok. 500 zł.

Równie pouczająca jest historia metforminy, leku przeciwcukrzycowego, który długo uchodził za najbezpieczniejszego kandydata na „lek

FOT. AFP/EAST NEWS, REX FEATURES/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 818f3ad50a

długowieczności". Dr Nir Barzilai pracujący w Albert Einstein College of Medicine przez dziesięć lat starał się zorganizować wielkie, mające objąć 3 tys. seniorów, którzy nie cierpieli na cukrzycę, badanie metforminy, aby sprawdzić, jaki jest jej wpływ na zawały, udary, nowotwory i demencję. W 2026 r. Barzilai wciąż zabiega o pozyskanie funduszy, lecz wątpliwe, czy mu się to uda. Metformina to tani lek generyczny, na którym nikt nie zarobi, więc koncerny farmaceutyczne nie są zainteresowane finansowaniem takich przedsięwzięć. Poza tym najnowsze badania podważają sens profilaktycznego przyjmowania tego leku.

Miliarderzy w grze o długowieczność

Czy długowieczność można kupić? Najbogatsi sądzą, że tak. W ostatnich latach sektor biotechnologiczny zajmujący się przedłużaniem życia i spowalnianiem starzenia stał się jednym z najważniejszych obszarów inwestycji kapitałowych. Miliarderzy z branży big tech przeznaczają olbrzymie kwoty na badania w tej dziedzinie. Nie postrzegają oni starzenia się jako naturalnego, nieuchronnego procesu biologicznego, lecz definiują go jako problem inżynieryjny i medyczny, który można kontrolować lub odwracać za pomocą zaawansowanej genetyki, sztucznej inteligencji oraz medycyny regeneracyjnej.

W 2013 r. współzałożyciele Google'a oraz holdingu Alphabet, Larry Page i Sergey Brin, powołali przedsiębiorstwo biotechnologiczne o nazwie Calico Life Sciences LLC. Zajmuje się ono długoterminowymi podstawowymi badaniami nad biologią kontrolującą długość życia oraz walką z chorobami wieku starczego, takimi jak schorzenia neurodegeneracyjne czy nowotwory. Prowadzi także zaawansowane badania molekularne i modelowe nad metabolizmem komórkowym. Jednym z najważniejszych wyników prac badawczo-rozwojowych firmy jest odkrycie cząsteczki o nazwie Fosigotifator, aktywującej białko eIF2B, kluczowe dla tzw. zintegrowanej odpowiedzi na stres komórkowy. W czerwcu br. amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków nadała terapii tą cząsteczką prestiżowy status i uznała ją za przełomową w leczeniu ultrarzadkiej, postępującej choroby leukodystroficznej. Związek ten był również badany pod kątem zastosowania w leczeniu stwardnienia zanikowego bocznego.

Założona w 2021 r. firma Altos Labs pozyskała rekordowe finansowanie początkowe przekraczające 3 mld dol. Jednym z jej głównych inwestorów był Jeff Bezos, twórca Amazona. Spółka skupia się na biologii odmładzania komórkowego oraz na mechanizmach odwracania starzenia biologicznego na poziomie epigenetycznym. W jej prace zaangażowanych jest wielu wybitnych naukowców, w tym noblistów.

Starzenie zaczyna być definiowane jako problem inżynieryjny i medyczny, który można kontrolować za pomocą zaawansowanej genetyki, sztucznej inteligencji oraz medycyny regeneracyjnej.

Także współzałożyciel PayPala Peter Thiel od lat aktywnie finansuje badania nad długowiecznością. Wspierał m.in. spółkę Unity Biotechnology, rozwijającą terapie celowane w starzejące się komórki, oraz takie organizacje badawcze jak SENS Research Foundation i Methuselah Foundation.

Sam Altman, dyrektor generalny Open AI, przekazał znaczną część prywatnego kapitału na start-up Retro Biosciences, który zajmuje się reprogramowaniem komórkowym, autofagią oraz terapiami osoczowymi. Deklarowanym celem start-upu jest wydłużenie zdrowego życia człowieka o 10 lat.

Zaangażowanie tak ogromnych kapitałów trwale zmieniło krajobraz nauk o starzeniu. Przeniesienie badań z niszowych laboratoriów uniwersyteckich do komercyjnych ośrodków o budżetach rzędu miliardów dolarów przyśpieszyło rozwój opartych na sztucznej inteligencji technologii projektowania leków oraz terapii genowych. Spektakularnych sukcesów jednak nie ma. Większość rozwiązań znajduje się w fazie badań przedklinicznych lub we wczesnych fazach badań klinicznych.

Medycyna potrafi dziś przedłużać życie, lecząc choroby i ograniczając ryzyko przedwczesnej śmierci. Nie istnieje natomiast potwierdzona klinicznie kuracja, która wydłużałaby życie zdrowych – nawet najbogatszych ludzi – przez zahamowanie procesu starzenia.

Coraz częściej stawiane jest też pytanie, jak daleko można się posunąć, by odwrócić starzenie, i gdzie jest granica, za którą zaczyna się nieetyczny eksperyment. Zdaniem bioetyków wolno badać, czy da się spowolnić i powstrzymać niektóre procesy. Jednak nie wolno usprawiedliwiać sprzedaży eksperymentalnego „odmładzania" zdrowym klientom. Zwłaszcza jeśli pobiera się za to wysoką opłatę, nie prowadzi wiarygodnych badań i nie ujawnia pełnych danych o powikłaniach.

Najważniejsze pytanie dzisiaj brzmi: jak długo będziemy żyli? Francuzka Jeanne Calment przeżyła 122 lata i 164 dni. Było to najdłuższe zweryfikowane ludzkie życie.

Nie znamy jeszcze biologicznej granicy długowieczności. W opublikowanym w 2021 r. na łamach „Nature Communications" artykule jego autorzy dowodzili, że hipotetyczna granica to 120-150 lat, ale wniosek ten był oparty na modelu matematycznym, a nie na obserwacji tak długo żyjących ludzi.

W literaturze naukowej można trafić na publikacje, z których wynika, że człowiek mógłby żyć ponad 190 lat, pod warunkiem że jego organizm zostałby poddany głębokiej terapii genowej, która na razie nie istnieje.

Istotę problemu długowieczności najlepiej zdaje się ujmować prof. Marek Postuła: „Naprawdę nie chcę, żeby ludzie żyli do 140 lat przykuci do łóżka, otoczeni pudełkami leków i kolejnymi specjalistami". Bo kto by tego chciał?

Marek Czarkowski

eprasa.pl 818f3ad50a

STRACHY NA LACHY

POKAŻ MI, CZYM STRASZYSZ, A POWIEM CI, KIM JESTEŚ



Prof. MICHAŁ WENZEL
– socjolog, profesor Uniwersytetu SWPS. Zajmuje się metodami badań społecznych i postawami politycznymi, a także socjologicznymi aspektami mediów. Autor m.in. pracy „Dezinformacja w czasach kryzysu"

Rozmawia Robert Walenciak

Panie profesorze, rozmawialiśmy rok temu, mówiliśmy, że politycy nas straszą. A tu okazuje się, że straszą nas coraz bardziej. Co się dzieje? Jest straszniej w świecie?

– A może jest odwrotnie? Strach jest dla polityków oczywiście użyteczny, ale trudniej nas wystraszyć tymi samymi zagrożeniami. Politycy, żeby osiągnąć ten sam stan zagrożenia, muszą więc krzyczeć głośniej. Są w roli tego chłopca z bajki Ezopa, który musi krzyczeć, że nadchodzi wilk, ale ileż razy można na te krzyki przybiegać z pomocą? Choć w naszym przypadku to pewnie będzie raczej niedźwiedź niż wilk. Straszymy nim od czterech lat, a on ciągle w lesie, więc coraz głośniej ten chłopiec krzyczy.

Ale chodzi nie tylko o niedźwiedzia, bo druga strona też ma swoje strachy. Przecież opowiada o zdemoralizowanej, niemieckiej Europie, która się zawala, o uchodźcach, którzy chcą tu wejść, o Ukraińcach, którzy się panoszą w Polsce. Więc to chyba nie jest tylko kwestia jednej strony.

– Można powiedzieć: pokaż mi, czym straszysz, a powiem ci, kim jesteś. Jeżeli miałbym się pokusić o jakiś ranking tych chłopców z bajki Ezopa, co straszą, to pierwsze miejsce pewnie zajałby minister Sikorski i jego wielki niedźwiedź za wschodnią granicą. A niedaleko za nim byliby ci, którzy straszą ukraińskim banderowcem. Pewnie drugie miejsce w tym rankingu uzyskałby zatem Grzegorz Braun. Są też strachy z Bliskiego Wschodu: jedni straszą syjonistami, drudzy – islamistami.

To zarządzanie strachem m.in. dlatego jest tak bardzo teatralne, że nie tylko owego niedźwiedzia nie widać, ale też banderowców trzeba się trochę naszukać, zanim się ich znajdzie. Na pewno niczego porównywalnego z Paryżem, z zamieszkami, które oglądamy, tutaj nie ma. I dlatego głośniej trzeba krzyczeć.

Dla mnie symptomatyczne jest to, że już nie straszy się, jak kiedyś, zamykanymi fabrykami i bezrobociem.

– Dobrze pamiętam lata 90. Czego wtedy ludzie się bali? Że nie przeżyją do końca roku, że wypłata nie dojdzie, że bieda, bezrobocie itd. Minęło 30 lat i ludzie już tego się nie boją,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 818f3ad50a

mają zaspokojone swoje potrzeby materialne i nikt z głodu nie umrze, więc mogą przenieść swoje obawy w inne rejony.

A kto jest najbardziej podatny na straszenie? Jakie grupy?

– To idzie z pozycją społeczną. Najbardziej boją się najsłabsi. Konkurencji ze strony imigrantów boją się najbardziej ci, którzy najbardziej zależą od opieki społecznej, mają najsłabszy kontakt z rynkiem pracy i w największym stopniu muszą konkurować.

A ja myślałem, że przede wszystkim boją się ci, którzy najczęściej oglądają telewizję, emeryci.

– Nie. Należy jednak szukać źródeł strukturalnych. To przede wszystkim słabsi ekonomicznie mają największe obawy. Oni mogą doznać największej krzywdy i są najbardziej narażeni. Załóżmy, że jakaś dzielnica stanie się trudna do zamieszkania. Ten, kto ma fundusze, przeprowadzi się. A ten, kto mieszka w lokalu komunalnym, nigdzie się nie przeniesie. Nie może tego mieszkania sprzedać, a nie ma pieniędzy, by kupić inne. Zabrzmi to mało budująco, ale zasoby finansowe poszerzają wolność.

A oglądanie telewizji, rozrywka emerytów?

– Spójrzmy na to tak: starsi ludzie oglądają linearną telewizję, która unika ekscesów. A młodzi ludzie – co oglądają? Właściwie nie wiadomo co – oglądają to, co im podejdzie, co im Facebook albo TikTok jakimś algorytmem podsuną.

Mają większy mętlik w głowie.

– A z drugiej strony mają więcej informacji. I to ich dzieli. Bo ci mądrzejsi te informacje przeselekcjonują. A ci gorzej wykształceni – już nie. Jednak pozycja ekonomiczna i społeczna ma wpływ na to, czy otrzymuje się zweryfikowaną wiedzę.

Zastanawiam się, o czym świadczy podatność na strach? Czy jest ona wklejona w naturę ludzką, czy też po prostu politycy odkryli, że w dobie społeczeństwa masowego dosyć łatwo można ludźmi manipulować – albo im schlebiając, albo ich strasząc.

– Komunikacja społeczna odgrywa tu ogromną rolę. Ludzie są bombardowani kolejnymi komunikatami i coraz trudniej jest na bieżąco weryfikować ich realność. W przypadku lęków ekonomicznych mamy łatwą weryfikację – bo albo mamy za co się ogrzać, co zjeść, albo nie mamy. Natomiast jak zweryfikować potencjalne zagrożenie wojną, bo głównie tym nas się straszy? Jedni mówią, że dron już lata, drudzy, że owszem, lata, ale jeden, a poza tym to Ukraińcy go wysłali. A jak jest naprawdę? Trudno sprawdzić, zwłaszcza że to wszystko są tajemnice wojskowe, tajne przez poufne. W takiej sytuacji więc, jeżeli straszą, ale nic się nie dzieje, to naturalną koleją rzeczy strach opada.

O czym to wszystko świadczy? O politykach, że nie potrafią rozmawiać z wyborcami, więc muszą straszyć? Czy też o społeczeństwie, że tylko mocnymi komunikatami można do ludzi dotrzeć?

– Społeczeństwo jest, jakie jest. Ono się nie zmienia. A politycy? Jedni warci są drugich. Główna opozycja, czyli PiS, jest w takiej sytuacji, że właściwie nie może powiedzieć nic innego niż rządzący. Bo przecież wszyscy pamiętają politykę PiS, jak straszyło.

PiS właściwie nie może powiedzieć nic innego niż rządzący. Bo przecież wszyscy pamiętają politykę PiS, jak straszyło.

Pamiętają też słowa Karola Nawrockiego, który chwalił się, jakim to jego przyjacielem jest Donald Trump.

– Nawrocki jest przyjacielem Trumpa, jednocześnie politykiem mocno antyrosyjskim. Dlatego ostatnie wydarzenia, zbliżenie Trumpa i Putina, są – powiedziałbym – niezgodne z jego wizerunkiem. Co zatem robi? Tonuje te sprawy, pomija je.

Z kolei Jarosław Kaczyński straszy nas w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, przestrzega że zostanie zniszczony, przejęty przez Tuska. Chciałby zrobić wielką manifestację w obronie TK.

– Jarosław Kaczyński jest tutaj zupełnie niewiarygodny, bo wszyscy pamiętają Trybunał Konstytucyjny za jego czasów – jak go traktował i jak rzucał obelgi na wówczas protestujących.

Już Monteskiusz mówił, że zasadą despotyzmu jest lęk. To tłumaczy, dlaczego ci wszyscy kandydaci na ojców narodu straszą nas albo wrogami zewnętrznymi, albo krajowymi rywalami do władzy.

– No tak. A teraz zastanówmy się: mamy pluralizm? Mamy. Ale czy to jest autentyczny pluralizm? Tak. To nie jest fałszywy, pozorny pluralizm. Mamy pluralizm prawdziwy. Są w nim na równych prawach jedni i drudzy. Jedni nazywają się demokratami, drudzy – patriotami. I nawzajem sobą straszą, że ci drudzy chcą zabrać demokrację. Ale demokracja przecież wykuwa się w starciu wolnych sił. Demokracja nie jest własnością obozu demokratycznego, a patriotyzm nie jest własnością obozu patriotycznego. Zatem gadanie to jedno, a stan faktyczny to drugie.

Mówił pan, że w kłamstwie musi być trzy czwarte prawdy, żeby to kłamstwo było skuteczne.

– Chyba mniej więcej tak to wygląda, prawda? Informacja musi być dopasowana do struktur poznawczych odbiorcy, żeby do niego dotarła. Są na ten temat badania: informacje, które przejmujemy z tego oceanu newsów, są przez nas weryfikowane pod kątem zgodności z naszą dotychczasową wiedzą, doświadczeniem, przekonaniami i wartościami. Jeżeli są niezgodne, to je odrzucamy. W ogóle nimi się nie zajmujemy, traktujemy nadawcę jako manipulatora. Natomiast jeżeli są zgodne, to już jest mocne. Wtedy zarządzanie strachem może być skuteczne.

Mówiliśmy o straszeniu wojną, banderowcami albo uchodźcami. A inne dziedziny? Skuteczne może być straszenie, że budżet się zawali, bo ten rząd źle rządzi?

– Jest wiele dziedzin, w których można wzbudzać emocje. A jeśli chodzi o kwestie ekonomiczne, przez wiele lat, zwłaszcza w pierwszych latach III Rzeczypospolitej, stały one na pierwszym miejscu. Przecież

eprasa.pl 818f3ad50a

kilkanaście lat temu bieda, bezrobocie to nie był strach wyimaginowany, tylko jak najbardziej realny.

Tylko że jesteśmy jednak w szczególnym momencie naszej historii najnowszej. Bo wszelkie dane, zarówno twarde, ekonomiczne, dotyczące zarobków, jak i dane dotyczące postaw, które mierzy CBOS – ocena własnej sytuacji materialnej – pokazują, że żyje nam się coraz lepiej. Ostatnie lata, może poza okresem covidu, to czas, w którym obywatele obserwują ciągłą poprawę swojej sytuacji materialnej. Mają skalę porównawczą, jak się żyło parę lat temu, jak się żyje teraz. I konfrontują to.

Wychodzi na plus.

– Bezrobocie jest bardzo niskie, raczej brakuje pracowników. Te wszystkie opinie, że mamy kryzys ekonomiczny nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością. Jak więc w takiej sytuacji straszyć katastrofą budżetową? Po pierwsze, trzeba odpowiedzieć na pytanie, jaki jest rzeczywisty stan budżetu. Obywatelowi trudno weryfikować informacje, które w tej sprawie do niego docierają. Opozycja wysyła sygnały, że jest strasznie. Rząd mówi, że wcale nie jest tak źle. Te komunikaty są zrozumiałe dla wąskiego grona specjalistów. Ludzie zatem podchodzą do tego z dystansem.

Jest jeszcze jedna możliwość straszenia. Otóż, jeżeli uznajemy, że jest dobrze, można mówić, że ci inni wszystko przetracą, albo przyjdą jacyś obcy i nam to zabiorą. To, czego się dorobiliśmy ciężką krwawicą przez ostatnie lata, zostanie zmarnowane. Taka narracja też się pojawia.

– No właśnie, tak długo jak to jest narracja, to jest tylko zarządzanie opinią publiczną. I jeżeli ta narracja nie znajdzie na dłuższą metę potwierdzenia w faktach, będzie przynosić coraz mniejszy skutek. Natomiast jeśli zaczną się pojawiać symptomy, że jest jednak prawdziwa, to wchodzimy w zupełnie inną sferę.

A co może się pojawiać?

– Na przykład sygnały dotyczące pogarszającej się jakości usług publicznych po napływie uchodźców z Ukrainy. Ale były one pojedyncze, bardziej jako niedogodność niż zagrożenie. Jakość usług publicznych, opieki zdrowotnej, szkół – o tym mówiono. Nie przekroczyło to masy krytycznej, nie przerodziło się w poczucie zagrożenia. Tutaj, przy okazji, zwróćmy uwagę na jeszcze jeden wątek. W mediach przedstawiane są obrazy z Francji, Belgii, z zamieszek.

Płonie ratusz w Limoges, na ulicach miast palą się samochody.

– Czy wpływa to na nasz poziom lęku? Ludzie sobie myślą: te rozróby wzniecają imigranci. A u nas? Ukraińcy pracują, na ulicy ich się nie odróżni, są tacy sami jak my. Czyli relacje z Francji nie wpływają na nasz poziom lęku. Powiedziałbym nawet, że nas uspokajają, bo u nas jest porządek, ładnie i czysto. A przecież jeszcze nie tak dawno mieliśmy kompleksy, jeździliśmy do Paryża, Mediolanu, Brukseli, żeby popatrzeć, jak dobrze jest urządzony elegancki, wielki świat. A teraz, proszę, cywilizacyjnie nadgoniliśmy.

Czyli doszliśmy do sytuacji, w której społeczeństwo – czy też jego większa część – jest w miarę zadowolone ze swojego statusu. Dorobiliśmy się, miasta ładnie wyglądają i teraz politycy nas straszą, że przyjdzie ktoś i nam to zabierze. Tę naszą świeżo zdobytą zasobność i dobrze ułożony kraj.

– Sęk w tym, że tego kogoś nie ma. Politycy raczej straszą więc jedni drugimi. Oglądałem niedawno wystąpienie premiera, który teraz kontaktuje się bezpośrednio ze społeczeństwem. Mówił, że niewiele brakowało, a mielibyśmy mniej więcej taką sytuację jak w Paryżu. Bo to właśnie za rządów PiS nielegalna i legalna migracja była bardzo rozpowszechniona, mieliśmy aferę wizową. Dopiero obecny rząd tę sytuację zabezpieczył. Uratował nas przed falą imigrantów. Symptomatyczne było to jego straszenie Prawem i Sprawiedliwością.

Mamy społeczeństwo, które swoje wie i patrzy na politykę jak na spektakl? Robimy swoje, a poza tym jesteśmy jak widownia w teatrze – przyglądamy się, jak politycy szaleją na tej scenie.

– Wszystko zależy od tego, czy rzeczywistość potwierdza te różne zagrożenia. Jeżeli widzimy je z poziomu ekranu telewizora, to patrzymy jak na spektakl. Jest Bliski Wschód. Oczywiście widzimy na stacji paliw skutki tego konfliktu. Ale czy tego się boimy? Raczej traktujemy to jako niedogodność, ponieważ benzyna jest droższa. Patrzymy na Paryż, na Donieck i widzimy, co tam się dzieje, wiemy, że są to zagrożenia, ale – jeśli chodzi o Polskę – raczej potencjalne. Suwalszczyzny czołgi nie atakują, ataków islamistycznych w Warszawie nie ma.

Mamy pluralizm – nie fałszywy, pozorny, ale pluralizm prawdziwy. Jedni i drudzy są w nim, na równych prawach.

Jeżeli to straszenie jest raczej średnio skuteczne, to może rządzący powinni z ludźmi inaczej rozmawiać? W inny sposób? Na inne tematy?

– Wydaje mi się, że ludzie mają swoją mądrość i – użyję kolokwializmu – wiedzą, po której stronie posmarowany jest chleb. Nie dadzą się wodzić za nos. Podpowiadałbym zatem najprostsze rozwiązanie, czyli jak najbardziej uczciwą rozmowę z ludźmi, z obywatelami. Zarządzanie strachem, moim zdaniem, jest możliwe tylko na krótką metę, do momentu realnej weryfikacji.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 818f3ad50a

OFIARA LOSU

Czy bp Andrzej Jeż będzie pierwszym hierarchą w Polsce skazanym za tuszowanie pedofilii?



29 października 2026 r. Sąd Rejonowy w Tarnowie ogłosi wyrok w sprawie bp. Andrzeja Jeża, który zwlekał z powiadomieniem prokuratury o przestępstwach seksualnych dwóch księży swojej diecezji.

Andrzej Sikorski

29 października 2026 r. przejdzie do historii polskiego wymiaru sprawiedliwości i Kościoła katolickiego. Tego dnia Sąd Rejonowy w Tarnowie ogłosi wyrok w sprawie ordynariusza tarnowskiego bp. Andrzeja Jeża, który choć wiedział o przestępstwach seksualnych dwóch księży swojej diecezji, zwlekał z powiadomieniem o tym prokuratury. Duchownemu grożą nawet trzy lata więzienia.

Pedofile na wolności

Ks. Stanisław P., wyświęcony w 1984 r., przez co najmniej 20 lat bezkarnie molestował dzieci, a o jego przestępczej działalności wiedzieli przełożeni, którzy byli informowani przez księży, wiernych, nauczycieli i rodziców. Zamiast zawiadomić prokuraturę, biskupi (Jerzy Ablewicz, Jerzy Życiński i Wiktor Skworc) przenosili pedofila do kolejnych parafii, gdzie znajdował nowe ofiary. W sumie było ich co najmniej 95, w tym dwóch chłopców z Ukrainy. Stanisław P., który zaliczył kilkanaście parafialnych placówek, w pewnym momencie miał już tak zszarganą opinię, że stał się persona non grata w Polsce i ukryto go za wschodnią granicą, w diecezji kamieniecko-podolskiej. Tam też wykorzystywał dzieci. Lubieżnemu księdzu włos z głowy nie spadł, bo choć prokuratura przeprowadziła śledztwo i zebrała dowody popełnionych przestępstw, sprawa uległa przedawnieniu.

Zamiast znaleźć się na ławie oskarżonych, Stanisław P. trafił do domu księży emerytów, gdzie otoczono go troskliwą opieką. Podobno jeździł na pielgrzymki do Włoch z wiernymi i uczestniczył w uroczystościach kościelnych, widywany był też w otoczeniu dzieci i młodzieży…

Natomiast Tomasz K. miał dopuścić się czynów o charakterze seksualnym wobec trzech osób, w tym jednej poniżej 15. roku życia. Prokuratura postawiła mu nawet zarzuty, ale jak orzekł biegły sądowy, stan zdrowia kapłana nie pozwalał na to, aby mógł on uczestniczyć w dalszych czynnościach, a śledztwo zostało zawieszone.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że do 2017 r. hierarchowie mogli bezkarnie chronić przestępców seksualnych w sutannach, więc na ławie oskarżonych nie zasiadł abp Wiktor Skworc (Ablewicz i Życiński nie żyją), poprzednik Jeża w diecezji tarnowskiej. Obecny metropolita katowicki w procesie swojego kolegi był jedynie świadkiem.

Nie miał świadomości

W sprawie Andrzeja Jeża kluczowe są daty. Szczególnie bulwersujący jest przypadek ks. P. Hierarcha zawiadomił prokuraturę dopiero w 2020 r., po tym, jak sprawę nagłośnił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, oskarżając władze kościelne o rozpięcie parasola ochronnego nad pedofilem, za co w odwecie wytoczono mu proces za naruszenie dóbr. Tymczasem o przestępczej działalności księdza Jeż musiał wiedzieć co najmniej od 2012 r., gdy został biskupem tarnowskim (od 2009 r. był biskupem pomocniczym).

Andrzej Jeż nie przyznaje się do winy. „Jestem oskarżony za gorliwość. Gdybym w ogóle nie zgłosił sprawy prokuraturze, całego tego procesu by nie było”, oświadczył

FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 818f3ad50a

hierarcha przed sądem, co zabrzmiało kuriozalnie.

Inne wyjaśnienia też były niedorzeczne. „W 2017 r. nie mieliśmy automatycznej świadomości zmiany prawa karnego. W ogóle nie miałem świadomości wejścia w życie tej nowelizacji. Dopiero pojawiające się sprawy spowodowały, że na przełomie 2018/2019 r. ta świadomość pojawiła się z całą wyrazistością. W 2019 r. Konferencja Episkopatu Polski wydała wytyczne, w których podkreśliła, że artykuł nakazujący niezwłoczne powiadomienie o przestępstwach seksualnych wobec nieletnich obowiązuje każdego duchownego", stwierdził duchowny.

O zmianie prawa szeroko informowały media świeckie i kościelne. 14 lipca 2017 r. (a więc dzień po wejściu w życie nowych przepisów) Katolicka Agencja Informacyjna opublikowała na ten temat analizę prawną przygotowaną przez ks. prof. dr. hab. Piotra Majera, wykładowcę Wydziału Prawa Kanonicznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Kościelny uczony wskazał, że nowe prawo stawia w nowej sytuacji przełożonych kościelnych w odniesieniu do duchownych oskarżanych o przestępstwa seksualne. Przy tym nieprawdą jest, że dopiero w 2019 r. KEP wydała wytyczne odnośnie do zmiany kodeksu karnego. Takie wytyczne pojawiły się już 6 czerwca 2017 r., kiedy to biskupi dokonali nowelizacji „Wytycznych dotyczących wstępnego dochodzenia kanonicznego w przypadku oskarżeń duchownych o czyny przeciwko szóstemu przykazaniu Dekalogu z osobą niepełnoletnią poniżej osiemnastego roku życia" z 2014 r. oraz Aneksu II do tego dokumentu: „Procedura postępowania".

Już w preambule do „Wytycznych" napisano, że podczas wyjaśniania wszelkich podejrzeń o niewłaściwe zachowania duchownych oraz wyciągania konsekwencji prawnych władze kościelne będą działać „przy poszanowaniu prawa obowiązującego w Polsce". Przypomniano przepisy kodeksu karnego, wskazując na odpowiedzialność biskupów i innych duchownych w przypadku popełnienia przestępstw, za które prawo państwowe przewiduje karę.

Biskup tarnowski utrzymywał przed sądem, że nie miał pojęcia o pedofilii podwładnych, bo „nikt do niego bezpośrednio się nie zwracał, jeśli chodzi o osoby pokrzywdzone czy osoby z nimi związane", ale jednocześnie dodał, że diecezja próbowała skontaktować się z ofiarami księży pedofilów i zachęcać je do zgłoszenia sprawy policji i prokuraturze, jednak ci nie chcieli tego zrobić. „Chyba głównie ze strachu przed ostracyzmem w swoim środowisku nie dokonywały tych zgłoszeń, obawiały się swojego środowiska", oświadczył hierarcha.

Arcypasterz wywodził, że nie zawiadamiał prokuratury o przestępstwach Stanisława P., bo chciał, aby najpierw zarzutami zajęły się władze kościelne, zdarzało się bowiem, że informacje o nadużyciach seksualnych księży nie były wiarygodne, a ci musieli ponosić konsekwencje pomówień. Dodał jednocześnie, że wiedział, iż proboszcz nie miał dobrej opinii, a do kurii już kilkanaście lat temu napływały informacje o jego przestępczych skłonnościach. A tak w ogóle, to sprawami pedofilii wśród duchownych zajmował się specjalnie ustanowiony delegat diecezjalny, który miał pełną swobodę działania i nie musiał się tłumaczyć biskupowi.

Farmazony księdza kanclerza

Tym delegatem jest nie byle kto, bo sam kanclerz diecezji tarnowskiej, ks. Robert Kantor, który w 2020 r. w imieniu kurii pozwał do sądu ks. Isakowicza-Zaleskiego za oskarżenia o tuszowaniu pedofilii. Kantor przesłuchiwany w tarnowskim sądzie jako świadek stwierdził, że o ks. Stanisławie P. dowiedział się dopiero w 2019 r., gdy z Ukrainy przyszły materiały wskazujące, że ten molestował tam dwóch chłopców. Według Kantora dokumenty nie były wiarygodne, bo nie było tam dat urodzenia pokrzywdzonych i nie były profesjonalnie przetłumaczone na język polski (sic!). Dalej Kantor wywodził, że musiał zweryfikować zarzuty. Gdy sąd zwrócił uwagę, że może należało przekazać materiały organom przygotowanym do weryfikacji, czyli prokuraturze i policji, kanclerz odparł, że „pewnie można by było, ale mieliśmy przypadki duchownych, gdy dochodzenia prokuratorskie czy orzeczenia sądów karnych kończyły się fiaskiem, a kanoniczne wydaleniem ze stanu duchownego".

Niestety, ksiądz dobrodziej mijał się z prawdą. W aktach sprawy znajdują się dokumenty z których wynika, że już w 2002 r. władze kościelne zostały zaalarmowane przez rodziców dwójki chłopców w wieku dziewięciu i siedmiu lat, których katechetą był P., że byli przez niego molestowani. Biskup nic z tym nie zrobił. W następnych latach do kurii wpływały kolejne doniesienia o „niestosownych" z rachowaniach księdza, a w 2010 r. wszczęto kościelne dochodzenie, które zakończyło się dekretem skazującym duchownego.

Proces kościelny prowadził nie kto inny, jak właśnie ks. Kantor, ale z powodu zaniku pamięci nie mógł nic powiedzieć przed sądem o tej sprawie (sic!). Jednocześnie pytany, dlaczego nie zgłoszono sprawy ks. P. po ukaraniu go w postępowaniu wewnątrzkościelnym w 2013 r., gdy zmieniony kodeks karny to nakazywał, kanclerz odpowiedział: „Nie zgłaszałem sprawy, którą prowadziłem wcześniej, po 2017 r., bo uznawałem, że prawo nie działa wstecz". Z kolei na pytanie, dlaczego w 2002 r. nic nie zrobiono z zawiadomieniem rodziców dwóch molestowanych chłopców, Kantor stwierdził krótko: „Nie wiem".

W aktach sprawy jest też mejl od kobiety, która opisała, że jako dziecko była świadkiem molestowania jej kolegów z klasy przez ks. Stanisława P. na lekcjach religii. Kanclerz nie powiadomił prokuratury, bo, jak oświadczył, „informacje mailowe czy telefoniczne nie są zbyt wiarygodne" i „nie wiadomo, kto może podszywać się pod nadawcę".

Mógłbym jeszcze długo wskazywać kłamstwa, manipulacje i sprzeczności w zeznaniach Andrzeja Jeża i Roberta Kantora. Ale zapewne zrobi to sąd w uzasadnieniu wyroku. Natomiast obrońca biskupa, prof. Zbigniew Ćwiąkalski, stwierdził, że jego klient jest „kozłem ofiarnym". Pytany, czy tak się czuje, Jeż odpowiedział łacińską sentencją: „Sapienti sat". ■

eprasa.pl 818f3ad50a

POLSKIE GÓRNICTWO
LIKWIDACJA ZAMIAST NAPRAWY



Gdy nasze kopalnie niszczeją, do kraju wlewa się rzeka węgla z zagranicy

Mateusz Cieślak

Ostatnio prasę obiegła informacja o wygaszaniu trzech śląskich kopalń. Informacja jest jednak nieprawdziwa, gdyż trudno zamykać firmę, która praktycznie już nie działa.

Żal czy nie?

Ostatni wagon z węglem wyjechał z kopalni Bielszowice 25 czerwca tego roku. W tym dniu zakład uroczyście umarł. Trupa niespecjalnie żałują mieszkańcy Rudy Śląskiej i Zabrza, których domy regularnie się trzęsły, gdyż złoża węgla znajdowały się pod miastami. A i koszt jego wydobycia był wyższy, gdy ciągle trzeba było płacić za popękane budynki, uszkodzone rury wodociągowe i ciepłownicze, za naprawy gazociągów oraz za inne szkody i zniszczenia.

Pod ziemią pozostały jednak spore pokłady bardzo dobrego węgla w typie stosowanym w koksownictwie. I do rządzących należy skierować pytanie, co z tym węglem będzie. Po złoża te łatwo można sięgnąć z innych kopalń, które działają. A skoro Polska i cała Unia Europejska rozwijają własny przemysł zbrojeniowy, to koks jest potrzebny. Bez niego nie da się przecież wyprodukować stali.

Bobrek, kolejna z wygaszanych kopalń, umarł 30 grudnia 2025 r. Decyzję o jej zamknięciu podjęto po tragicznej śmierci górnika. Zdaniem Wyższego Urzędu Górniczego w kopalni tej nie da się już bezpiecznie prowadzić wydobycia. Pozostały nostalgia i oczekiwania wobec rządu.

– Przed nami likwidacja ostatniej kopalni węgla kamiennego w Bytomiu, w którym jeszcze kilka dekad temu działało siedem kopalń i dwie huty – mówił prezydent miasta Mariusz Wołosz. – Ta chwila może być nowym początkiem dla Bytomia, o ile Polska zechce spłacić dług, jaki zaciągnęła wobec miasta. Jesteśmy przygotowani do transformacji terenów pokopalnianych. Przedstawiliśmy dobre koncepcje ich zagospodarowania. Takie, które przyniosą realne korzyści miastu i pozwolą utworzyć nowe miejsca pracy. Czekamy teraz na ruch rządu. Mam nadzieję, że pan premier nie zapomni o obietnicach złożonych Bytomianom i Bytomiankom.

Z kopalni na Marsa

Podobne apele płynęły z Katowic. Tym razem nie tylko z ust włodarzy miasta, ale całego regionu. Na wieść o tym, że zamykany jest Wujek, dr Tomasz Rożek zaproponował, by w podziemiach tej legendarnej katowickiej kopalni utworzyć poligon kosmiczny i przygotowywać się do kolonizacji Księżyca oraz Marsa.

Pomysł podchwyciły Ministerstwo Nauki, Uniwersytet Śląski oraz lokalne władze. W kopalni Wujek miałoby powstać Centrum Technologii Kosmicznych oraz Centrum Symulacji Osadnictwa Kosmicznego. Z punktu widzenia całego naszego kraju ma to wielki sens. Od 2012 r. Polska należy do Europejskiej Agencji Kosmicznej. Na jej działalność płacimy ogromne składki. Tylko w latach 2026-2028 zapłacimy 731 mln euro. Agencja zakłada, że potem te pieniądze wydawane będą w krajach, które płacą składki. Ale nasz przemysł kosmiczny jest zbyt rachityczny, by wykorzystać tak ogromne sumy.

W listopadzie ub.r. polski rząd podpisał w Bremie list intencyjny w sprawie budowy w Polsce ośrodka Europejskiej Agencji Kosmicznej. O to centrum walczyły więc

eprasa.pl 818f3ad50a



Znajdująca się niedaleko Mikołowa kopalnia Bolesław Śmiały ma zostać zamknięta pod koniec 2028 r.

Katowice, Kraków i Gdańsk. Rządzący pokazali regionom figę i zdecydowali, że centrum powstanie w Warszawie. Czy to oznacza rezygnację z budowy poligonu kosmicznego, który jest bardzo potrzebny? Nie wiadomo.

O tej ostatniej z trójki rzekomo wygaszanych kopalń warto wspomnieć z jeszcze jednego powodu. Sposób jej likwidowania wywołał gwałtowne protesty. Pod koniec sierpnia część załogi Wujka rozpoczęła podziemny strajk. Górnicy żądali przywrócenia dyrektora. Odwołano go, ponieważ nie godził się na to, by likwidację kopalni prowadzono poprzez wynajęcie podmiotu zewnętrznego. Do wszystkich prac wykorzystywał zatrudnionych w Wujku górników. To, co miała robić jakaś firma zewnętrzna, robili oni, w ramach swoich etatowych obowiązków. Co było dużo tańsze.

Kto zgasi światło w kolejnych kopalniach

Bogusław Ziętek, przewodniczący związku Sierpień 80, podkreśla, że dziś trzeba mówić już o innych kopalniach. I wymienia dwie, w których światło rząd planuje zgasić już wkrótce. Znajdujący się niedaleko Mikołowa Bolesław Śmiały ma zostać zamknięty pod koniec 2028 r., a Sośnica rok później. Zamknięcie Sośnicy miałoby wymiar symboliczny – jest ona ostatnią kopalnią działającą w Gliwicach. Mieście, w którym przed laty utworzono Politechnikę Śląską, by kształciła m.in. górników.

Likwidacja obu kopalń podyktowana jest wyłącznie względami ideologicznymi. Sośnica to kopalnia bardzo nam potrzebna. Ma ogromne złoża węgla, który można wydobywać jeszcze przez lata. Długie wybiegi ścian i wysokie oraz szerokie pokłady sprawiają, że węgiel ten można też wydobyć tanio. W dodatku jest to węgiel bardzo dobry, nadaje się idealnie do ogrzewania domów. Bolesław Śmiały to z kolei kopalnia, obok której zbudowano elektrownię i elektrociepłownię. Zamiast statkami z Kolumbii czy koleją z Kazachstanu węgiel do elektrowni Łaziska trafia najzwyklejszym taśmociągiem.

Co więcej, ta kopalnia ma dostęp do nieruszonych jeszcze złóż, umiejscowionych dosyć płytko, pod łąkami czy lasami. Ten węgiel można by wydobyć tanio i bez niszczenia tego, co zbudowano na powierzchni.

– Likwidacja tych kopalń już w 2028 i 2029 r. to, po pierwsze, dowód barbarzyństwa, a po drugie, działanie całkowicie wbrew interesom energetycznym naszego kraju – uważa przewodniczący związku Sierpień 80 Bogusław Ziętek.

Politycy likwidują górnictwo i energetykę węglową, podczas gdy nie wiadomo, co w zamian.

Politycy szykują nam wszystkim wielki problem. Likwidują górnictwo i energetykę węglową, podczas gdy nie wiadomo, co w zamian. Produkujemy dużo prądu z fotowoltaiki, ale tylko przez 80 dni w roku, bo taki mamy klimat. Kiedy słońce zachodzi, fotowoltaika nie działa. Wtedy spółki energetyczne włączają dodatkowe

FOT. TOMASZ KAWKA/EAST NEWS

eprasa.pl 818f3ad50a

turbiny, a że ich rozruch kosztuje, to za ten prąd płacimy dużo drożej, niż gdyby wszystkie bloki elektrowni węglowych działały cały czas.

Nie wiadomo, jak długo te awaryjne turbiny będą jeszcze działać. Skoro są przeznaczone do zamknięcia, nikt ich nie remontuje. Niedługo ma zostać zamknięty blok elektrowni Bełchatów. Mitem jest to, że ma go zastąpić elektrownia jądrowa. Dopiero trzy takie atomówki zastąpiłyby moce wyłączone w Bełchatowie.

Podobno nasze górnictwo jest niewydajne i drogie. Dlatego sprowadzamy węgiel z zagranicy, w ogromnych ilościach. Mało kto wie, że obecnie połowa węgla z importu pochodzi z Kazachstanu. Jedzie do nas rosyjską koleją albo płynie z portów Rosji. W ten sposób, niszcząc polskie kopalnie, finansujemy wojnę Putina.

Górnictwo na ławie oskarżonych

Jeśli nawet nasze górnictwo rzeczywiście jest niewydajne i drogie, warto zapytać, dlaczego. Być może dlatego, że na czele największej spółki wydobywającej węgiel, czyli Polskiej Grupy Górniczej, politycy postawili pana prowadzącego kancelarię prawną. Jego innym osiągnięciem było zdobycie mandatu radnego miejskiego. W radzie reprezentował partię, która wtedy wygrała wybory, czyli PiS.

Ale następcy PiS wcale nie są lepsi. Wiceprezesem od spraw ekonomicznych w Jastrzębskiej Spółce Węglowej mianowano człowieka, którego firma zachęcała ludzi do inwestowania w słynny film „Dziewczyny z Dubaju". Słynny dlatego, że skończył się wielką finansową klapą. W czerwcu tego roku prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko producentowi filmu. Prokuratura twierdzi, że ów producent oszukał osoby inwestujące w film.

By zrozumieć mechanizmy niszczenia górnictwa i fachowców, którzy nim kierowali, trzeba się cofnąć kilkanaście lat. Do sprawy spółki EMES Mining Service, zatrudniającej kilka tysięcy osób i wykonującej różne prace dla kopalń. Spółka ta zajmowała się m.in. wdrażaniem rozwiązań, które sprawiały, że kopalnie wydobywały węgiel taniej. Patent zastosowany w kopalni Pniówek przyniósł temu zakładowi 900 mln zł oszczędności.

Kolejne rozwiązania, opatentowane przez właściciela tej firmy, planowano wprowadzić w całej Jastrzębskiej Spółce Węglowej. To się nie udało. Współwłaściciel firmy, autor licznych patentów, zachorował na raka. Wtedy drugi wspólnik udał się do katowickiej siedziby ABW. Powiedział, że ma notesy, w których zapisywał, jakie łapówki dostawali szefowie kopalń oraz spółek górniczych. Otrzymał status świadka koronnego. Pozwolono mu nadal prowadzić firmę, a jego notesy i zeznania posłużyły do zatrzymania bardzo wielu osób.

Pod ziemią pozostały spore pokłady bardzo dobrego węgla w typie stosowanym w koksownictwie. Do rządzących należy skierować pytanie, co z tym węglem będzie.

W polskim górnictwie było to niczym tsunami. Na ławie oskarżonych posadzono ponad 20 osób: prezesów Kompanii Węglowej (dziś Polska Grupa Górnicza), Katowickiego Holdingu Węglowego, ludzi pełniących kierownicze funkcje w Jastrzębskiej Spółce Węglowej oraz dyrektorów wielu kopalń. Mieli oni przyjmować łapówki, a dowodami były zapiski i zeznania autora tychże notatek.

Nikt się nie przyznał, ale sąd pierwszej instancji dał wiarę notatkom i zeznaniom świadka koronnego. Szefowie kopalń i spółek górniczych otrzymali różne wyroki – od zawieszenia kary więzienia po kilka lat odsiadki. Wyrok nie jest prawomocny.

Ta sprawa była ciosem dla polskiego górnictwa, po którym już tylko coraz bardziej dołowało. W pewnym momencie doszło nawet do tego, że bano się organizować przetargi na zakup zwykłych łopat.

I gdy polskie kopalnie niszczeją, do kraju wlewa się rzeka węgla z zagranicy. A są to takie ilości, że trudno uwierzyć, by działo się to bez wiedzy i błogosławieństwa polityków.

Mateusz Cieślak



eprasa.pl 818f3ad50a

HISTORIA bez IPN

czyli protest przeciwko manipulacjom, kłamstwom i znieważaniu bohaterskich żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

---

Fałszerze historii z IPN czarną farbą malują jedną z najpiękniejszych kart polskiego oręża



66 zł

CHWAŁA BOHATERSKIM ZDOBYWCOM BERLINA

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 818f3ad50a

PKB nie ogrzeje mieszkania ani nie zapełni lodówki

Ubóstwo zaczyna się tam, gdzie kończy się wybór

Maciej Belowski

– Pamiętam panią Wandę, która miała ponad 90 lat i podeszła podziękować za kanapki. Ze łzami w oczach mówiła, że były z masłem, a ona nie jadła go od kilku lat, bo jest takie drogie. To było jak uderzenie deską w głowę, bo na co dzień w ogóle byśmy nie pomyśleli, że to może być luksus – opowiada Patrycja Drożyńska, koordynatorka wolontariatu Fundacji Daj Herbatę, która organizuje poniedziałkowe wydawki posiłków na dworcu.

Takich osób jak pani Wanda jest w Polsce wiele. Według raportu „Poverty Watch 2026. Ubóstwo, warunki życia i polityka społeczna" (EAPN Polska, 17 października 2026), opartego na danych GUS („Zasięg zagrożenia ubóstwem ekonomicznym w Polsce w 2025 r.", czerwiec 2026), w skrajnym ubóstwie, czyli z wydatkami poniżej minimum egzystencji, żyło w 2025 r. 5,3% mieszkańców (ok. 2 mln osób). Poniżej minimum socjalnego, obejmującego także wydatki potrzebne do pracy, nauki i kontaktów z innymi ludźmi, znajdowało się 40,3% osób w gospodarstwach domowych (orientacyjnie ok. 15 mln mieszkańców).

Największą barierą jest wstyd

Zmieniło się to, kto zgłasza się do Fundacji Daj Herbatę. Kiedy fundacja zaczynała, wszystkie osoby korzystające z jej pomocy były w kryzysie bezdomności. Dziś są wśród nich ubodzy seniorzy, osoby uchodźcze i ludzie z problemami finansowymi, jak wskazuje Patrycja Drożyńska: – To również osoby, które pracują, ale nie spina im się miesięczny budżet. Albo osoby, które były długo w kryzysie, bo nie miały pracy, teraz tę pracę znalazły, ale pierwsza wypłata jest po miesiącu, a przez ten miesiąc też coś trzeba jeść.

Poza tym, co podkreśla Drożyńska, grupa potrzebujących się zwiększa. – Ta skala cały czas rośnie. Przed pandemią wydawaliśmy mniej więcej 80-100 posiłków w każdy poniedziałek, po pandemii – ponad 200. W tej chwili wydajemy ich średnio 500.

W pamięć zapadła jej pewna historia: – Wspieramy dwie panie, które razem mieszkają, żeby było łatwiej. Po dłuższym czasie wspierania ich podstawowymi rzeczami, takimi jak paczka spożywcza i środki higieniczne, powiedziały, że dzięki tej pomocy po raz pierwszy od wielu miesięcy mogły wykupić wszystkie recepty.

Wielu osobom trudno jednak w ogóle przyjść po pomoc. Drożyńska mówi, że największą barierą jest wstyd. – Wiemy, kto jest pierwszy raz. Widać, jak człowiek się boi, jak spuszcza głowę, jak obawia się odezwać. Często przychodzą osoby w takich emocjach, że płaczą, i przez dłuższy czas musimy je uspokajać rozmową. Wstyd jest straszny. Ludzie starają się do ostatniego momentu udawać, że jednak nie jest tak źle. Wielu seniorów, którzy do nas przychodzą, to osoby czyściutkie, zadbane, w ładnych ubraniach, jeszcze z poprzedniego, bardziej dostatniego życia. Podejrzewam, że nikt z ich sąsiadów nawet się nie domyśla, że muszą przychodzić po bezpłatne jedzenie, bo inaczej by głodowali.

O wstydzie przed proszeniem o pomoc piszą też internauci w dyskusjach o tym, jak radzą sobie ludzie w trudnej sytuacji finansowej. „Sam miałem okres w życiu – na szczęście dawno za mną – kiedy chodziłem notorycznie głodny, bo albo wybierałem jedzenie, albo rachunki za wynajmowany pokój, żeby nie wylądować na bruku", napisał w komentarzu na Reddicie jeden z użytkowników.

Dr hab. Sławomir Kalinowski: Na polskiej wsi bieda ma dodatkowy koszt – koszt odległości. Odległość mierzy się nie tylko w kilometrach, ale i w utraconych szansach.

Nie wszyscy jednak patrzą na ludzi w gorszej sytuacji finansowej z takim zrozumieniem. Napisał do mnie ktoś, nazwijmy go Mariusz, kto uważa, że wstydzą się ci, którzy naprawdę potrzebują pomocy, a są też tacy, którzy wykorzystują luki prawne, pracują na czarno i nie wykazują dochodów. „Są ludzie rzeczywiście ubodzy i biedni, ale oni się wstydzą. Niektórzy przychodzą nawet do mnie, nie stać ich na zapłacenie za światło, to mówię im, żeby poszli do ośrodków pomocowych. A oni uważają, że nie będą się ujawniać, bo się tego wstydzą. A ci, co mają pieniądze i kombinują przez całe życie, to dalej będą kombinować i żyć na koszt innych, i zawsze udawać biednych".

eprasa.pl 818f3ad50a



Według Patrycji Drożyńskiej Fundacja Daj Herbatę przed pandemią wydawała w każdy poniedziałek 80-100 posiłków, po pandemii – ponad 200, teraz średnio 500.

Według komunikatu CBOS „Społeczne postrzeganie ubóstwa" (nr 9/2026), opartego na badaniu z listopada 2025 r., tylko 3% respondentów określiło samych siebie jako biednych. Po raz pierwszy w historii pomiarów za główną przyczynę, dla której ludzie nie mogą wydostać się z biedy, Polacy uznali niezaradność życiową i bezradność w załatwianiu spraw (56%). Na drugim miejscu znalazły się lenistwo i niechęć do pracy (51%).

„Poverty Watch" nie szacuje skali nadużyć świadczeń ani tego, jak osoby w ubóstwie wydają pieniądze, więc nie rozstrzyga, jak często zdarzają się sytuacje opisywane przez Mariusza.

Na opinię, że biedni sami są sobie winni, koordynatorka wolontariatu Patrycja Drożyńska reaguje tak: – Ocenianie i dawanie dobrych rad bardzo łatwo przychodzi osobom, które nie mają pojęcia o problemach innych. Zawsze mówię: wejdź w ich buty i dopiero wtedy dawaj dobre rady. Można powiedzieć: proszę sobie znaleźć pracę, ale powiedzieć to pani, która ma 94 lata i przychodzi do nas na wydawkę? To często osoby, które pracowały całe życie, tylko na niższych stanowiskach.

Biednym nie przybywa

13 października minister finansów Andrzej Domański napisał na platformie X, że według prognozy Międzynarodowego Funduszu Walutowego „polska gospodarka w 2027 r. przegoni Szwajcarię pod względem nominalnego PKB". Tymczasem w 2025 r. przeciętne realne dochody gospodarstw domowych wzrosły o 6,7% („Sytuacja gospodarstw domowych w 2025 r. w świetle badania budżetów gospodarstw domowych", GUS 2026).

Zdaniem dr. hab. Ryszarda Szarfenberga, profesora UW, politologa, przewodniczącego Rady Wykonawczej EAPN Polska i autora raportu „Poverty Watch", to stary problem. Polega na tym, że średnia poprawa nie oznacza zmiany na lepsze dla wszystkich. – Jeżeli średnio się poprawia, to trzeba zapytać, czy tempo poprawy jest takie samo dla najbiedniejszych jak dla klasy średniej czy zamożniejszych. Mówi się, że wzrost gospodarczy podnosi wszystkie łodzie, ale jedne podnosi bardziej, drugie mniej, a niektóre wręcz toną, bo fala była dla nich za duża. Widać to w najnowszych danych GUS: w 2025 r. średni dochód rósł szybciej niż mediana, a udział najzamożniejszej dziesiątej części w dochodach wzrósł. Ubóstwo skrajne nie zmalało, a realne dochody rencistów nawet się zmniejszyły. Bogatszym przybywa szybciej, a części biednych – wcale.

Podobnie ocenia to ekonomista dr hab. Sławomir Kalinowski, profesor Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN. – Gospodarka może rosnąć, a człowiek nadal może stać w miejscu. PKB nie ogrzewa mieszkań ani nie zapełnia lodówek. Nie oznacza to, że wszyscy biednieją. Oznacza natomiast, że efekty wzrostu gospodarczego rozkładają się nierównomiernie, a część społeczeństwa pozostaje na jego marginesie.

O tym, czy wzrost dotrze do najuboższych, według prof. Szarfenberga decyduje polityka państwa wobec świadczeń. – Wzrost gospodarczy jest ważny, żeby finansować świadczenia i usługi dla najuboższych, ale potrzebne są do tego decyzje polityczne. My, czyli EAPN Polska, walczymy o to, żeby wreszcie wprowadzić coroczną waloryzację kryteriów dochodowych w pomocy społecznej i w zasiłkach rodzinnych. Resort rodziny przygotował taki projekt już na początku 2025 r., ale nic się nie

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

eprasa.pl 818f3ad50a

dzieje. Ministerstwo Finansów zablokowało go ze względu na koszty, które wiceministra rodziny szacowała na ok. 600 mln zł rocznie. To zaskakuje, bo minister finansów chwali się, że wyprzedziliśmy Szwajcarię pod względem wielkości gospodarki. A kryteria w zasiłkach rodzinnych stoją w miejscu od 2015 r., kwoty zasiłków – od 2016 r. Jeśli świadczenia dla tych w najgorszej sytuacji nie są waloryzowane, to mechanizm przenoszenia poprzez świadczenia i podatki wzrostu zamożności do tych, którzy mają gorzej, jest za słaby.

Pensja, która nie wystarcza

Wielu rozmówców opisuje ludzi, którzy pracują, a mimo to nie wiążą końca z końcem. Prof. Kalinowski wskazuje, że to coraz częstszy obraz biedy w Polsce. – Można pracować, płacić rachunki, oszczędzać na wszystkim, a mimo to każdego miesiąca stawać przed wyborem: ogrzewanie, leki czy odpowiednia żywność. Najsilniej uderzają po kieszeni wydatki, których nie można odłożyć na później: żywność, energia, mieszkanie, transport. Spadek inflacji nie oznacza spadku cen. Ceny rosną wolniej, ale wcześniejsze podwyżki nie zniknęły. Dla wielu rodzin oznacza to życie bez finansowego marginesu bezpieczeństwa.

Rośnie także odsetek dzieci żyjących w skrajnym ubóstwie. Według danych z raportu „Zasięg zagrożenia ubóstwem ekonomicznym w Polsce w 2025 r." – z 5,4% w 2024 r. do 6,6% w 2025 r. Prof. Szarfenberg tłumaczy to słabnącą siłą świadczeń rodzinnych. – Siłą świadczenia wychowawczego była jego duża hojność, a mierzymy ją m.in. w stosunku do płacy minimalnej. W 2016 r. 500 zł stanowiło ok. 37% płacy minimalnej netto. Dziś 800 zł to ok. 22%, bo świadczenie nie jest waloryzowane, a płaca minimalna rośnie.

Na wsi w skrajnym ubóstwie żyło 9,5% mieszkańców, w miastach 2,5% („Zasięg zagrożenia ubóstwem ekonomicznym w Polsce w 2025 r."). Faktyczne różnice są jednak większe: na wsi pozaaglomeracyjnej było to 11,3%, na obszarach wiejskich w pobliżu dużych miast – 3,9%, a w największych miastach – 1,1%. Dojazdy drożeją: w sierpniu paliwa były o 24,2% droższe niż rok wcześniej („Szybki szacunek wskaźnika cen towarów i usług konsumpcyjnych w sierpniu 2026 r.", GUS, wrzesień 2026).

Prof. Kalinowski, który zajmuje się ekonomią wsi, wyjaśnia, że odległość ma swoją cenę. – Na polskiej wsi bieda ma dodatkowy koszt – koszt odległości. W wielu miejscowościach samochód nie jest luksusem, lecz warunkiem normalnego funkcjonowania. Kiedy znika autobus, nie znika potrzeba przemieszczania się.

Ten koszt zdaniem ekonomisty odbiera ludziom nie tylko pieniądze, ale i szanse na zmianę ich sytuacji. – Powstaje mechanizm kumulacji niekorzystnych warunków: niższy dochód, większe koszty dostępu do usług i mniejsza możliwość poprawy sytuacji. Dlatego same transfery pieniężne nie wystarczą. Potrzebujemy dostępnego transportu, dobrej jakości usług publicznych, mieszkań o odpowiednim standardzie i zróżnicowanych miejsc pracy. Ubóstwo zaczyna się tam, gdzie kończy się wybór, a zaczyna przymus rezygnacji. Na wsi odległość mierzy się nie tylko w kilometrach, ale przede wszystkim w utraconych szansach. I właśnie dlatego skuteczna polityka przeciwdziałania ubóstwu nie może się ograniczać do pytania, ile pieniędzy przekazać potrzebującym. Musi również odpowiadać na pytanie, ile realnych możliwości jesteśmy w stanie im stworzyć.

Na wsi w skrajnym ubóstwie żyło 9,5% mieszkańców, w miastach 2,5%.

Czynsz zjada dochody

O kosztach mieszkania mówi Paweł, student z mniejszej miejscowości w województwie świętokrzyskim, mieszkający w Warszawie. Podstawą jego budżetu jest stypendium naukowe w wysokości 1,1 tys. zł miesięcznie; rodzice pomagają, na ile są w stanie. Chce żyć godnie, więc szuka różnych prac dorywczych, żeby dorobić. – Na rynku ze stałą pracą jest teraz fatalnie, więc pracuję tylko dorywczo, a zajęć na studiach jest bardzo dużo i po prostu brakuje czasu. Czasami wpadnie ponad 1 tys. zł, a bywa i taki miesiąc, gdzie jest mało zmian i wyciągam zaledwie 300 zł. Gdyby nie stypendium naukowe z uczelni i sporadyczna pomoc rodziców, to nie wiem, jak w ogóle poradziłbym sobie w życiu.

Największym kosztem jest mieszkanie. Za pokój w Warszawie Paweł płaci 1,5 tys. zł plus prąd. – Jak się to wszystko podliczy: pokój, rachunki i najbardziej podstawowe opłaty, to na samo przeżycie zostaje mi zaledwie 300 zł miesięcznie. Dlatego muszę maksymalnie ciąć wydatki: poluję wyłącznie na promocje i zniżki w dyskontach, biorę najtańsze produkty i oglądam każdą złotówkę dwa razy przed wydaniem.

Rynek mieszkaniowy nie ułatwia sytuacji młodym. – Mamy problem gniazdownictwa. Według Eurostatu z rodzicami mieszka około połowy Polaków w wieku 25-34 lata, co jest jednym z najwyższych wyników w Unii, choć krajowe dane spisowe pokazują mniej. Mieszkań komunalnych i socjalnych jest bardzo mało w stosunku do potrzeb, a TBS i SIM (Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa – przyp. red.) to zaledwie ok. 1% gospodarstw domowych – zwraca uwagę prof. Szarfenberg. – Najem prywatny jest drogi w relacji do dochodów, zwłaszcza w dużych miastach. Dlatego młodzi często nie wynajmują pojedynczo, tylko dzielą mieszkanie ze współlokatorami, żeby pokryć ten koszt.

Za statystykami często kryją się pozornie drobne rzeczy: kanapka z masłem, stypendium, które nie wystarcza na czynsz, brak możliwości zatrudnienia. Zanim powiemy, że ktoś sam jest sobie winien, warto zadać pytanie, co zawiodło wokół niego.

Maciej Belowski

eprasa.pl 818f3ad50a



Z Galicji

Jan Widacki

Konstytucyjne gry i zabawy

Pan prezydent uważa, że ma prawo kontrolować i korygować dokonane przez Sejm wybory sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Uważa, że może sprawdzać poprawność takiego wyboru i zatwierdzić go albo nie zatwierdzić. No, najwyraźniej tak uważa. Uważać to ma prawo, co chce. Może uważać np., że jest cesarzem. Wolno mu. Może uważać, że jest najmądrzejszy na świecie albo równie mądry jak Donald Trump. Może uważać, że jak dosiądzie konia i zamknie oczy, to jest Piłsudskim. To też mu wolno. Nie powinien jednak się z tym obnosić, bo narazi się na śmieszność albo nawet na podejrzenie o zły stan zdrowia. Ale zasadniczo mu wolno. Jeśli jednak na podstawie tego, co mu się wydaje, zaczyna podejmować decyzje, łamie prawo, przekraczając swoje uprawnienia. A przekraczanie uprawnień to już przestępstwo, w przypadku prezydenta delikt konstytucyjny, za który powinien odpowiadać przed Trybunałem Stanu.

Co z tego, że prezydent sądzi, że ma prawo kontrolować Sejm i dokonane przez niego wybory sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, skoro konstytucja wyraźnie stanowi, że takiego prawa nie ma? Wybór sędziów TK należy według konstytucji do Sejmu. Konstytucja nie daje też prezydentowi żadnych uprawnień kontrolnych wobec Sejmu. Owszem, prezydent na mocy konstytucji mianuje i odwołuje ambasadorów, powołuje sędziów, nadaje obywatelstwo, powołuje na pierwszy stopień oficerski, a także powołuje i awansuje generałów. Mianuje szefa Sztabu Generalnego i dowódców rodzajów sił zbrojnych. Ale nie powołuje sędziów TK, bo tych indywidualnie wybiera Sejm na dziewięcioletnią, niepowtarzalną kadencję. Wybrani przez Sejm sędziowie Trybunału zobowiązani są złożyć ślubowanie „wobec prezydenta", w terminie 30 dni od dnia wyboru. Obowiązkiem wybranego do Trybunału sędziego jest zgłoszenie prezydentowi gotowości do złożenia ślubowania. Aby nie było wątpliwości.

Nowo wybrany sędzia nie ślubuje nic prezydentowi, tylko ślubuje „wobec prezydenta". To istotna różnica. Warto przypomnieć rotę tego ślubowania: „Uroczyście ślubuję, że pełniąc powierzone mi obowiązki sędziego Trybunału Konstytucyjnego, będę wiernie służyć Narodowi i stać na straży Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, czyniąc to bezstronnie, według mojego sumienia i z najwyższą starannością oraz strzegąc godności sprawowanego urzędu". Wedle założeń konstytucji to, że sędziowie Trybunału składają ślubowanie wobec prezydenta, ma nadać wysoką rangę temu aktowi.

Krótko mówiąc, konstytucja od wybranego przez Sejm sędziego TK wymaga, aby zgłosił gotowość złożenia ślubowania, a obowiązkiem prezydenta jest takie ślubowanie przyjąć. Co zatem, gdy prezydent uchyla się od tego obowiązku? Popełnia delikt konstytucyjny, za który powinien odpowiedzieć przed Trybunałem Stanu. Wyjściem z sytuacji jest złożenie przez sędziego, lub sędziów, ślubowania w Sejmie, w obecności marszałka Sejmu, po uprzednim zawiadomieniu prezydenta o miejscu i czasie składania ślubowania, aby mógł być przy tym obecny. A gdy prezydent nie skorzysta z tej możliwości, złożyć je bez jego obecności. Następnie przesłać mu podpisany tekst roty ślubowania. Na dobrą sprawę mogłoby to ograniczyć się do podpisania roty ślubowania i wysłania jej prezydentowi, nawet bez obecności marszałka Sejmu.

Spełniałoby to wymóg ustawowy złożenia ślubowania „wobec prezydenta". „Wobec" – nie „w fizycznej obecności"! Ustawa nie mówi o tym, czy ślubowanie ma być złożone w formie ustnej, czy pisemnej, a zatem obie formy są prawnie dopuszczalne.

To, że prezydentowi wydaje się, że jest inaczej – że może wedle swojego uznania przyjąć ślubowanie albo nie i ma prawo zatwierdzać wybór dokonany przez Sejm lub odmawiać jego zatwierdzenia – nawet dziwić nie powinno. To, że jeśli prezydentowi coś się wydaje, natychmiast identycznie wydaje się urzędnikom jego kancelarii, też nie powinno dziwić. Ale jeśli profesor konstytucjonalista, i to profesor prawdziwego uniwersytetu, twierdzi, że do czasu złożenia ślubowania – nawet jeśli prezydent, lekceważąc obowiązki, nie chce być obecny przy jego składaniu – wybrany przez Sejm nie jest sędzią, a jedynie sędzią elektem, to już dziwić musi. Czy profesor konstytucjonalista naprawdę uważa, że prezydent ma prawo zatwierdzania wyborów dokonanych przez Sejm? Z jakiego przepisu konstytucji to prawo wywodzi? A jeśli prezydent postanowi w ogóle nie przyjąć ślubowania od któregoś z wybranych sędziów, jak długo ten sędzia elekt będzie nosił to zaszczytne miano? Do końca kadencji? Do końca życia? Czy na jego miejsce można wybrać kolejnego sędziego elekta i jak duża może być trzódka sędziów elektów?

Profesor prawa tak jak każdy ma prawo do własnych poglądów politycznych. Nawet oryginalnych i odosobnionych. Ale profesor prawa nie ma prawa udawać, że nie zna się na prawie i nie rozumie przepisów! Chyba że naprawdę ich nie rozumie. Ale wtedy sam już nie wiem, co stanowi większy problem. Tak czy owak wstyd. Choćby wobec kolegów. To ostatnie „wobec", proszę zauważyć, na pewno nie znaczy „w obecności kolegów". ■

eprasa.pl 818f3ad50a

Andrzej Wilk



Polski Październik 1956
Czyli krach stalinizmu

Przemiany, które nastąpiły w Polsce w konsekwencji burzliwych wydarzeń roku 1956, oznaczały odwrót od stalinowskiego modelu politycznego. Oznaczały również zahamowanie tendencji rusyfikacyjnych oraz otwarcie na zachodnią wiedzę i kulturę. Ogromną, długofalową rolę w wydarzeniach październikowych odegrali studenci. Po latach z ruchu studenckiego wyłonił się najwybitniejszy prezydent RP Aleksander Kwaśniewski.

Przed Październikiem był Czerwiec

Klimat społeczny sprzyjający zmianom powstał w wyniku dramatycznych wydarzeń 28 czerwca 1956 r. w Poznaniu. Tego dnia tysiące ludzi wyszły na ulice. Rozeszła się pogłoska, że delegacja z ZISPO (Zakłady Metalowe im. Józefa Stalina w Poznaniu), czyli Zakładów Cegielskiego, która udała się do Warszawy, aby domagać się radykalnej podwyżki płac, po powrocie została aresztowana. Zaczęło się poszukiwanie jej członków. Tłum skierował się do więzienia przy ulicy Młyńskiej. Wśród uwolnionych więźniów nie było jednak uczestników delegacji. Poirytowani demonstranci ruszyli na siedzibę Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Kochanowskiego, niektórzy mieli broń. Doszło do wielogodzinnej wymiany ognia między uczestnikami protestu a funkcjonariuszami urzędu.

Napięcie społeczne sprawiło, że jeszcze w godzinach porannych I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Leon Stasiak odleciał do Warszawy. Na miejscu pozostał sekretarz KW Wincenty Kraśko, który usiłował łagodzić napięcie, przemawiając do zebranych przez megafon zainstalowany na samochodzie. Nikt nie chciał go słuchać, gorzej – został wywleczony z pojazdu i poturbowany. Wrócił do gmachu Komitetu Wojewódzkiego, gdzie przy telefonie dyżurował profesor Uniwersytetu Poznańskiego Władysław Markiewicz.

W godzinach popołudniowych do Poznania skierowane zostały czołgi. Kraśko i Markiewicz dowiedzieli się, że ówczesne kierownictwo KC PZPR traktowało demonstrantów jako wrogów, w stosunku do których należało użyć siły. Wielu Poznaniaków miało nadzieję, że popularny skądinąd premier Józef Cyrankiewicz wygłosi pojednawcze przemówienie. Mylili się. Premier w wystąpieniu radiowym uznał sytuację w Poznaniu za przejaw działalności sił antypaństwowych. Zapowiedział, że „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie". Podobno do końca życia tych słów żałował. Poznaniacy nie zapomnieli ich nigdy. Po tragedii poznańskiej znaczna część społeczeństwa była przekonana o konieczności zmian i o tym, że może ich dokonać Władysław Gomułka – Wiesław.

Nieproszeni goście z Moskwy i chińska odsiecz

Rankiem 19 października 1956 r. w Warszawie wylądował niezapowiedziany samolot z Moskwy, z którego wysiedli: Nikita Chruszczow, Anastas Mikojan, Wiaczesław Mołotow i Łazar Kaganowicz. Delegacji towarzyszył tłumacz Jan Dzierżyński, syn Feliksa, a powitali ją I sekretarz KC PZPR Edward Ochab oraz kandydat na jego następcę Władysław Gomułka.

FOT. PAP/CAF – JERZY BARANOWSKI

eprasa.pl 818f3ad50a

Powracającą z rozmów w Moskwie polską delegację partyjno-rządową, na czele z Władysławem Gomułką, na stacjach kolejowych witały tłumy. Biała Podlaska, listopad 1956 r.

Chruszczow zachowywał się prostacko i ordynarnie. Stwierdził, że celem wizyty jest zapobieżenie zmianom w kierownictwie PZPR, jego zdaniem szkodliwym dla stosunków polsko-radzieckich. Wymiana zdań w drodze do Belwederu, czyli miejsca spotkania delegacji KPZR z kierownictwem PZPR, była ostra. Na ten sam dzień przewidziano VIII Plenum KC PZPR, które miało się odbyć nieopodal Belwederu, w gmachu Urzędu Rady Ministrów. W spotkaniu z delegacją radziecką obok Ochaba i Gomułki uczestniczyli Józef Cyrankiewicz, Aleksander Zawadzki i Konstanty Rokossowski.

Po godz. 12 w dalszych obradach, którym przewodniczył Ochab, oprócz wymienionych osób uczestniczyli: Edward Gierek, Władysław Nowakowski, Roman Zambrowski, Zenon Nowak, Roman Nowak, Adam Rapacki, Franciszek Jóźwiak, Stefan Jędrychowski, Eugeniusz Stawiński i Hilary Chełchowski. Uzgodniono, że obrady nie zostaną zaprotokołowane. Przez wiele lat zatem ich treść i charakter były tematem spekulacji w Polsce i za granicą. Jan Dzierżyński, jako tłumacz, notował wypowiedzi uczestników, a jego zapiski opublikowane po latach są tekstem źródłowym.

Chruszczow oskarżał polskie kierownictwo o tendencje antyradzieckie. Chciał wystąpić na VIII Plenum, aby wpłynąć na wybór „właściwych towarzyszy". Ochab i Gomułka nie wyrazili na to zgody. Chruszczow uznał ponadto za konieczne utrzymanie Rokossowskiego w Biurze Politycznym. Wraz z Mikojanem twierdził, że wyjście Rokossowskiego z biura będzie oznaczać zerwanie Układu Warszawskiego. Przeciwko tym pogróżkom stanowczo wypowiadał się Gomułka. Ważne było stwierdzenie I sekretarza Edwarda Ochaba: „Doszliśmy do dobrego wniosku o wybraniu tow. Gomułki na I sekretarza. Z tym zgadzają się prawie wszyscy członkowie Biura Politycznego. U tow. Gomułki są ślady krzywdy, jakiej doznał, ale jego ręka jest silniejsza od mojej".

Polscy przywódcy wyrażali zaniepokojenie ruchami wojsk radzieckich w kierunku Warszawy. Mikojan nazwał to „ćwiczeniami wojskowymi planowanymi od dawna". Gomułka zakomunikował, że otrzymał informacje o sytuacji w kraju. „Kontynuowany jest ruch radzieckich i polskich czołgów. Zdarzył się najazd radzieckich czołgów na pociąg, rozbity został jeden wagon, zmiażdżony został jeden człowiek... W Zambrowie czołg radziecki najechał na linię wysokiego napięcia, w efekcie Zambrów pogrążony jest w ciemności, nie pracują fabryki".

Na VIII Plenum Gomułka został I sekretarzem, a Rokossowski utracił stanowisko członka Biura Politycznego. Kilka tygodni później przestał być ministrem obrony i wyjechał do Moskwy. Nie miało to jednak wpływu na Układ Warszawski. Do Moskwy wróciła też delegacja radziecka. A tymczasem sytuacja w Polsce stała się przedmiotem zainteresowania kierownictwa Komunistycznej Partii Chin, które dążyło do ograniczenia radzieckiej hegemonii.

Ambasador PRL w Pekinie Stanisław Kiryluk dwukrotnie rozmawiał z Mao Zedongiem, który z kolei w ostrej wymianie zdań z radzieckim ambasadorem Pawłem Judinem domagał się wstrzymania radzieckiej interwencji w Polsce. Informacja o stanowisku Mao dotarła do Chruszczowa prawdopodobnie 21 października. 24 października Chruszczow telefonował do Gomułki, informując go o wycofywaniu radzieckich czołgów do baz.

Na burzliwych wiecach październikowych skandowano m.in. hasło: „Nie ma długów".

Przed 31 grudnia 1953 r. Polska eksportowała węgiel po zaniżonych cenach. Ceny te zostały potraktowane jako podstawa anulowania zadłużenia Polski wobec ZSRR. W trakcie wizyty zawarto ważne porozumienie umożliwiające repatriację obywateli polskich. W latach 1956-1957 tysiące Polek i Polaków przetrzymywanych w ZSRR powróciło do ojczyzny. Następnie niektórzy z nich uzyskali wizy do państw zachodnich.

W dniach 15-18 listopada delegacja partyjno-rządowa na czele z Gomułką i Cyrankiewiczem przebywała w Moskwie.

W drodze powrotnej z Moskwy do Warszawy pociąg z delegatami zatrzymywał się na stacjach, a rozentuzjazmowane tłumy śpiewały „Sto lat". Zgodnie z tradycją Wiesław był witany chlebem i solą. A także kieliszkiem wódki.

Uzdrawianie nauki i oświaty

W serwilistycznej terminologii okresu stalinowskiego Polska powinna „pełnymi garściami czerpać z bezcennej skarbnicy radzieckich doświadczeń". Jednym z najbardziej szkodliwych przejawów owego „czerpania" stało się wprowadzenie do szkół i na uczelnie tłumaczonych na język polski podręczników radzieckich. Były one obliczone na kształtowanie umysłów obywateli radzieckich. Po Październiku zostały wycofane.

Rozpad niepopularnego Związku Młodzieży Polskiej sprawił, że wzrosło znaczenie Zrzeszenia Studentów Polskich.

Szkody wyrządzone przez okres stalinowski były zdumiewające. Drastycznym przykładem jest wydany w 1955 r. „Krótki słownik filozoficzny" pod redakcją Marka Rozentala i Pawła Judina, gdzie w wywodach na temat teorii względności nie ma ani słowa o Einsteinie.

„Wnioski z teorii względności potwierdzone są doświadczalnie; szczególnie szerokie zastosowanie (mianowicie w procesach jądrowych) ma ustalony przez teorię względności związek pomiędzy masą m i energią E cząstki $E=mc^2$ (c=prędkość światła), który w zastosowaniu do światła wynikał z doświadczeń P.N. Lebiediewa (...) w zakresie ciśnienia światła".

W innym miejscu dowiadujemy się, że „radzieccy fizycy i filozofowie obalili szereg antynaukowych

eprasa.pl 818f3ad50a

twierdzeń Einsteina, Eddingtona i innych". Współpracownik Einsteina Leopold Infeld uznał tę książkę za świadectwo hańby okresu minionego.

W programach szkół wyższych znalazła się socjologia, uznawana przez autorów „Słownika" za „naukę burżuazyjną". Zniknęły natomiast katedry podstaw marksizmu-leninizmu. Autorytetami w dziedzinie socjologii zostali m.in. Jan Szczepański, Władysław Markiewicz, Jerzy Szacki i Kazimierz Doktór. W księgarniach i bibliotekach pojawiły się dzieła takich autorów jak Bertrand Russell, John M. Keynes, John K. Gailbraith, Erich Fromm i Max Weber. Tadeusz Kotarbiński powrócił z przymusowej emerytury i został prezesem Polskiej Akademii Nauk.

Rola Zrzeszenia Studentów Polskich

Rozpad niepopularnego Związku Młodzieży Polskiej sprawił, że wzrosło znaczenie Zrzeszenia Studentów Polskich, organizacji masowej grupującej prawie wszystkich studentów. W zakresie jej działalności były sprawy bytowe studentów i organizacja życia kulturalnego. Po Październiku przybyły ważne sprawy społeczne. W kraju przywracano praworządność poprzez rewizje surowych, a czasami bezpodstawnych wyroków, rehabilitowanie represjonowanych i przywracanie im wolności. Równocześnie przed sądem stawali odpowiedzialni za represje wysocy funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W niektórych szkołach wyższych Rady Uczelniane ZSP podejmowały działania na rzecz zatarcia wyroków skazujących studentów na więzienie za działalność antypaństwową. Dzięki zatarciu ci studenci mieli ułatwione podjęcie pracy zgodnej z kwalifikacjami.

ZSP prowadziło aktywną działalność w zakresie organizowania wycieczek studenckich praktycznie do wszystkich krajów europejskich. Równocześnie zrzeszenie współpracowało z organizacjami międzynarodowymi umożliwiającymi studentom uczelni technicznych i ekonomicznych zagraniczne praktyki wakacyjne.

USNSA (Narodowe Stowarzyszenie Studentów Stanów Zjednoczonych) wysunęło pod adresem ZSP propozycję wzajemnej wymiany studentów na rok. Sprawa była na tyle delikatna, że przedstawiciele Rady Naczelnej ZSP udali się do Gomułki. Gdy przewodniczący ZSP Stefan Olszowski poinformował o propozycji USNSA, Wiesław zapytał: „A co wy o tym sądzicie?". Olszowski odpowiedział: „Chcielibyśmy z tej propozycji skorzystać". „Słusznie" – potwierdził Wiesław. „Stany Zjednoczone to państwo dla Polski wyjątkowo ważne. Jest tam ok. 12 mln Amerykanów polskiego pochodzenia. Konieczne jest utrzymywanie stałej drogi pomiędzy Ameryką a Polską. Zależnie od sytuacji międzynarodowej ta droga będzie szersza lub węższa. Ale musi być przez cały czas utrzymana". Przed wyjściem delegacji Gomułka napomknął: „Tylko wybierzcie takich, za których nie będziemy się wstydzić".

Po Październiku przybyły ważne sprawy społeczne. W kraju przywracano praworządność poprzez rewizje surowych, a czasami bezpodstawnych wyroków.

Wymiana miała bardzo skromne ramy. Po jednej osobie na roczny pobyt z obu stron. Komitet wykonawczy ustalił, że na początek ze strony polskiej pojadą studenci z uczelni technicznych. Z Politechniki Warszawskiej Edward Kucia i Zbigniew Bzymek, z Politechniki Poznańskiej Andrzej Wilk. Później przyszła pora na humanistów. Najbardziej znany spośród nich był socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego Hieronim Kubiak. Jak wiadomo, w trudnych latach późniejszych zostałył on członkiem Biura Politycznego KC PZPR.

Popaździernikowa poprawa stosunków polsko-amerykańskich

Sytuację w Polsce pilnie obserwowali amerykańscy dziennikarze, dyplomaci oraz politycy, którzy toczyli spory na temat zasięgu i charakteru zachodzących zmian. Konserwatywni uczestnicy tych dyskusji nalegali na traktowanie Polski jako nieprzychylnego Ameryce członka Układu Warszawskiego i RWPG. Nie brakło jednak zwolenników odnoszenia się do Polski jako do państwa odmiennego od innych krajów bloku wschodniego.

W 1958 r. kongresmen Tadeusz Machrowicz wzywał w przemówieniu rząd USA do uznania zachodnich i północnych granic Polski. Podkreślił, że sytuacja, w której ZSRR jest jedynym gwarantem tych granic, oznacza wpychanie Polski w radzieckie objęcia. To mądre wystąpienie okazało się przedwczesne.

Wśród licznych porozumień dwustronnych szczególną rolę odegrała tzw. umowa zbożowa. Na jej mocy nasz kraj otrzymywał amerykańskie zboże za polskie niewymienialne złotówki. Ambasada USA w Warszawie dysponowała dużymi pieniędzmi, które rozsądnie użytkowano. Do Polski przyjeżdżały liczne grupy studentów uczestniczących w tzw. Experiment in International Living. Wszyscy otrzymywali sowite kieszonkowe z ambasady.

W 1959 r. wiceprezydent Richard Nixon, wracając z Moskwy po ostrej wymianie zdań z Chruszczowem, wylądował w Warszawie, gdzie powitał go wiceprzewodniczący Rady Państwa Oskar Lange, były profesor University Of Chicago. W drodze z lotniska wiceprezydenta USA pozdrawiały tłumy Warszawiaków. Nixon opisał to z sympatią w pamiętnikach, przytaczając okrzyki powitalne po polsku i po angielsku: „Niech żyje Ameryka, niech żyje Eisenhower, niech żyje Nixon!".

Później, już przy innej okazji, Nixon oświadczył, że Polacy to najbardziej proamerykański i najbardziej antykomunistyczny naród na świecie. Miał rację.

Dr Andrzej Wilk jest nauczycielem akademickim i publicystą zajmującym się stosunkami międzynarodowymi, zarządzaniem oraz historią myśli politycznej

eprasa.pl 818f3ad50a

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Tryptyk warmiński. III. Krasnoludki

Nie ma już w Pieniężnie obelisku Iwana Czerniachowskiego. Wzniesiony 22 lipca 1971 r. nieopodal miejsca, gdzie generał ten został śmiertelnie ranny, trwał sobie w III RP spokojnie przez ćwierć wieku. Aż nastąpiło patriotyczne wzmożenie i 31 stycznia 2014 r. rada miejska Pieniężna doszła do wniosku, że monument należy zniszczyć.

Czerniachowski, dowódca 3. Frontu Białoruskiego, poległ w lutym 1945 r., w trakcie ofensywy radzieckiej w Prusach Wschodnich. Został pochowany w Wilnie, na placu noszącym niegdyś imię Elizy Orzeszkowej, a nad grobem wzniesiono gigantyczny pomnik. Dzisiejszy Prospekt Gedymina wiódł odtąd przez Plac Czerniachowskiego na dawny Plac Łukiski, gdzie znajdował się jeszcze większy radziecki pomnik: Lenina. Poznając Wilno w roku 1979, widziałem oba monumenty. 15 lat później z ulgą skonstatowałem, że place te są puste.

Wilno nie miało powodu czcić Czerniachowskiego. Stał on wprawdzie na czele oddziałów wyzwalających miasto spod okupacji niemieckiej, ale akcję tę rozpoczęła kilkanaście godzin wcześniej polska Armia Krajowa. A jej dowódcy i żołnierze właśnie przez Czerniachowskiego zostali internowani. Nawet twierdzenie, że w roku 1944 Czerniachowski zdobył Wilno dla Litwy, nie jest ścisłe, bo ZSRR już w roku 1939 przekazał Wilno Litwie niepodległej, a w roku 1940 podtrzymał to wobec Litwy radzieckiej. Trzeba więc tylko stwierdzić, że to za sprawą Czerniachowskiego Litwa z Wilnem znalazła się na pół wieku w obrębie ZSRR. Przypadek Polski był tylko z pozoru podobny.

Stalin wiedział, co robi. Polska, usadowiona na jednej piątej terytorium niemieckiego, miała być na wieki przykuta do rydwanu Moskwy. Nowe polskie granice zachodnie ustaliła konferencja w Poczdamie, ale i na niej wywalczył je (często wbrew aliantom) tenże Stalin. I to są dzisiejsze zachodnie granice naszego państwa – niezmienione ani o centymetr. Tak jak te same pozostały granice litewskie. Ale wasalny status Polski i radziecki status Litwy to przecież nie było to samo.

Obelisk w Pieniężnie obalono w rocznicę agresji radzieckiej: 17 września 2015 r. Patriotyczne wzmożenie trwało wtedy na dobre. Zbigniew Rokita, sekretarz redakcji dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”, odkrył, że na Cmentarzu Oficerskim Żołnierzy Radzieckich w Cybince na Ziemi Lubuskiej istnieje płaskorzeźba z wizerunkiem Stalina. W istocie była tam tablica, na której wykuto słowa: „Nasze dieło prawoje. My pobiedili” („Nasza sprawa jest słuszna. Zwyciężyliśmy”). Była to sparafrazowana fraza z wygłoszonego w czerwcu 1941 radiowego przemówienia Wiaczesława Mołotowa; w Cybince umieszczono ją wokół podobizny Stalina. Redakcja „Nowej Europy Wschodniej”, porażona odkryciem Rokity, rozpisała ankietę i również mnie zapytała o opinię. Odpowiedziałem, że tablica jest świadectwem czasu i usuwać jej nie ma potrzeby. Ale nie takiej odpowiedzi oczekiwała redakcja, toteż mój głos nie został opublikowany.

Ostatecznie, dokładnie rok po likwidacji obelisku w Pieniężnie, również tablica w Cybince została zdemontowana. O ile jednak zniszczenie pomnika Czerniachowskiego miało zlikwidować pamięć, o tyle zniszczenie tablicy radzieckich oficerów było czymś jeszcze większym: okaleczeniem cmentarza. Który to cmentarz powinien być już wtedy wpisany do rejestru zabytków. Jednak w obu tych przypadkach nie podniósł się żaden głos sprzeciwu czy choćby tylko wątpliwości. A raczej – pardon – podniosły się liczne takie głosy, tyle że tylko rosyjskie. Polacy, jak zawsze, mieli sumienie czyste. A zawsze jest im miło, gdy mogą dokuczyć sąsiadom.

> Polakom zawsze jest miło, gdy mogą dokuczyć sąsiadom.

„Takie postaci w świadomości historycznej powinny funkcjonować wyłącznie jako zbrodniarze”, powiedział o Czerniachowskim Rafał Leśkiewicz z IPN, obecny rzecznik Karola Nawrockiego. Otóż to: wyłącznie. Ipeenowski przekaz o przeszłości jest zawsze taki sam: czarno-biały, adresowany do idiotów. Po demontażu tablicy w Cybince również polskie media, wyćwiczone w patriotycznej poprawności, ryknęły zgodnym chórem: „Zlikwidowano ostatni w Polsce wizerunek Stalina!”. A przecież gdzie jak gdzie, lecz tak na Warmii, jak na Ziemi Lubuskiej powinna istnieć świadomość, że za przynależność tych terytoriów do Polski oddało życie 600 tys. czerwonoarmistów. Ja naprawdę wiem o radzieckich okrucieństwach, tak jak nie mam wątpliwości, że Stalin to – obok Hitlera – największy zbrodniarz dziejów nowożytnych. Jednak, wędrując tego roku przez Warmię, miałem wrażenie, że zdobyły ją dla Polski krasnoludki.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 818f3ad50a

„Naiwność” Bolesława Prusa

Piotr Kimla

Głośno w Polsce o „Lalce” Bolesława Prusa. Nie dlatego, że nagle masowo rzuciliśmy się do czytania tego wybitnego dzieła. Tak dobrze nie jest. To za sprawą jego ekranizacji. Na temat tego, co możemy zobaczyć na ekranie w wersji serialowej i pełnometrażowej, nie będę się wypowiadał. Nie mam siły wtrącać się do dyskusji rzesz fachowców i dyletantów, którzy nie omieszkali zająć stanowiska w środkach audialnych, audiowizualnych i na piśmie. Piszę, bo chcę przypomnieć i uwyraźnić polityczno-społeczno-moralną doniosłość tej najwybitniejszej powieści napisanej w naszej ojczystej mowie.

„Lalka” czytana w latach 20. XXI w. robi piorunujące wrażenie. Bezkompromisowo stawia pytania o to, skąd się bierze niesprawiedliwość, nierówność, ucisk, zniewolenie, ciasnota umysłowa i fałsz w stosunkach międzyludzkich. Skąd pochodzą moralna ślepota, okrucieństwo, egoizm, poniżenie, służalczość, nędza, bezsilność, rozgoryczenie i rozpacz. Prus stara się prześwietlić naturę tych zjawisk, stanów i uczuć. Ale, co najważniejsze i najbardziej imponujące, podziela przekonanie innych ówczesnych wielkich pisarzy, że można temu wszystkiemu trwale zaradzić. Jest innymi słowy wyznawcą wiary, że kondycję człowieka jako jednostki oraz ludzi w ogólności da się poprawić.

To ta wiara uprzytamnia, że powieść została napisana prawie 140 lat temu. To ona tak bardzo odróżnia Prusa od nas i czyni go nieraz w naszych oczach – przy całej jego inteligencji i przenikliwości – człowiekiem naiwnym.

Owo wrażenie naiwności jest mylące i niesprawiedliwe, ponieważ Prus, choć niekiedy wykracza poza swoją epokę, zasadniczo pozostaje jej wybitnym przedstawicielem. Jest synem epoki, w której światli ludzie żywili przekonanie, że możliwe jest rozwiązanie głównych problemów społeczno-polityczno-moralnych człowieka i ludzkości. Byli przeświadczeni, że przekształcenie społeczeństwa w duchu ideału pracy, równości, tolerancji narodowościowej i międzykulturowej, oraz poszanowania przyrody w miejsce bycia jej katem nie jest fantasmagorią, ale czymś realnym. Wierzyli, że człowiek i ludzkość mogą zostać zbawieni, bo na wszystkie racjonalnie postawione pytania, pytania o fakty, muszą istnieć odpowiedzi i istnieją techniki umożliwiające dojście do nich. Także oczywiście na pytania natury politycznej, a pośród nich na najważniejsze: dlaczego powinienem/powinnam słuchać tej czy innej osoby?

Nie znaczy to, że w danym momencie znamy te odpowiedzi. Może jeszcze my mamy zbyt mało kalorii w mózgu, ale nasi następcy przerosną nas i do tych odpowiedzi dotrą. Uzyskane rozstrzygnięcia stworzą koherentną, hierarchiczną całość. Utworzą system, który splecie się w jeden wzór niepodważalnie definiujący to, kim jest człowiek, dokąd zmierza, jakie jest jego miejsce na ziemi. Każdy zdrowy na umyśle człowiek będzie musiał go przyjąć. Tym samym zniknie pole do animozji, sporów między ludźmi i narodami o definicję dobra. Sporów, które doprowadzały do mordów, rzezi, wojen, topienia innych w lodowatych rzekach i gazowania ich w obozach koncentracyjnych.

To myślenie o harmonijnym świecie, w którym na racjonalnie postawione pytania otrzymamy prędzej czy później racjonalne odpowiedzi tworzące zazębiający się system – myślenie charakterystyczne dla philosophia perennis – odeszło bezpowrotnie w XX w. Zresztą już pod koniec wieku XIX zaatakował je Fryderyk Nietzsche. Oczywiście także w starożytności znajdziemy myślicieli podających je w wątpliwość.



Choć Prus niekiedy wykracza poza swoją epokę, to pozostaje jej wybitnym przedstawicielem.

Jednak to Max Weber, Carl Schmitt oraz Izajasz Berlin w XX w. doprowadzili do ostatecznego rozbratu z tym stylem myślenia. Zdefiniowali to, co współcześnie nazywamy pluralizmem wartości. Oznacza on destrukcję tego jednego systemu zawierającego odpowiedzi na wszystkie pytania. Ten system rozpadł się, bo, jak zauważył Weber, „w świecie toczą ze sobą nieubłaganą walkę różne porządki wartości”. Ta walka bierze się stąd, że przynajmniej niektóre tzw. wartości ostateczne (takie, do których zmierzamy ze względu na nie same, nie zaś ze względu na coś innego; takie, które nie są już narzędziem do osiągania jakiegoś celu, ale są celem same w sobie) sytuują się względem siebie w ostrej opozycji. Każda z wartości ostatecznych może tworzyć własne uniwersum etyczne, z wartościami niższego rzędu, które ją wspomagają i do niej zmierzają. Tak sprawy mają się np. ze sprawiedliwością i miłosierdziem.

Niewątpliwie byłoby rzeczą wzniosłą i godną podziwu, gdybyśmy w ostatnich chwilach życia mogli

eprasa.pl 818f3ad50a

powiedzieć o sobie, że byliśmy ludźmi sprawiedliwymi. Tam, gdzie należało, stosowaliśmy zasadę równości. W innych sytuacjach, aby działa się sprawiedliwość, stosowaliśmy zasadę nagradzania proporcjonalnie do wkładu. Generalnie oddawaliśmy innym, co im się należało. Przestrzegaliśmy reguł, nie forsowaliśmy w sposób nieuprawniony swoich ludzi kosztem kompetentniejszych innych itd.

Byłoby jednak równie wspaniale, gdybyśmy na końcu życia mogli orzec o sobie, że byliśmy ludźmi miłosiernymi. Oddaliśmy siebie w służbę potrzebującym bliźnim. Jako lekarze zrezygnowaliśmy z uposażenia w wysokości 330 tys. zł miesięcznie, aby leczyć ludzi bez grosza przy duszy na innych kontynentach w zamian za ich ulgę w cierpieniu.

Człowiek sprawiedliwy i człowiek miłosierny to jednak dwa diametralnie różne światy etyczne. Człowiek miłosierny nigdy nie zrozumie człowieka sprawiedliwego. Sprawiedliwy uważa, że gdy robotnik pracujący przy taśmie w wyniku własnej nieuwagi traci rękę, należy domagać się od tegoż robotnika, aby do końca życia spłacał pracodawcę, ponieważ to z jego winy taśma została zatrzymana i pracodawca poniósł ogromne straty. Taka postawa człowiekowi miłosiernemu wydaje się czymś potwornym, gdyż wszystko, co można zrobić, to wypłacać rentę zdrowotną nieszczęśliwcowi, który stał się kaleką.

Podobne napięcie istnieje pomiędzy dwiema kluczowymi dla polityki wartościami ostatecznymi. Pomiędzy równością a wolnością. Wartości te wzięte w czystej postaci znoszą się nawzajem. Ludzie wyposażeni w taki sam kapitał początkowy, a następnie obdarzeni pełnią wolności gospodarowania nim, prędzej czy później doprowadzą do powstania między nimi hierarchii. Górę wezmą energiczniejsi, wytrwalsi, z lepszymi pomysłami, z większą dozą szczęścia. Innym, po zużyciu ich kapitału, pozostanie sprzedaż własnej pracy fizycznej lub umysłowej na rzecz bardziej rzutkich szczęśliwców. Równość diabli wezmą. Zarazem uniwersum etyczne egalitarysty – socjaldemokraty, socjalisty, komunisty – jest nie do pogodzenia ze światem etycznym liberała.

Ten ostatni uważa, że ludzie – wyposażeni w siły umysłowe i fizyczne – są w stanie samodzielnie o siebie zadbać, nie muszą wyciągać rąk do państwa, aby zapewnić sobie godziwą egzystencję. Podatki w jego oczach nie są niczym innym niźli zamachem na inicjatywę, energię, pracowitość i sukces liberała. Egalitarysta patrzy na sprawy zupełnie inaczej. Zwraca uwagę, że równość szans w tym świecie jest mrzonką, nie zawsze więc mniejsze powodzenie w życiu jest wynikiem gnuśności umysłowej i fizycznej. O tych, którym nie powiodło się tak jak bogatym przedsiębiorcom, powinno zadbać państwo. Podzielenie się bogactwem z ludźmi biedniejszymi leży także w interesie bogatych, bo sprzyja społecznej równowadze.



Targ na Rynku Starego Miasta w czasach Bolesława Prusa.

Powodem tego, że upadła myśl o jednym uniwersalnym systemie przezwyciężającym zarysowane napięcia i uniwersalny świat etyczny rozpadł się nam na wiele światów, jest brak narzędzi, argumentacji pozwalającej stwierdzić, że np. to sprawiedliwość jest ważniejsza od miłosierdzia. Albo że wolność jest istotniejsza od równości. Jeśli je hierarchizujemy, to na podstawie kryteriów czysto emocjonalnych. Wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić w obliczu braku możliwości zhierarchizowania wartości ostatecznych na podstawie kryteriów intelektualnych, to poszukiwanie między nimi kompromisu. Świat demokracji liberalnej ma być światem, w którym równość (fundament ideowy demokracji) ma współistnieć z wolnością (fundamentem ideowym liberalizmu). Ta koegzystencja odbywa się kosztem rezygnacji z pełni równości i pełni wolności.

Kompromis sam w sobie nie zawiera jednak nic ostatecznego. Jak wszystko, co polityczne, jest kruchy. Wahadło procesu dziejowego, klimat opinii wychyla się raz w stronę kontentującą liberała, raz w stronę radującą egalitarystę. Kompromis nie daje nigdy ostatecznego rozstrzygnięcia. Rezygnując zaś z ostatecznego rozstrzygnięcia, musimy przystać na to, że nie jesteśmy w stanie zbawić człowieka, pokazując jeden prawomocny, niezaprzeczalny sposób życia. Pokazując wzór na życie, który jako jedyny czyniłby je prawdziwie ludzkim.

Myślenie o zbawieniu człowieka zastąpiliśmy przeświadczeniem, że wszystko, co możemy zrobić, to próbować w pewnych granicach człowiekowi ulżyć. To trwale odróżnia nas od „naiwnego" Prusa.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA, LIBRARY OF CONGRESS

eprasa.pl 818f3ad50a



Protestujący w Paryżu, 6 października 2026 r.

Republika w ogniu

Francuskie protesty licealistów to zwiastun kryzysu państw narodowych

Mateusz Mazzini
Korespondencja ze Strasburga

Żeby dało się w pełni zrozumieć powagę sytuacji, w której znalazła się Francja, a przez to potencjalnie cała Europa, należy precyzyjnie zarysować skalę problemu. Wprawdzie wydarzenia ostatnich tygodni nad Sekwaną wciąż są opisywane jako „protesty licealistów i młodzieży", ale chodzi o znacznie więcej niż uczniowskie postulaty. W rzeczywistości stawka tego społecznego zrywu jest olbrzymia, bo zahacza o kwestie egzystencjalne, na czele z przetrwaniem i sensem utrzymywania francuskiego państwa dobrobytu, symbolu politycznych i ekonomicznych sukcesów powojennej Europy. Finansowanie edukacji, zresztą we Francji niemałe, czy warunki w szkołach są oczywiście ważne, ale nawet zaradzenie owym bolączkom po myśli tych, którzy dzisiaj niszczą witryny sklepowe i podpalają przystanki, nie zatrzymałoby kroczącego kryzysu państwa.

Mujtaba Rahman, szef londyńskiego biura firmy doradztwa politycznego Eurasia Group, opublikował w „New York Timesie" esej pod wiele mówiącym tytułem „Francja na krawędzi". I wszystko wskazuje na to, że wcale nie przesadził.

Szkolna zapaść

Sytuacja w tamtejszych szkołach jest nie do pozazdroszczenia, a w zestawieniu z i tak przecież targaną problemami oświatą np. w Polsce – wręcz katastrofalna. Doskonale opisała to Angelique Chrisafis, paryska korespondentka brytyjskiego „Guardiana". Przytaczając rozmowy z uczestnikami protestów, dziećmi i nastolatkami z paryskich przedmieść, przedstawiła warunki materialne nieprzystające do faktu, że Francja jest drugą największą gospodarką najbogatszego kontynentu w historii ludzkości. Przepełnione klasy i zajęcia miesiącami prowadzone bez nauczycieli albo z takimi, którzy nie mają kompetencji. Grzyb na ścianach, zardzewiałe umywalki, brak mydła czy papieru toaletowego i szczury w łazienkach. Do tego lekcje w gronie dochodzącym do 40 osób. Cytowany przez Chrisafis uczeń opowiadał, że w jego szkole w Seine-Saint-Denis na północy Paryża brakuje krzeseł i ławek, więc niektórzy uczestniczą w zajęciach na stojąco. Nie trzeba specjalnej

FOT. IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 818f3ad50a

wyobraźni, żeby zrozumieć, że w takich warunkach właściwa interakcja z nauczycielem jest niemożliwa.

W innej szkole uczniowie przez pięć miesięcy mieli lekcje z literatury i języka francuskiego z przypadkowymi nauczycielami na zastępstwie. Nie byli więc w stanie rozwiązać ani jednego testu próbnego przed egzaminami na koniec liceum. Jeszcze inny chłopak z paryskiej barykady miał przedmiot docelowo prowadzony po angielsku z nauczycielem, który w ogóle nie mówił w tym języku.

Przykłady można mnożyć, światowa prasa oraz platformy internetowe są ich pełne, podobnie jak zdjęć ilustrujących kryzys francuskiej oświaty. Przemoc i dewastacja mienia nie są sposobem na rozwiązanie tych problemów, ale trudno się dziwić francuskim uczniom. Jeśli bowiem wierzyć słowom niemieckiego filozofa Martina Heideggera, który twierdził, że człowiek jest istotą permanentnie wychyloną w przyszłość, to młodzież nad Sekwaną nie ma za bardzo gdzie się wychylać, bo nie widzi dla siebie przyszłości.

Również ze statystycznego punktu widzenia sytuacja wygląda źle. Według badań OECD nierówności w dostępie do edukacji we Francji nakładają się na już duże nierówności materialne i bytowe, zwielokrotniając ich wpływ. Taka prawidłowość istnieje oczywiście w każdym kraju, ale francuskie dzieci są najbardziej narażone, bo tamtejsze miasta, jak wynika z danych OECD, cechuje wysoki stopień gettoizacji. Innymi słowy, słaba oświata pokrywa się geograficznie ze słabą opieką zdrowotną, komunikacją publiczną, nawet z jakością powietrza i stopniem partycypacji w rynku pracy.

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że francuskie dzieci rodzą się w nierównościach, które z czasem jedynie się zwiększają. Jeśli bowiem 14-latek wychowuje się w rozbitej rodzinie na ogarniętych przestępczością przedmieściach, mieszka w wieżowcu bez windy i klimatyzacji, a do szkoły jedzie 45 minut z trzema przesiadkami i tylko po to, żeby uczestniczyć w lekcjach na stojąco, niekiedy w upale sięgającym 35 st., trudno mówić, że państwo daje mu szanse na awans społeczny. Nawet jeśli edukacja nadal jest darmowa, przynajmniej nominalnie.

Średnia liczebność klas w krajach OECD wynosi 26 uczniów, we Francji dochodzi do 29, i to mimo niżu demograficznego oraz niewielkiego przyrostu naturalnego – zauważa Angelique Chrisafis w „Guardianie".

Dzieci są przemęczone, bo spędzają w szkole więcej czasu niż rówieśnicy z innych krajów europejskich, choć te zajęcia są skompresowane w mniejszej liczbie dni. Francuski rok szkolny trwa jedynie 36 tygodni (polski jest o dwa tygodnie dłuższy), co wynika z rozbudowanego kalendarza letnich wakacji i świąt publicznych. Nawet w tak błahym aspekcie jak liczba wolnych dni pobrzmiewa echo prognozy, której nikt nie chce głośno wypowiadać, choć wszyscy czują ją podskórnie: kraj nie może dalej tak funkcjonować.

Przemoc i dewastacja mienia nie są sposobem na rozwiązanie problemów, ale trudno się dziwić frustracji francuskich uczniów.

Trzy strony sporu

Średnie wynagrodzenie nauczyciela szkoły publicznej wynosi we Francji 56% tego, ile zarabiają nauczyciele w Niemczech, choć rząd na edukację licealną i zawodową wydaje o 28% więcej, niż wynosi średnia OECD. Te dane można czytać dwojako. Z jednej strony, pokazują, że pieniądze w sektorze są, tylko może źle się je wydaje. Z drugiej, trudno się spodziewać, że przesypanie publicznych środków z jednego koszyka do drugiego rozwiąże wszystkie kłopoty.

Nie pomoże też zwiększenie nakładów na oświatę, bo wydawanie większych kwot dawno przestało być we Francji możliwe, chociaż potrzeby rosną. Ale jeśli żyje się w kraju, który od 1975 r. nie miał zrównoważonego budżetu, którego dług publiczny w przyszłym roku osiągnie 119% PKB i który na obsługę tego długu wydaje ponad 65 mld euro rocznie, trudno się spodziewać fiskalnego cudu.

Analogie z odległą historią nie są doskonałe, ale sytuacja w dzisiejszej, Piątej Republice Francuskiej zaczyna niebezpiecznie przypominać układ sił społeczno-politycznych pod koniec XVIII w. Jak słusznie zauważają na platformie Engelsberg Ideas Basile Marin i Léo Marin, zarówno wówczas, jak i dziś Francja uznawana była za potęgę, choć w obu przypadkach to raczej życzenia niż realna siła. W ostatnich latach monarchii Burbonów Paryż był potężnie zadłużony i politycznie sparaliżowany. Klasy wyższe, będące dziedzicami przywilejów materialnych, blokowały wszelkie reformy. Zupełnie jak dzisiejsi francuscy emeryci, których poziom życia jest niesłychanie wysoki jak na tę grupę wiekową i bardzo dobry w porównaniu z sytuacją młodzieży.

Co ciekawe, ową nierównowagę niekorzystną dla demokracji, ustroju zorientowanego na przyszłość, dobrze widać w dzisiejszych nakładach na edukację. Mujtaba Rahman przytacza w „New York Timesie" zatrważające dane. Francuski rząd centralny przeznacza na edukację publiczną 100 mld euro rocznie, o kilka punktów procentowych powyżej średniej unijnej. Aż jedna czwarta tej sumy to jednak emerytury dla byłych nauczycieli. Ten fakt nie wymaga komentarza. Uprzywilejowani chcą więc zachować swoją pozycję, a niższe warstwy społeczne domagają się zmiany funkcjonowania całego systemu.

Trzecią stroną sporu są tradycjonaliści, dzisiaj skoncentrowani wokół Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen, Kościoła katolickiego, neoprotestantów bądź części dawnego obozu gaullistowskiego. Ich zdaniem wszystkiemu winni są imigranci, którzy masowym przybyciem z dawnych kolonii zniszczyli francuską tożsamość (w domyśle: białą, mieszczańską i chrześcijańską). Teraz ich potomkowie rozwalają sklepiki

eprasa.pl 818f3ad50a

i wrzucają koktajle Mołotowa do koszy na śmieci – co akurat jest prawdą tylko częściowo, bo segregacja we francuskich szkołach jest klasowa, a nie rasowa czy religijna.

Problem jest naprawdę poważny, dlatego że dotyka politycznego i ekonomicznego serca współczesnej Europy. We Francji prawie nikt nie jest zadowolony z perspektyw na przyszłość ani nawet z teraźniejszości. Kiedy w 2022 r. Emmanuel Macron apelował do społeczeństwa, by zgodziło się na podniesienie wieku emerytalnego i przynajmniej częściową redukcję hojnych świadczeń socjalnych, ponad 70% Francuzów było przeciw. Francja się starzeje, spadają więc wpływy do budżetu, ponieważ coraz mniej obywateli jest aktywnych zawodowo. Młodych jest mniej niż starych albo, mówiąc bardziej obrazowo i cytując brytyjskiego politologa Davida Runcimana, więcej jest ludzi z olbrzymią przeszłością niż z olbrzymią przyszłością. Jedni i drudzy w dodatku się radykalizują. I nawet jeśli deklaratywnie chcą tego samego, czyli silniejszego, bardziej zaangażowanego państwa, to pomysły na osiągnięcie celu zdają się mieć odwrotne.



Koniec francuskiego modelu?

Idolem młodych Francuzów jest Jean-Luc Mélenchon, skrajnie lewicowy polityk z realnymi szansami na wejście do drugiej tury przyszłorocznych wyborów prezydenckich. To człowiek, który mimo głoszenia wielu postępowych i na pierwszy rzut oka trafnych postulatów niebezpiecznie flirtuje z ideami antydemokratycznymi. Nie potrafił jednoznacznie się zdystansować od przemocy w trakcie obecnych zamieszek. Ciepło wypowiadał się w przeszłości o Hamasie czy Hezbollahu. Nie krytykuje też radykalnego islamu, który niesamowicie martwi Macrona. Przeciwnie, Mélenchon nazwał, jak sam to określił, „elektorat muzułmański" „współczesnym trzecim stanem". A właśnie trzeci stan był, jak wiadomo, decydującym elementem układanki prowadzącej do Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Centroprawicowy tygodnik „Le Point" już dwa tygodnie temu obwieścił na okładce „koniec francuskiego modelu". Takie deklaracje nie są hiperbolą, zwłaszcza że podchwyciły je rynki finansowe. Oprocentowanie pięcioletnich obligacji skarbu państwa wzrosło w ciągu ostatnich 12 miesięcy o ponad 100%, do 81 pkt bazowych. Paul Krugman, noblista z ekonomii, dawny felietonista „New York Timesa", dzisiaj autor poczytnego bloga w serwisie Substack, zauważa, że niektórzy analitycy już próbują się zabezpieczyć na wypadek bankructwa Francji. Do pewnego stopnia może to być siła autosugestii, twierdzi Krugman, bo twierdzenie o rychłej niewypłacalności francuskiego państwa jest mocno zakorzenione w myśleniu zwłaszcza liberalnych europejskich ekonomistów. Od wielu lat przepowiadają oni, że Paryż to kolejne Ateny, tylko rozmiar kryzysu będzie nieporównanie większy. Nie zmienia to jednak faktu, że francuskie finanse publiczne są w opłakanym stanie, a nikt nie ma pomysłu, jak je naprawić.

Mélenchon wyznaje poglądy ekonomiczne zbliżone do zapatrywań Lecha Wałęsy z jego powiedzeniem o zbijaniu gorączki przez stłuczenie termometru. Jego pomysł to odmowa spłaty długu, a nawet jego obsługi. Le Pen z kolei chce zwiększać wydatki publiczne, np. poprzez państwowe dopłaty do klimatyzatorów. To oczywiście potrzeba ważka, Francja jest jednym z krajów najbardziej narażonych na skutki katastrofy klimatycznej w Europie. Należy jednak zadać pytanie, czy Francuzów stać na kolejny olbrzymi pakiet socjalny i czy państwo musi być zawsze i wszędzie odpowiedzią.

Z tej przerażającej mozaiki wyłania się na razie chaos, ale następnym krokiem może być anarchia. Nazywając rzeczy po imieniu, mało komu we Francji zależy dzisiaj na państwie, staje się więc ono podatne na destabilizację z zewnątrz, co już się dzieje. W sieci zidentyfikowano olbrzymią liczbę prorosyjskich botów podgrzewających nastroje społeczne. Nie mówiąc o tym, że obciążenia fiskalne skutecznie blokują inwestycje w zbrojenia, tak potrzebne w obliczu rosyjskiego zagrożenia dla Europy. Macron odchodzi więc po dwóch kadencjach w niesławie, wewnętrznie sparaliżowany, obciążony nieudanymi reformami i dziwnymi decyzjami, takimi jak przyśpieszone wybory z 2024 r. A przecież to polityk bardzo inteligentny i utalentowany. To on przełamał wielki duopol francuskiej polityki, zabił partie osiowe tamtejszej powojennej demokracji. Dziś już wiadomo, że o ile zniszczenie starego układu mu się udało, o tyle nowego Francuzom nie zbudował.

Trudno zgadywać, co dalej. W przyszłym roku Francja będzie miała nowego prezydenta, raczej radykalnego niż centrystycznego. W takich warunkach polaryzacja może się przerodzić w konflikt społeczny, bo coraz więcej ludzi nie widzi dla siebie miejsca w istniejącym konsensusie politycznym. Nowy może się narodzić tylko przez rewolucję, zwłaszcza przy takim poziomie gniewu. Jeśli te napięcia nie zostaną rozładowane, republika naprawdę stanie w płomieniach.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 818f3ad50a



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jak nie rozumieć protestów

Jest jak zawsze: wujowie i politycy (i ich media) opowiedzą nam „prawdziwą prawdę” o genezie protestów we Francji i w innych krajach Europy, tak jakby realny „pusty” kapitalizm z jego konsekwencjami nie istniał.

W jak głupi i nieuczciwy sposób podpiął się pod te interpretacje (a może nawet był ich awangardą) polski premier – to już inna historia. Trwające ponad miesiąc protesty we Francji rozpoczęli licealiści i licealistki, żądając lepszej szkoły dla siebie. W wyniku tradycyjnie złych decyzji neoliberalnego rządu Macrona edukacja jest w zapaści. Szkoły nie są remontowane, nauczyciele są zwalniani, uczniowie widzą, że edukacja przestaje być drogą do dobrego życia, a staje się fikcją, o czym głośno nie wolno mówić. Do tych protestów dołączają kolejne grupy społeczne, skrajnie niezadowolone z polityki skazującej je na życie poniżej podstawowych oczekiwań. Dołączają też młodzi z legendarnych przedmieść, drugie lub trzecie pokolenie urodzonych we Francji, dla których francuski jest pierwszym językiem, ale… nie są „biali”.

Dynamika protestów jest znana, gniew wybucha w niekontrolowany sposób, ale koncentrowanie się mediów na aktach zniszczenia służy stygmatyzacji demonstrantów i wymazaniu postulatów – zaczyna się lament nad zbitymi szybami luksusowych sklepów, bez wątpienia dobrze ubezpieczonych. Cierpienia całych grup społecznych nie wywołują żadnych reakcji, ale kilka spalonych starych cegieł – światowe oburzenie sytych. Królują obrazy pokazujące, jak ci, którym niczego nie brakuje, piją wino i jedzą kolację obok płonących barykad. To oni mają symbolizować „prawdziwą Francję”.

Kiedy policja niezwykle brutalnie tłumiła i rozbijała pierwsze, pokojowe manifestacje, głosów przeciw tej przemocy nie było słychać – co innego, jak pękają szyby i płoną ulice. Państwo odpowiedziało na protesty bezprecedensową przemocą. Ponad 6 tys. osób, w większości niepełnoletnich, zostało aresztowanych; policja masowo używała gazu łzawiącego, granatów hukowych i gumowych kul.

Na ulice europejskich miast wylewa się skumulowany gniew, niezgoda na dotychczasowy system. Niezgoda na rasizm.

Kto w Polsce słyszał o 800 uczniach szkół i klas o profilu dziennikarskim, którzy napisali tekst „Nie chcemy takiego dziennikarstwa”? Oskarżają media głównego nurtu o preferowanie obrazów degradacji i konfrontacji, a zatajanie przemocy policyjnej i żądań uczniów. Zarzucają mediom także słownictwo, które przyczynia się do kryminalizacji protestujących i sprawia, że przyczyny ruchu są niewidoczne. Ta nierównowaga informacyjna jest mierzalna. Stowarzyszenie Acrimed opublikowało 2 października analizę transmisji telewizyjnych w programie France 2. Od 28 września do 1 października poświęcono ruchowi 11 tematów, łącznie 24 minuty i 53 sekundy. 19 minut i 26 sekund zajęła przemoc, co stanowi prawie 78%. Prezentacja żądań uczniów szkół średnich to minuta i 56 sekund. Pokazując przemoc, 47 sekund poświęcono możliwej „nadmiernej reakcji” ze strony policji.

Do protestów młodzieży dołączyli związkowcy i aktywiści ruchu żółtych kamizelek. Władza ma jedną odpowiedź – jeszcze więcej policyjnej przemocy i prowokacji.

Francja umie w demonstracje i rewolucje – to one zbudowały nowoczesny świat, który dziś karleje za przyczyną niewydolnego społecznie kapitalizmu, prymatu własności prywatnej i ciągłego bogacenia się najzamożniejszych. Nierówności społeczne we Francji są rekordowe, ale nie one stają się tematem, lecz okradziony sklep Gucciego. Tymczasem „według oficjalnych danych francuskiego urzędu statystycznego INSEE stopa ubóstwa we Francji wzrosła do historycznego poziomu 15,4%. Skala wykluczenia: prawie 9,8 mln ludzi żyje obecnie poniżej progu ubóstwa, nie mogąc sobie pozwolić na podstawowe poczucie bezpieczeństwa bytowego. Przepaść dochodowa: połowa osób dotkniętych skrajną biedą we Francji ma do dyspozycji mniej niż 1074 euro miesięcznie, podczas gdy koszty życia i ceny energii dramatycznie przewyższają realne zarobki” (Karol Wilczyński). To są prawdziwe powody protestów.

W tym czasie Tusk ze słodkim uśmiechem roztacza baśniową interpretację protestów, niepopartą żadnymi faktami: winni są migranci. I że Polskę przed migrantami on uratuje. Że przekonuje do tego inne kraje Wspólnoty Europejskiej (oprócz premiera Hiszpanii). Owa rasistowska polityka antyimigrancka oparta jest zresztą na świadomym systematycznym łamaniu prawa europejskiego i polskiego. I tym szczyci się polski premier, łagodnie szczerząc się na YouTubie. Dokładną analizę przekłamań i manipulacji w jego filmiku z 19 października przeprowadziło Stowarzyszenie Nomada (www.facebook.com/photo?fbid=1536155998547847&set=a.317880290375430).

Obarczanie winą jakiejś grupy społecznej, religijnej, narodowej jest pomysłem nienowym. Tym razem w Polsce Tusk napędza obawy przed migrantami. Ale tymi złymi, nielegalnymi i niebiałymi. Tak szykuje grunt pod klęskę wyborczą swojej formacji i oddaje pole faszystom. I nic z tego nie rozumie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 818f3ad50a

ALBANIA nie jest na sprzedaż

Młode pokolenie przeciw korupcji i beznadziei

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Tirany



Plac Skanderbega, centrum protestów w Tiranie. Stąd demonstranci przemieszczają się w różne części miasta na hulajnogach, skuterach, rowerach lub pieszo. Na cokole konnego pomnika albańskiego bohatera narodowego, Jerzego Kastrioty vel Skanderbega, zapisano „życzenia" dla premiera Ediego Ramy: „Rama. Fuck. Off". Po kilku dniach napis usunięto. Pozostały „Fuck the system" i „Fuck Israel".

„Albania is not for sale!", krzyczą transparenty. Rewolucja flamingów, protest studentów, młodych ludzi, jest bacznie obserwowana i wspierana przez starsze pokolenia. Nie ma przywódców, są mówcy i spontaniczni liderzy. Najpierw protestowano przeciw sprzedaży zięciowi prezydenta Trumpa, Jaredowi Kushnerowi, cennych przyrodniczo, chronionych terenów. Kushner ma je zamienić w turystyczny raj i swój bankomat. Stąd flamingi jako symbol. Pokojowe protesty rozszerzały się o hasła studentów, niezadowolonych z warunków kształcenia, z tego, że tytuły i dyplomy nic nie dają, że nie ma pracy. Wzięły się z poczucia beznadziei dręczącego młodych ludzi, którzy widzą korupcję, betonowanie się władzy i przemianę premiera – dawniej niepokornego artysty – w bezwzględnego polityka. W telewizji poucza, wygraża, pobrzękując bransoletami na rękach, i zapewnia o praworządności.

– Mamy dość. Jesteśmy wk… – mówi mi Evis, młoda Albanka z tytułem doktora, która nie pracuje w zawodzie. Jako jedyna z ośmioosobowej rodziny chce żyć w Albanii, reszta bliskich mieszka w Anglii. Jej koleżanka dodaje, że będą protestować do skutku, nie boją się, są gotowi na wiele. Sama mieszka w USA, ale przyleciała do kraju, by wesprzeć znajomych. Przy okazji prosi, by nie zwiedzać bunkra, przy którym stoimy. Muzeum Bunk'Art 2 jest we włoskich rękach i nie przynosi miastu ani grosza. – Czy tak powinno być? – pyta retorycznie kobieta.

Obie pobiegły dalej protestować. Policjantom przyczajonym przy wozach bojowych pokazały środkowy palec.

Płonące przystanki

W czwartek, 15 października, przed południem Tirana powitała nas dymem i smrodem gazu łzawiącego. To drugi dzień rozruchów. Mąż, rocznik 1960, wrócił wspomnieniami do studenckich protestów lat 80. i do smaku własnych łez po tamtym gazie. Tu pełno młodych ludzi w maseczkach, szalikach, dziewcząt z rozmazanym makijażem. Demonstranci z czerwonymi oczami łapali oddech i rozbiegali się. Na chodnikach walające się jednorazowe maseczki – w aptekach wyciągano zapasy po covidzie.

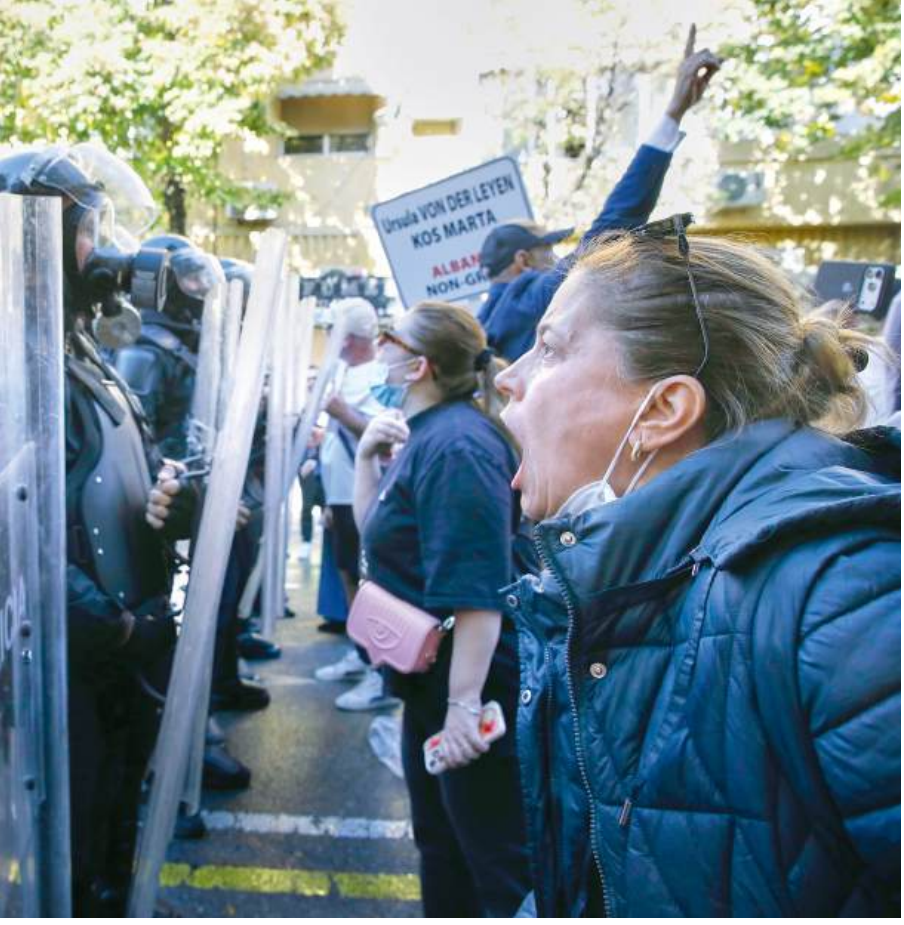


W wielu miejscach wywieszono kartki: „Jesteśmy z wami; prosimy, nie niszczcie naszych firm".

Grupy zamaskowanych policjantów w kaskach, nieszkolonych do zabezpieczania protestów, kuliły się za tarczami, przebiegały z ulicy na ulicę, kryjąc się za wozami bojowymi. Poleciały kostki brukowe. Blisko mnie i innych obserwujących. O ironio, przykucnąć można było za pozostałością po paranoi Envera Hodży, dawnym bunkrem MSW, wspomnianym Bunk'Art2.

Ludzi najpierw traktowano gazem, policja jeszcze była niezbyt śmiała, sprawiała wrażenie, że się wstydzi agresji wobec młodzieży, że wcale tego nie chce. Czekała, nie powstrzymywała fali zniszczeń. Ale w ruch poszły koktajle Mołotowa, pałki, niszczono wyposażenie miejskie, reklamy, przystanki, place zabaw, palono pojemniki na śmieci, tłuczono

eprasa.pl 818f3ad50a



Antyrządowy protest w Tiranie, 20 października 2026 r.

Jak zapowiedział premier Edi Rama, policja staje się coraz brutalniejsza.



szyby, kamery i światła na skrzyżowaniach. Miasto zostało w dużej części pozbawione infrastruktury codziennego bezpieczeństwa.

Przechodzenie bez świateł pośród pędzących pojazdów wymaga odwagi i refleksu. Królują skutery dostawców jedzenia, którym przybyło zamówień, bo część mieszkańców została w domach. Służby miejskie na bieżąco starały się usuwać zgliszcza przystanków, powyrywaną kostkę brukową i tę jeszcze do wyrwania, betonowe kwietniki rzucone na środek ulicy czy wyrwane znaki drogowe i ławki. Krajobraz niszczonego miasta jest straszny i smutny. Gapiliśmy się bezradnie. Mieszkańcy usiłowali coś wokół sprzątać. Poruszył widok rozbitych donic z pięknymi kwiatami, które starsi ludzie z czułością zbierali przy swoim sklepiku.

Nie szkodźcie naszym firmom

Wiele sklepów i biznesów ma opuszczone metalowe rolety, by minimalizować straty. Poprzyklejane kartki proszą: „Jemi me ju" i „Mos na demtoni bizneset", czyli „Jesteśmy z wami", ale też „Nie szkodźcie naszym firmom". Maleńka pamiątkarnia w suterenie, z tych uboższych, bez rolety, z pękniętą szybą, ma przyklejoną flagę albańską, dwugłowego czarnego orła na czerwonym tle, i ręcznie pisaną karteczkę: „Jesteśmy z wami".

Knajpki, sklepy reagowały wraz z pojawianiem się w okolicy protestów, w zależności od ich dynamiki zapraszały gości z ogródków do środka, starały się przeczekać. Kelner z kawiarni Kevin, koło najstarszego tirańskiego Mostu Garbarzy, podczas ataku policji gazem zapraszał ludzi z ulicy do środka, podawał chusteczki i wodę. – Nie zgadzam się z takimi protestami, nie podoba mi się to, ale będę pomagał, jak mogę – usłyszałam.

My też przeczekaliśmy w Kevinie przy kolejnej wspaniałej albańskiej kawie, by dorzucić grosz do utargu. Kelner co jakiś czas brał garść miękkich serwetek, wybiegał, rozdawał zapłakanym ludziom. Szefowa nie reagowała.

Na obrzeżach miasta w kawiarni podobnie jak w innych oglądano w telewizji transmisje z zamieszek. – Nie jestem studentem, ale jestem z nimi. Staram się codziennie przed pracą przyłączyć na godzinę, dwie do protestów – mówi młody właściciel.

eprasa.pl 818f3ad50a

Wieczorne protesty w te dwa dni naszego pobytu w Tiranie, czwartek i piątek, trwały do późna, skandowano pod siedzibą premiera i Ministerstwem Edukacji. W wielu miejscach obserwowali to z dystansu mieszkańcy, nieuczestniczący w demolce ani w walkach z policją. Niektórzy wcześniej brali udział w pokojowych marszach.

Dostałam dwie butelki wody – ktoś dostarczał ją, by ludzie mieli co pić na ulicy i czym przemyć oczy po gazie. Na wieść, że jestem z Polski, także „kraju orła", usłyszałam, że na pewno rozumiem protesty i walkę z korupcją, bo też to mieliśmy.



W godzinach porannych Plac Skanderbega nie wygląda jak centrum protestów. Przypominają o nich tylko zniszczenia.

– Proszę iść do hotelu, zadbać o bezpieczeństwo, różnie się może zdarzyć – tłumaczył z troską jeden z rozmówców. Przepraszał, że trafiłam na taki czas i na taką Tiranę, że nie mogę skorzystać z uroków miasta – i żebym źle nie myślała o tym, co się dzieje, ale już nie ma odwrotu. Kiedy powiedziałam, że przecież to ich życie i ich kraj, że im życzymy poprawy sytuacji, przyjął to z ulgą.

Pierwsza krew

Sherife, właścicielka sklepu w okolicach Piramidy, niedoszłego mauzoleum Envera Hodży, gdzie starcia z policją spowodowały duże zniszczenia, też zamknęła swój biznes. Przyznaje, że godzi się na te koszty i trudy, chociaż niszczenie miasta dla niszczenia nie jest akceptowalne. Ma nadzieję, że rząd się zmieni. – Jesteśmy europejskim, bezpiecznym krajem, nie chcemy korupcji. Współczuję młodzieży, tak wielu ich opuszcza Albanię, kto tu zostanie?

Sherife, z którą rozmawiałam niedaleko ulicy Jana Pawła II (Papa Gjon Pali II), albańskiej telewizji i włoskiej ambasady, żałowała policjantów: – Oni nie chcą bić ludzi, dzieciaków. Sami nie wiedzą, co robić. Są nisko opłacani, po 400-500 euro może, dla ich rodzin to też nie jest łatwe.

Policjanci, zmęczeni akcją albo czekaniem na rozkaz w wysokich temperaturach, obsiadali ławki w parkach, te koło murów zamku, i kawiarnie. Odstawili tarcze i kaski. Czekali. Uciekali wzrokiem.

Bramy posesji i wejścia do instytucji zamykano na klucz, nikt nie chciał niepożądanych gości ani wydarzeń: wpadających nagle protestujących, gazu, walki z policją, zniszczeń. W naszym hoteliku sprytnie ukrytym między blokami, również proszono, by zamykać drzwi. W Tiranie trwały pożary, niszczono bankomaty, przy bankach i sklepach z cennymi towarami organizowane były więc straże. Ojcowie przyjeżdżali motorami z dziećmi, by pokazać im płonący przystanek czy zdewastowane biurowce. Nie wiem, co im mówili.

Najstraszniejsze dla moich zmysłów były dźwięki – głośne wystrzały, bliżej i dalej, skojarzenia z wojną w Ukrainie pojawiły się automatycznie. Miasto dudniło w czwartek do późnego wieczora. Jeszcze nie strzelano do protestujących. Kolejnego dnia wyjechały armatki wodne. Pojazdy policyjne rozjechały się po Tiranie, mundurowi stawali się coraz bardziej bezwzględni, tak jak zapowiadał Edi Rama. Agresywny policjant rzucił się na niewinnego chłopaka. Skopał go. Koledzy musieli go odciągać od ofiary. Ludzie zarejestrowali więcej takich scen. Stąd wydalenie kilkunastu policjantów ze służby, dla przykładu. Ale w sobotę już padły strzały z dopuszczonej broni na gumowe kule. Przerażeni i wściekli młodzi demonstranci pokazywali krwawe rany.

Albania znaczy wiele

Do południa w mieście trwała cisza. Plac Skanderbega jak zwykle stawał się rano punktem startowym dla turystów wyruszających na zwiedzanie. Ludzie siedzieli w otwartych kawiarniach przy kawie i ciastku. Potem znowu Tirana dzieliła się na dwa miasta – jedno pełne protestujących, z flagami, często agresywnych, gonionych przez uzbrojone oddziały. I drugie, dalej od centrum, oglądające rozruchy na ekranie, przy winie i piwie, to bezpieczne. Ale też czekające na zmiany.

Kosowo, które z Albanią wiążą historia, kultura i większość etniczna, z uwagą obserwuje wydarzenia.

– Protesty i ogólna sytuacja w Albanii budzą niepokój nas wszystkich w Kosowie. Każdego dnia uważnie śledzimy rozwój wydarzeń, mając nadzieję na pozytywne zmiany. Albania znaczy dla nas bardzo wiele. Jesteśmy przecież jednym narodem. Co więcej, na naszą własną drogę ku integracji europejskiej patrzymy przez pryzmat Albanii. Oczywiście głęboko nas boli widok Albanii pogrążonej w takim chaosie, jednak tamtejsza klasa polityczna pilnie potrzebuje reform. Przemoc jest nie do przyjęcia, niezależnie od tego, skąd pochodzi. Modlimy się za Albanię – komentuje twórca filmowy, działacz kulturalny, współpracujący m.in. z albańskimi artystami, Sabri Pajaziti z Ferizaju.

Premier Edi Rama pyta rodaków, czy chcą rozruchów, czy Unii Europejskiej. Nie zamierza ustąpić. A na pasku telewizji albańskiej News24 widnieje: TIK TAK… TIK TAK…

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BEATA DŻON-OZIMEK (2), AP/EAST NEWS, IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 818f3ad50a



Oko w oko Tomasz Jastrun

Oblężenie Trybunału

Jeśli mamy wygrać wybory, to Tusk nie może popełniać błędów. Wracam do wyborów na prezydenta Krakowa. Tusk mianował Monikę Piątkowską. Była kiedyś w SLD, w PSL, w Polsce 2050. To szwendanie się po partiach nie było najlepszą rekomendacją. O wiele gorzej, że nie robiła sympatycznego wrażenia, jest w niej coś irytującego. Nie rozumiałem tej kandydatury. A pokazywanie się z nią Tuska to też błąd. Kraków nie kocha Warszawy. Jeśli mamy wygrać wybory z faszystami, potrzebny nam geniusz Tuska. A on popełnia proste błędy.

Za to Trump od początku swojej nowej kadencji popełnia same błędy, niektóre fatalne dla gospodarki świata. On, który obiecał zakończyć wojnę ukraińską w ciągu trzech dni, chce teraz z Putinem i Xi Jinpingiem – to nowa wielka trójka – zmusić Ukrainę do kapitulacji. Nie całkowitej kapitulacji, ale częściowej, bo jest łaskawy. Musi odnotować jakiś sukces przed wyborami połówkowymi. I nie ma czasu do stracenia. A Putin już miał dosyć czasu, by się zorientować, że ma do czynienia z durniem. Pachnie Jałtą.

•

Kłamstwa naszej prawicy. Jedne małe, drugie duże. Do tych wielkich należy kłamstwo smoleńskie. Z nowych: „Tusk nie chce bazy amerykańskiej w Polsce. On patrzy tylko na Niemcy”. Już dawno przestało mieć znaczenie, że każdy, kto umie czytać i słuchać i ma do wyboru wiele źródeł informacji, będzie się kierować rozsądkiem. Ludzie znajdują te informacje, które potwierdzą ich najbardziej nawet fantastyczne wizje. Zwolennicy Brauna wierzą, że nie było komór gazowych w Auschwitz. Im więcej źródeł informacji, tym więcej wyznawców horrendalnych bzdur. Politycy je mnożą, by na nich dojechać do władzy.

Im więcej źródeł informacji, tym więcej wyznawców horrendalnych bzdur.

•

Wojna o Trybunał Konstytucyjny. Mijam obleśny obóz prawdziwych Polaków koczujących na chodniku na Szucha, wszystko tam brzydkie: twarze, namioty i hasła. Przywieziono w eskorcie sędziego Macieja Berka. Święczkowski, monstrualny troglodyta, blokuje drzwi na korytarz sędziowski. Na chodniku pojawia się prezes, przybywa nawet Nawrocki. Na scenie przed Trybunałem z wielką satysfakcją oglądałem czterech wybitnych polityków, jak tańczyli w serdecznym uścisku: prezes, Macierewicz, Kurski i Bąkiewicz. Szczególnie cieszy mnie Bąkiewicz. Chociaż Glińskiego trochę żal, to od dawna Bąkiewicza z jego urodą, inteligencją i obyciem widzę jako przyszłego ministra kultury. Kurski tak ocieka cynizmem, że gdzie stanie, zostawia po sobie kałużę. Prezes zdaje się obłąkany z nienawiści do Tuska, a Macierewicz na pewno jest chory. To wszystko tragikomiczne.

Komizm znika, gdy uświadomimy sobie, że to kompromitacja państwa i kontynuacja warcholskiej tradycji, co skończyło się narodową tragedią. Pachnie wojną domową. Do obrony Trybunału Konstytucyjnego przed rzekomym bezprawiem biorą się siły polityczne, które tę instytucję od dekady niszczą. I zniszczyły. Obłuda to za małe słowo.

•

Długi wieczór w nowym, monumentalnym, ale zimnym Muzeum Historii Polski na Cytadeli Warszawskiej. I pomyśleć, że w tej cytadeli szkolił swoich żołnierzy mój dziadek Wilhelm. Trzy filmy o „Kulturze” paryskiej i Giedroyciu, w trzecim występuję. Dużo świetnych zdjęć i fragmentów filmów dokumentalnych. Początki „Kultury”, lata 40. i dalej w czas. Dużo wzruszeń, przecież wiele razy byłem w Maisons-Laffitte. 16 lat mojego stałego pisania do „Kultury”. Spotkania z Redaktorem, rozmowy z nim i z Zosią Hertz, z całą załogą „Kultury”, jedno spotkanie z Herlingiem-Grudzińskim. Pamiętam, jak mi mówił: „Adam (Michnik) nie lubi pana felietonów”. On za to bardzo lubił, mam entuzjastyczną dedykację od niego w „Dzienniku pisanym nocą”. Potem Herling pokłócił się na śmierć i życie z „Kulturą” i z Giedroyciem na tle politycznym i odpłynął na prawo. Wtedy chyba już bardzo nie lubił moich liberalnych felietonów.

A Giedroyc później często dzwonił do mnie, dostałem wiele listów od niego i odbyłem spotkań. Teraz trwa beatyfikacja Giedroycia i „Kultury”, a ja też znam jego małe słabości i błędy. Pamiętam, jak w Maisons-Laffitte, już w miasteczku, gdy szedłem do kolejki, spotkałem gosposię „Kultury”. Ale ona mi nagadała – głównie na Zosię Hertzową, prawą rękę Redaktora. Rozumiem, że Zosia mogła być trudna. Gosposie czasami są bezcennym źródłem informacji, jak choćby Céleste, gosposia Marcela Prousta.

•

Prezes Jarosław Kaczyński powiedział na wiecu: „Jak wygramy wybory, nie możemy dopuścić już nigdy do tego, żeby zdarzyło się to, co trzy lata temu”. Tak prezes rozumie demokrację. Dobrze, że jest szczery. Ci, którzy będą na niego głosować i potrafią logicznie myśleć, muszą wiedzieć, że będą głosować na dyktaturę. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 818f3ad50a

Pyrrusowe zwycięstwo

Wynik wyborów w 2001 r. dawał liderom lewicy powody do zadowolenia, ale nie zdołał przesłonić rozczarowania

Paweł Siergiejczyk

Za symboliczny początek XXI w. w światowej polityce uznać można 11 września 2001 r. – dzień największych w historii zamachów terrorystycznych w USA. Natomiast polska polityka swoją nową epokę rozpoczęła 23 września 2001 r. – w dniu wyborów parlamentarnych, które wyłoniły Sejm IV kadencji i Senat V kadencji.

To miały być zwyczajne wybory, w których władza mierzy się z opozycją. Okazało się jednak, że ówczesna władza, czyli koalicja Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności, rządząca Polską od 1997 r. (UW w połowie 2000 r. wyszła z rządu, lecz faktycznie nadal go wspierała), została w tych wyborach znokautowana. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie zdarzyło się bowiem, by partie rządzące w ogóle nie weszły do następnego Sejmu. Tymczasem Unia zdobyła zaledwie 3,1% głosów i po raz pierwszy nie przekroczyła pięcioprocentowego progu. AWS wprawdzie dostała 5,6%, ale ponieważ startowała jako koalicja, sporo jej zabrakło do pokonania progu ośmioprocentowego.

Porównanie tych wyników z rezultatami wyborów z 1997 r. (AWS prawie 34%, UW ponad 13%) dobitnie ilustruje skalę klęski i społecznej kompromitacji postsolidarnościowej władzy, która przez cztery lata zmieniała Polskę – jak twierdziła – na lepsze.

Polacy zresztą wyraźnie odrzucili tę władzę już wcześniej, wybierając w 2000 r. Aleksandra Kwaśniewskiego na drugą kadencję prezydencką niepobitym do dziś wynikiem prawie 54% w pierwszej turze, podczas gdy kandydaci prawicowi – z liderem AWS Marianem Krzaklewskim na czele – nawet nie otarli się o szansę na drugą turę. Warto o tym pamiętać także dziś, gdy próbuje się budować legendę AWS-owskiego premiera Jerzego Buzka (np. poprzez hagiograficzny film dokumentalny zrealizowany niedawno przez TVP). Buzek wraz ze swoim protektorem Krzaklewskim ćwierć wieku temu ponieśli najbardziej spektakularną klęskę w dziejach III RP, tracąc nie tylko władzę, lecz i miejsce na scenie politycznej. Co prawda, Buzek powrócił po kilku latach jako śląski europoseł PO i przez dwie dekady godnie reprezentował Polskę w Brukseli (przez dwa i pół roku był nawet przewodniczącym Parlamentu Europejskiego), ale polityka jego rządu została przez społeczeństwo oceniona jednoznacznie.

Buzek ze swoim protektorem Krzaklewskim ćwierć wieku temu ponieśli najbardziej spektakularną klęskę w dziejach III RP.

Postsolidarnościowe elity, które dominowały w Sejmie III kadencji, od dawna zresztą zdawały sobie sprawę z nadchodzącej porażki, choć z pewnością nie przewidywały jej skali. Dlatego w kwietniu 2001 r., pięć miesięcy przed wyborami, dokonały bezprecedensowej zmiany ordynacji wyborczej. W miejsce dotychczasowej metody przeliczania głosów na mandaty poselskie, tzw. metody D'Hondta, wprowadzono nową, metodę Sainte-Laguë, która pomniejszała premię dla zwycięzcy. Zniesiono też partyjne listy krajowe, rozdzielając wszystkie 460 mandatów na 41 okręgów i dostosowując ich podział do nowych województw. Wprowadzono również finansowanie partii politycznych z budżetu państwa, proporcjonalnie do ich wyników wyborczych, a także ścisłe rozliczanie wydatków na kampanię, co miało ukrócić praktyki korupcyjne w polskiej polityce.

I właśnie ze względu na te zapisy prezydent Kwaśniewski nie zdecydował się zawetować całej ustawy, mimo że usilnie namawiali go do tego liderzy SLD. Tak, Polska miała wtedy prezydenta, który potrafił podpisywać ustawy nawet niekorzystne dla jego obozu politycznego, ale przynajmniej częściowo pożyteczne dla państwa. Karol Nawrocki nigdy tego nie zrozumie.

Koalicja IPN

Nową ordynację przeforsowały wspólnie AWS, UW i PSL, czyli ta sama nieformalna koalicja, która w poprzednich latach wprowadziła do polskiego systemu prawnego lustrację i utworzyła Instytut Pamięci Narodowej. Te trzy ugrupowania łączyła wówczas niechęć do lewicy i obawa przed jej powrotem do władzy, na co wyraźnie wskazywały wszystkie sondaże. Bo właśnie SLD pod wodzą Leszka Millera, który w 1999 r. zjednoczył wielobarwną lewicową koalicję w jednolitą partię, stał się dla dużej części Polaków realną alternatywą dla rządów AWS-UW. Tym bardziej że Miller nadzwyczaj profesjonalnie potraktował możliwość powrotu do władzy, nie kryjąc, że po wygranych wyborach chce zostać szefem rządu.

Nigdy wcześniej żaden partyjny lider nie miał takiej odwagi, dlatego lista polskich premierów z lat 90. składa się z postaci tyleż przypadkowych, co drugoplanowych i zupełnie nie odzwierciedla prawdziwych hierarchii politycznych tamtego czasu (prezesem partii był jedynie Waldemar Pawlak, premier z lat 1993-1995, stał

eprasa.pl 818f3ad50a



Wybory z 23 września odwróciły układ sił. Lider SLD Leszek Miller został szefem rządu, AWS Mariana Krzaklewskiego nawet nie weszła do Sejmu. Nz. posiedzenie inauguracyjne Trójstronnej Komisji ds. Społeczno-Gospodarczych, Warszawa, 23 listopada 2001 r.

jednak na czele PSL, które było słabszym partnerem w koalicji z SLD).

Co więcej, w reakcji na zamachy terrorystyczne z 11 września Miller ogłosił obsadę kluczowych stanowisk w przyszłym rządzie, zwłaszcza tych związanych z bezpieczeństwem państwa. Dla wyborców było więc jasne, że ministrem obrony zostanie Jerzy Szmajdziński, szefem dyplomacji Włodzimierz Cimoszewicz, ministrem spraw wewnętrznych i administracji Krzysztof Janik, a ministrem finansów Marek Belka.

Ten ostatni trzy dni przed wyborami pozwolił sobie na szczerość dotyczącą potrzeby oszczędności budżetowych i wprowadzenia podatku od zysków z lokat bankowych, co zdaniem wielu komentatorów – i samego Millera, który po latach przyznał to we wspomnieniach – mogło zniechęcić do lewicy jakąś część wyborców. Aczkolwiek trudno tę tezę udowodnić, bo wynik Sojuszu, a właściwie koalicji SLD-Unia Pracy, i tak okazał się rekordowy w dotychczasowych dziejach III RP – 41% głosów i 216 mandatów poselskich.

Liderzy lewicy mieli powody do zadowolenia, choć połączonego ze słabo skrywanym rozczarowaniem. Sondaże dawały ich ugrupowaniu poparcie w granicach 45-50%, mogli zatem się spodziewać samodzielnej większości sejmowej. Tymczasem wynik okazał się nieco słabszy, a nowa ordynacja wyborcza pozbawiła lewicę być może nawet kilkudziesięciu mandatów. Triumf SLD-UP okazał się więc pyrrusowym zwycięstwem, i to nie tylko dlatego, że po wygranych wyborach trzeba było zawiązać koalicję rządową. To akurat okazało się najłatwiejsze, bo całkiem dobry wynik (9% i 42 mandaty) uzyskało PSL, z którym lewica współrządziła już w latach 1993-1997.

Koalicja rządowa zatem powstała, w dodatku niewielkim kosztem dla zwycięzcy – ludowcy objęli zaledwie dwa resorty: rolnictwa i środowiska. I tylko można się zastanawiać, co skłoniło Leszka Millera do jej zerwania już w marcu 2003 r., czyli w momencie, gdy nad jego rządem zbierały się czarne chmury. Odtąd gabinet funkcjonował jako mniejszościowy, z poparciem tzw. planktonu sejmowego, czyli posłów, którzy odeszli z różnych ugrupowań. Posłom tym trzeba było płacić różnymi pomniejszymi stanowiskami, ale ich główna motywacja opierała się na istnieniu Sejmu do końca kadencji, bez groźby przedterminowych wyborów.

PSL w opozycji

Usuwając PSL z rządu, Miller najwyraźniej nie przewidział, że w ten sposób wepchnął ludowców w szeregi opozycji, która z czasem zyskała przewagę w Sejmie IV kadencji.

A była to opozycja, jakiej polska demokracja jeszcze nie widziała. Na gruzach postsolidarnościowej większości z poprzedniej kadencji powstały bowiem aż trzy ugrupowania: Platforma Obywatelska z Donaldem Tuskiem na czele (w 2001 r. zdobyła prawie 13% głosów i 65 posłów), Prawo i Sprawiedliwość braci Kaczyńskich (9,5% i 44 posłów) oraz utworzona wokół Radia Maryja Liga Polskich Rodzin (prawie 8% i 38 posłów). Do tego trzeba dodać największą niespodziankę tamtych wyborów, czyli Samoobronę Andrzeja Leppera, która zajęła trzecie miejsce, uzyskując 10% głosów i wprowadzając 53 posłów.

Wszystkie te formacje można sprowadzić do wspólnego mianownika, a był nim populizm. Oczywiście w każdym z tych przypadków populizm miał inne oblicze: u Leppera – socjalne, u Tuska – liberalne, u Kaczyńskich – antykorupcyjne, u Romana Giertycha zaś, który szybko wyrósł na lidera LPR – antyeuropejskie. Każdy populizm ma jednak to do siebie, że stara się przeciwstawić „zepsute elity" „zdrowej większości narodu", którą – rzecz jasna – reprezentują sami populiści. Akurat w pierwszych latach nowego stulecia w retoryce wszystkich nurtów polskiego populizmu w roli „zepsutych elit" obsadzono „postkomunistów", czyli rządzącą lewicę. Był to przeciwnik najłatwiejszy do zdefiniowania dla polityków wywodzących się z Solidarności, których przecież nie brakowało

Media w ogromnej większości były lewicy nieprzychylne.

eprasa.pl 818f3ad50a

w PO, PiS i LPR, choć także populiści niemający takich życiorysów – jak Giertych i Lepper – szybko przejęli język antykomunizmu, by używać go przeciwko ludziom SLD.

Wydarzeniem, które umożliwiło populistycznej opozycji skuteczną walkę z lewicową władzą, stała się tzw. afera Rywina. Ujawniona przez „Gazetę Wyborczą" pod koniec grudnia 2002 r. propozycja korupcyjna, z jaką pół roku wcześniej miał przyjść do Adama Michnika producent filmowy Lew Rywin, powołujący się na „grupę trzymającą władzę", okazała się bombą, której zasięgu rażenia chyba nikt się nie spodziewał. Stało się tak za sprawą pierwszej w dziejach polskiego parlamentaryzmu sejmowej komisji śledczej, na której czele stanął wicemarszałek Tomasz Nałęcz z Unii Pracy. Początkowo wydawało się, że większość w komisji ma obóz rządowy, lecz im dłużej trwała jej działalność, tym bardziej stawała się ona narzędziem moralnej i politycznej delegitymizacji lewicy.



Dzień po uroczystości przyjęcia Polski do UE Marek Belka został powołany na premiera nowego rządu, z prof. Jerzym Hausnerem jako ministrem gospodarki i Izabelą Jarugą-Nowacką jako wicepremierem. Pałac Prezydencki, 2 maja 2004 r.

Komisje śledcze

Głównymi oskarżycielami ludzi SLD, a przy okazji kierownictwa „Gazety Wyborczej" i spółki Agora, stali się posłowie Jan Rokita z PO i Zbigniew Ziobro z PiS. Ich skuteczność zachęciła opozycję do powoływania kolejnych komisji śledczych, które miały wyjaśnić tzw. aferę Orlenu oraz prywatyzację PZU. Ich przewodniczącymi zostawali politycy, którzy w trakcie kadencji przenosili się z obozu rządowego na ławy opozycji: w komisji orlenowskiej był to Józef Gruszka z PSL, a potem Andrzej Aumiller (Unia Pracy, następnie Samoobrona), w komisji ds. PZU – Janusz Dobrosz (LPR, do której przeszedł z PSL). Szczególnie w tej pierwszej komisji, powołanej w połowie 2004 r., nastąpiła erupcja skrajnie antykomunistycznej agresji za sprawą takich „śledczych" jak Antoni Macierewicz, Roman Giertych i Konstanty Miodowicz.

Ten ostatni, były szef kontrwywiadu Urzędu Ochrony Państwa, a wówczas poseł PO, latem 2005 r. był inspiratorem przesłuchania przed komisją Anny Jaruckiej, niegdyś asystentki Włodzimierza Cimoszewicza, którego oświadczenie majątkowe miała zmienić na jego polecenie, by ukryć posiadanie akcji PKN Orlen. Sam Cimoszewicz – wówczas marszałek Sejmu i kandydat SLD na prezydenta – odmówił stawienia się przed komisją, a niedługo potem w ogóle zrezygnował z kandydowania. Atak Miodowicza okazał się zatem celny, gdyż SLD został pozbawiony kandydata w wyborach prezydenckich, co niewątpliwie pomogło Donaldowi Tuskowi dostać się do drugiej tury (którą jednak przegrał z Lechem Kaczyńskim).

Rząd prof. Marka Belki był ostatnim w III RP, w którym liczyły się kompetencje ministrów, a nie ich legitymacje partyjne.

Gdyby dziś zapytać, na czym polegały afery „badane" przez te pierwsze sejmowe komisje śledcze, zapewne nikt nie potrafiłby udzielić sensownej odpowiedzi. Nie o wyjaśnianie rzeczywistych afer wówczas chodziło, lecz o to, by politycy SLD zasiedli na symbolicznej ławie oskarżonych, a prawicowi samozwańczy prokuratorzy mogli przypisywać im wszelkie niegodziwości. Tym, co najbardziej zdumiewa z dzisiejszej perspektywy, jest całkowita bezradność lewicy wobec narastającej z każdym miesiącem kampanii ataków i pomówień. Partia Millera i ośrodek prezydencki najwyraźniej nie spodziewały się takiej skali agresji, licząc na to, że przecież dysponują wszystkimi narzędziami władzy, zwłaszcza większością parlamentarną. Lewica nie zrozumiała, że nadchodzą nowe czasy, gdy to media – telewizje informacyjne i szybko rozwijający się internet – kształtują świadomość społeczeństwa. Media zaś w ogromnej większości były lewicy nieprzychylne.

Zresztą IV kadencja Sejmu stała się pierwszą, w której doszło do jawnego konfliktu po lewej stronie, co skończyło się rozłamem w SLD w marcu 2004 r. Z Sojuszu wystąpiło wtedy ok. 30 posłów pod wodzą marszałka

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER (2)

eprasa.pl 818f3ad50a

Sejmu Marka Borowskiego, którzy utworzyli Socjaldemokrację Polską. Rozłam ten zmusił od dawna krytykowanego w swojej partii Leszka Millera do dymisji, osłodzonej jedynie symbolicznym trzymaniem polskiej flagi – razem z prezydentem Kwaśniewskim – na uroczystości przyjęcia Polski do Unii Europejskiej 1 maja 2004 r. Następnego dnia Kwaśniewski powołał nowego szefa rządu, którym został prof. Marek Belka.

Zapomniany rząd

Rząd ten administrował Polską do jesiennych wyborów 2005 r., które wygrało PiS, i dziś jest kompletnie zapomniany, a chyba niesłusznie, był to bowiem pierwszy gabinet, który reprezentował nasz kraj w UE, ale też ostatni w III RP, w którym liczyły się kompetencje ministrów, a nie ich legitymacje partyjne. Polityką gospodarczą kierował tam prof. Jerzy Hausner, dyplomacją – prof. Adam Daniel Rotfeld, kulturą – Waldemar Dąbrowski, edukacją – Mirosław Sawicki i Anna Radziwiłł, zdrowiem – Marek Balicki, polityką społeczną – Izabela Jaruga-Nowacka, na czele MSWiA stał zaś Ryszard Kalisz. Był to więc gabinet szeroko pojętej centrolewicy pod patronatem prezydenta Kwaśniewskiego, jednak faktycznie pozbawiony zaplecza parlamentarnego, a im bliżej wyborów, tym zacieklej atakowała go populistyczna większość sejmowa.

Dziwna to była kadencja, która rozpoczęła się 25 lat temu. Niby wszystko wskazywało na triumf i trwałą dominację SLD: druga kadencja Kwaśniewskiego i premierostwo Millera, powszechnie nazywanego wówczas „żelaznym kanclerzem". Niestety, szybko się okazało, że między najważniejszymi politykami lewicy istnieje „szorstka przyjaźń", coraz słabiej skrywana przed opinią publiczną, co dobitnie pokazała afera Rywina. Seria błędów, które popełnili Miller i inni liderzy SLD, doprowadziła do zdumiewająco gwałtownej erozji poparcia społecznego, jakim cieszyło się to ugrupowanie w pierwszej dekadzie III RP.

Ostatecznie z fatalnego czterolecia 2001-2005 lewica wyszła skłócona, podzielona i skompromitowana tyleż własnymi słabościami, co atakami bezwzględnie prącej do władzy prawicy. Dziś jest cieniem dawnej potęgi – paradoksalnie pod przywództwem Włodzimierza Czarzastego, jednego z najbardziej atakowanych podsądnych pierwszej komisji śledczej.

Najważniejszym skutkiem pierwszych lat XXI w. stało się jednak zdominowanie sceny politycznej przez dwie postsolidarnościowe partie, które po wyborach w 2005 r. miały wspólnie przeprowadzić w Polsce sanację moralną. Ale zamiast koalicji PO-PiS Polacy dostali brutalną wojnę tych dwóch ugrupowań. Trwa ona do dzisiaj, ciągle z tą samą temperaturą, która udziela się znacznej części wyborców, i z tymi samymi liderami, którzy uporczywie trzymają w ręku swoje ugrupowania niczym prywatne folwarki. A populizm, który na dobre, czy raczej na złe, wtargnął do polskiej polityki ćwierć wieku temu, nie tylko nadal istnieje, ale wręcz dominuje, tyle że już w innych, znacznie bardziej radykalnych formach.

Paweł Siergiejczyk

PAMIĘTAMY

Początek listopada to moment, kiedy wspominamy tych, którzy odeszli od nas w tym roku. Spotkaliśmy ich na naszej redakcyjnej drodze, razem pracowaliśmy, wspierali nas radą i zapisali się w historii „Przeglądu". Wiemy, ile im zawdzięczamy. 16 stycznia zmarł **Maciej Polkowski**, dziennikarz sportowy, redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego", a wcześniej przez niemal 20 lat kierownik działu piłki nożnej, autor licznych tekstów piłkarskich w „Przeglądzie". 29 marca br. odszedł **Wiesław Myśliwski**, pisarz, redaktor, dwukrotny laureat Nike i nasz stały, czujny czytelnik. 20 czerwca zmarł dziennikarz sportowy i autor wielu książek **Andrzej Martynkin**. A 15 sierpnia pożegnaliśmy **Joannę Rawik**, piosenkarkę o niezwykłym głosie, aktorkę, w ostatnich latach dziennikarkę, związaną również pisarsko z naszym tygodnikiem.

W tym roku przypadają też okrągłe rocznice śmierci osób związanych z „Przeglądem" i „Przeglądem Tygodniowym" – autorów, laureatów naszych nagród i przede wszystkim przyjaciół. 27 marca 2006 r. odszedł **Stanisław Lem** – jeden z największych wizjonerów XX w., laureat naszej nagrody – Busoli. W felietonach, które często otwierały łamy „Przeglądu", pisał o sprawach drobnych i fundamentalnych, o naturze człowieka i złu, jakie wyrządza, o wykorzystywaniu technologii w haniebny sposób, o postępującej demoralizacji. Niestety, jego przestróg słuchano zbyt rzadko. 28 lutego 2011 r. zmarł inny autor z naszych łamów – **Jerzy Wołk-Łaniewski**, reporter i wielki erudyta.

Pięć lat temu odeszli **Michalina (Teresa) Nowak-Ginalska** (14 lutego 2021) – krośnieńska dziennikarka, zawsze wrażliwa na ludzką krzywdę, związana z tygodnikiem regionalnym „Podkarpacie", na łamach „Przeglądu" opublikowała dziesiątki reportaży z Podkarpacia i Małopolski; **Andrzej Kratiuk** (15 lutego) – prawnik, ekonomista, działacz lewicowy, który bardzo pomógł naszemu tygodnikowi; **Małgorzata Kąkiel** (25 kwietnia) – krytyczka literacka, publicystka, erudytka. Kochała książki, miała o nich ogromną wiedzę i pisała z wielkim znawstwem i zaangażowaniem. Współpracowała z nami przez 11 lat. Za jej sprawą na nasze łamy trafiło wielu pisarzy, literaturoznawców, tłumaczy, ludzi kultury; **prof. Paweł Bożyk** (12 października) – ceniony naukowiec, popularny nauczyciel akademicki, autor wielu opinii publikowanych w „Przeglądzie"; **Maria Berny** (23 grudnia) – nasza autorka, senatorka i społeczniczka, Wołynianka mieszkająca na Dolnym Śląsku. Kochała Kresy, Wrocław i ludzi.

Odeszli, ale zostali w naszej pamięci.

eprasa.pl 818f3ad50a

ZBRODNIA ZAŁOŻYCIELSKA EUROPY

„Oresteja” – kołowrót historii w Teatrze Narodowym



Danuta Stenka jako trojańska królowa Hekuba.

Tomasz Miłkowski

W warszawskim Narodowym na dużej scenie odbyła się premiera „Orestei” według Ajschylosa, tragedii otwierającej dzieje europejskiego dramatu.

Teatr wraca do źródeł, zatacza koło czy też ukazuje, jak silnie wiąże się współczesność z odległą przeszłością? Luk Perceval, jeden z najważniejszych twórców europejskich, nie patrzy na teksty sprzed 2,5 tys. lat jak na znaleziska czy zapiski wydobyte z archiwów. Dostrzega w nich ten sam gorący puls emocji, idei i myśli, które towarzyszą ludziom od zawsze. Klasyka jest dla niego żywą częścią teraźniejszości.

W półmroku sceny wznosi się potężna piramida. Wypełnia niemal całą przestrzeń. Światło padające na schody maluje na niej rozmaite kształty, cienie, półcienie i jasne plamy. Na szczycie majaczy postać. To trojańska królowa Hekuba (Danuta Stenka), która z trudem wydziera z trzewi pieśń skargi po ostatecznej zagładzie miasta. Troi już nie ma, najeźdźcy zrównali miasto z ziemią. Majestat piramidy jest milczącym świadkiem lamentu.

Zwycięzcy wracają z brankami i łupami do domów. Niektórzy błąkać się będą latami, jak Odyseusz. Inni pojawią się u siebie szybko jak Agamemnon, zwycięski wódz Greków, powracający do Argos, miasta Pelopidów. Nie będzie to jednak powrót triumfalny.

Klątwa zawisła nad rodem Pelopidów od czasów, gdy Pelops zdobył podstępem tron. Kiedy jego wnuk Agamemnon śpieszy na wojnę trojańską, poświęca bogom swoją córkę Ifigenię, aby sprowadzić przychylne wiatry. Budzi to nienawiść jego żony Klitajmestry, która podczas wojny wiąże się z Ajgistosem. Kiedy król wraca spod Troi, kobieta dokonuje krwawego mordu. I uznaje swój czyn za sprawiedliwe wyrównanie rachunków. W budzącej zgrozę spowiedzi z dumą opowiada o zapłacie za śmierć córki i wiarołomstwo Agamemnona. Zbrodnia rodzi zbrodnię, pomstę dopada pomsta. I tak bez końca.

Na odwet czeka córka Agamemnona Elektra. Wspiera swojego brata Orestesa w postanowieniu dokonania matkobójstwa. Orestes skrycie przybywa do pałacu i zabija najpierw Ajgistosa, potem matkę. U Ajschylosa tu zatrzymuje się karuzela dziedziczonej przez pokolenia przemocy – zamiast zemsty wkracza prawo, Orestes postawiony przed sądem zostanie uniewinniony. Następują czasy sprawiedliwości, z odmętów zbrodni wyłania się państwo prawa. Perceval podaje to kojące przesłanie w wątpliwość.

Swoją skondensowaną opowieść o przemocy i zemście jako regulatorach życia zamyka po zbrodni Orestesa, zostawiając matkobójcę w rozpaczy. Krąg przemocy wcale nie zostaje przerwany – kto wie, co nastąpi, doświadczamy tego niemal codziennie. 2,5 tys. lat po prapremierze „Orestei”, tragedii założycielskiej Europy, zasada zemsty, odwiecznej szafarki życia i śmierci, nadal obowiązuje.

Perceval w nadpisanym na trylogii Ajschylosa, jak powiada, „palimpseście” dokonuje nie tyko kondensacji, ale i znamiennych modyfikacji.

FOT. MARIIA SHULGA

eprasa.pl 818f3ad50a

Pozostawia na scenie Chór (w tej roli Mariusz Bonaszewski), ale pozbawia go głosu. Zamiast jego komentarzy słyszymy nieartykułowane dźwięki. Reprezentant ludu został wyzuty ze swoich prerogatyw, już nikt go nie słucha. Można to różnie czytać – jako świadectwo utraty prawa głosu wobec upadku znaczenia opinii publicznej, pozbawionej narzędzi oddziaływania (śmierć prasy, śmietnik internetu, manipulacje), albo pokaz starcia wielkich zbrodniarzy, które i tak traci na znaczeniu, skoro kołem historii obraca kto inny.

W „Orestei" Percevala pojawia się jeszcze jedna niema postać. To Ifigenia (Hanna Wojtóściszyn) tkwiąca na stopniach piramidy jak wyrzut sumienia. Jest ciężarem, którego nie można przeoczyć.

Na stopniach piramidy, co pewien czas wprawianej w majestatyczny, kolisty ruch, pojawiają się kolejne bohaterki. Każda przybywa ze swoją misją. Kasandra (Karolina Staniec), cierpiąca poniżenia siostra pięknej Heleny, branka Agamemnona, zapowiada zagładę zwycięzców. Ale prorokini nikt nie słucha. Klitajmestra (Aleksandra Justa) przygotowuje się do odwetu na męża, który dla kariery zamordował własną córkę. Elektra (Ewa Bukała), siostra zamordowanej, czuje się strażniczką zasad etycznych, rozgrzesza ojca, przyznając sobie prawo osądzania.

Mężczyźni w tej rozgrywce znaczą mniej. Mimo że tragedia tytuł zawdzięcza Orestesowi, mściciel pojawia się dopiero w czwartej części widowiska. Najpierw poznamy Ajgistosa (Cezary Kosiński), kilkakrotnie obiegającego piramidę jak czujny strażnik. Potem jako wierny wykonawca woli Klitajmestry, mający także swoje porachunki z Agamemnonem, schodzi z pierwszego planu. Wreszcie przybywa Agamemnon (Robert Czerwiński), morderca-ofiara. Na szczycie piramidy rysuje się zwalista postać ponurego zwycięzcy w czarnym garniturze. Powoli schodzi ze schodów, aż rozbrzmiewa echo tej przyciężkiej wędrówki, podczas której widać, że bierze w posiadanie swoje królestwo.

Piramida znowu obraca się niczym młyny sprawiedliwości. Te obroty poprzedzają przybycie Orestesa – bliźniaczo podobnego do ojca (rolę Agamemnona i Orestesa gra ten sam aktor). Wprawdzie Orestes nie był świadkiem zbrodni ojca i matki, zbyt wówczas młody i niewinny, ale teraz to on musi dokonać pomsty. Nie będzie mu łatwo, choć matka wie, że zemsta jest nieuchronna, i nawet mu ją ułatwia, ale Orestes poddaje się losowi z wielkim wysiłkiem.

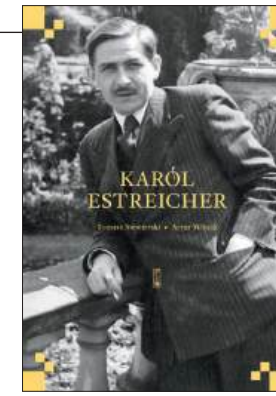
W zapowiedziach przed premierą Perceval akcentował, że interesuje go nie tyle dawna opowieść z mitycznej Grecji, ile to, co kieruje bohaterami, że dąży do pokazania na scenie człowieka, jego rozterek, dramatów, walki, takich samych przed wiekami i teraz. Chce tę opowieść zbliżyć do współczesnego człowieka. Paradoksalnie jednak, budując monumentalną przestrzeń sceniczną, oddala bohaterów od widzów: stają się mniej widoczni na schodach historii, a czasem również mniej słyszalni – zwłaszcza walka poniżonych kobiet o możliwość wygłoszenia skarg bywa trudna do przekazania. Kto wie jednak, czy ta monumentalizacja, pewna hieratyczność gestu i czynu, zmieszana z ekstremalnymi reakcjami, nie staje się sojusznikiem reżysera, nie przybliża mimo wszystko postaci widzowi.

Ostatecznie po wielkich nawet przedstawieniach pozostają w pamięci poszczególne obrazy, znaczące chwile, czasem kosztem całości. Z wielkiego spektaklu „Orestei" Petera Steina (trwał pięć godzin) sprzed ponad 40 lat pamiętam przede wszystkim ten moment, kiedy po zamordowaniu Agamemnona opadała na całą wysokość sceny (a ściślej holu Teatru Wielkiego w Warszawie), czerwona szarfa. Jej krwistość działała jak rażenie piorunem. Ze spektaklu Percevala w pamięci zostaną mi „spacer" Agamemnona po schodach i wysiłki Chorusa pchającego piramidę – koło historii. I pytanie: kto ten kołowrót zatrzyma?

„Oresteja" na motywach trylogii Ajschylosa, scenariusz i reżyseria Luk Perceval, przekład Tadeusz Sławek, Teatr Narodowy w Warszawie, premiera 10 października 2026

KSIĄŻKA

Ostatni z Estreicherów



Tomasz Siewierski, Artur Wójcik, *Karol Estreicher*, PIW, Warszawa 2026

Prof. Karol Estreicher Młodszy, potomek wielkiego krakowskiego rodu – twórców „Bibliografii Polskiej", współpracownik gen. Sikorskiego, po wojnie mógł zostać na Zachodzie, ale uważał, że jego miejsce jest w Polsce. Nie był entuzjastą powojennej władzy, ale jako jej przedstawiciel rewindykował zrabowane przez Niemców skarby kultury polskiej, z ołtarzem mariackim Wita Stwosza włącznie. Zapobiegł też przekazaniu Watykanowi „Damy z łasiczką". W następnych dziesięcioleciach wykorzystywał przedwojenną znajomość z Józefem Cyrankiewiczem do planowania przebudowy Collegium Maius z przeznaczeniem na Muzeum UJ.

Biografia trzeciego Estreichera, wartko, miejscami wręcz sensacyjnie napisana, nie ogranicza się do zawodowej, naukowej działalności. Pokazuje, że charakterologicznie nie bardzo pasował do nobliwej, profesorskiej rodziny z 200-letnią historią w Krakowie. Więcej, lektura pozwala spojrzeć inaczej na dystyngowany, profesorski krakówek – niewolny od plotek, donosów, zazdrości, wręcz zawiści.

Karol Młodszy nie miał potomków, na nim więc skończyła się familia Estreicherów, ale ich dorobek, wkład w kulturę i naukę polską jest ponadczasowy. Biografię ostatniego z tego rodu powinien przeczytać każdy, kto chce poznać choćby dzieje wywozu i odzyskiwania narodowych skarbów, również ci, którzy „wyklętych" stawiają na piedestale. Lektura daje jednoznaczną odpowiedź, kto bardziej przysłużył się Polsce: Karol Estreicher Młodszy czy „leśni".

Paweł Dybicz

eprasa.pl 818f3ad50a

CHODZENIE ZASPOKAJA CIEKAWOŚĆ

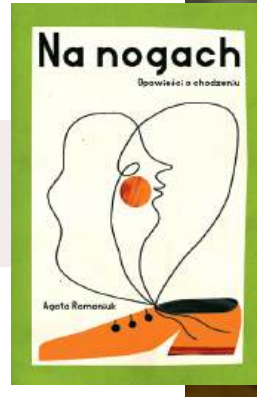
Nogi zwykle nie są bohaterkami pierwszego planu, w odróżnieniu od twarzy czy umysłu

Rozmawia Grzegorz Przepiórka



Zwykle z punktu A do punktu B, bez zbędnej zwłoki i w określonym celu. Tak chodzimy na co dzień, o ile nie wybierzemy przemieszczania się autem. Z twojej najnowszej książki wyłania się jednak zupełnie inna propozycja chodzenia – powoli, uważnie, nieliniowo. Czy dziś stać nas na taki luksus?

– Żeby móc sobie pozwolić na takie chodzenie, trzeba oczywiście mieć zapewniony byt i możliwość odpoczynku. Jeśli ktoś jest górnikiem i wraca po dziesięciogodzinnej szychcie, trudno mu powiedzieć: „A teraz idź się jeszcze powałęsać po Nikiszowcu". Ale nie jest to też zero-jedynkowe. Myślę, że na takie małe chodzenie stać każdego z nas. Mój mąż jest stolarzem, a jednak po odpoczynku czasem wychodzimy razem na spacer, który nie ma żadnego utylitarnego celu. Ważne jest dla mnie, żebyśmy szli ramię w ramię, potrzymali się za rękę i po prostu wspólnie doświadczali tego, co jest wokół – wiatru, światła, zachodu słońca. Nie musi to być dwugodzinny spacer, czasem wystarczy pół godziny, a nawet 10 minut.



AGATA ROMANIUK
– pisarka, reportażystka,
autorka książki „Na nogach"

Spacer z drugą osobą ma uzasadnienie więziotwórcze, ale w twojej książce jest bardzo wiele przykładów samotnego chodzenia i ono też nie musi być usankcjonowane celem, a i tak ma sens.

– Kiedy chodzisz sam, masz czas, żeby coś przemyśleć, przeprowadzić w głowie jakąś rozmowę, nawet z kimś, kogo już nie ma. Ja rozmawiam wtedy z moim zmarłym bratem – opowiadam mu różne rzeczy, tłumaczę się, radzę. Można też w ten sposób przećwiczyć trudną rozmowę, która nas

FOT. ŁUKASZ SOKÓŁ/GRUPA WYDAWNICZA FILIA

eprasa.pl 818f3ad50a

czeka. W takim samotnym chodzeniu ważne jest i to, że – jak mówi Adam Wajrak – „zawsze się coś zdarza". Zawsze może się wyłonić jakieś znaczenie. Kiedy szłam tutaj do ciebie, zobaczyłam na przystanku parę, która całowała się chyba po raz pierwszy. Byli tak pochłonięci sobą, że w ogóle nie widzieli świata. Nie jest z nami jeszcze tak źle, dopóki ludzie całują się na przystankach autobusowych. I pomyślałam, że to jest piękne, że zostałam tym widokiem jakoś obdarowana. Gdybym się śpieszyła albo patrzyła w telefon, pewnie w ogóle bym tego nie zauważyła.

Cyfryzacja przenosi nas w różne wirtualne chmury. Czy zatem chodzenie nas uziemia? I jaki z tego właściwie pożytek?

– Powiedziałabym, że chodzenie nas ucieleśnia i sprawia, że jesteśmy bardziej tu i teraz. Kiedy idziesz, musisz uważać, żeby się nie potknąć, ominąć dziurę, kontrolować swoje ciało i reagować na to, co się dzieje wokół. Masz przy tym bardzo dużą sprawczość, bo to ty decydujesz, czy pójdziesz w prawo, czy w lewo. Żaden algorytm za ciebie tego nie wybiera.

W świecie cyfrowym ta sprawczość jest często pozorna – idziemy tam, gdzie popchnie nas algorytm, oglądamy to, co nam podsunie. Dlatego chodzenie jest dla mnie trochę aktem rebelii, odzyskaniem władzy i takiej bardzo prostej, analogowej wolności. W cyfrowym świecie to nierówna bitwa i trudno ją wygrać. Ale zawsze możesz to wszystko wyłączyć i wyjść.

I jeszcze jedno: nikt nie może chodzić za ciebie. Ktoś może za ciebie pójść do apteki czy zrobić zakupy, ale tego fizycznego doświadczenia – zmęczenia, spocenia się, zmoczenia stóp – nikt za ciebie nie przeżyje.

A jeśli ktoś nie jest w stanie albo nie znosi chodzić, to jak może odzyskać analogową wolność?

– Można szukać tej analogowości także gdzie indziej – np. w prostych czynnościach wykonywanych rękami. Dziś bardzo często sprowadza się to do scrollowania kciukiem, a znacznie mniej wyplatamy, ugniatamy, zawijamy, piszemy ręcznie czy lepimy z plasteliny. A przecież są badania pokazujące, że to, co robimy rękami, ma znaczenie dla pracy naszego mózgu i tego, jak radzimy sobie z napięciem czy lękiem.

Dlatego warto po prostu coś robić rękami. Nie musi to być nic szczególnego ani artystycznego: można skrobać marchewkę, pastować buty, oddzielać makaron od groszku, lepić kluski, kolorować. W różnego rodzaju terapiach też wykorzystuje się takie czynności manualne, bo pomagają skupić uwagę i uspokoić głowę. Z chodzeniem jest podobnie: kiedy jesteś zdenerwowany i zaczynasz iść, stopniowo wytracasz napięcie, które masz w ciele i w głowie.

Chodzenie jest przede wszystkim rozprężeniem od tego, do czego zmusza nas współczesny tryb życia.

Trzeba się zmęczyć, spocić, a może nawet, jak wspomniałaś, zmoczyć stopy – dla niektórych może nie brzmieć to zachęcająco, ale jeśli pod fizyczne zmęczenie podstawimy słowo zdrowie, już jest szansa, że znajdziemy wspólny język.

– Oczywiście, bo chodzenie działa na nas właściwie ogólnosystemowo. Jest dobre dla stawów, układu krążenia, pozwala nam przebywać w naturalnym świetle. Jest też dobre dla wzroku. Dzisiaj bardzo dużo patrzymy w ekran albo w niewielką przestrzeń przed sobą, a kiedy idziemy, oko cały czas musi pracować – coś jest blisko, coś daleko, patrzysz na drzewo, potem na przejście dla pieszych. Ćwiczymy w ten sposób akomodację.

Ale powiedziałabym, że chodzenie jest przede wszystkim takim rozprężeniem od tego, do czego zmusza nas współczesny tryb życia. Nagle dostajesz zupełnie inne bodźce: słyszysz wiatr, ptaki, widzisz zmieniające się światło, kolory liści. To wszystko nie jest sztucznie wytworzone przez człowieka, a nasz organizm po prostu dobrze na takie bodźce reaguje.

Do tego chodzenie zaspokaja ciekawość. Nie musisz od razu lecieć do egzotycznego kraju. Możesz wsiąść w tramwaj, pojechać do dzielnicy, w której nigdy nie byłeś, i zobaczyć, dokąd cię to zaprowadzi. W książce przywołuję m.in. Marcina Wichę, który był takim właśnie piechurem – chodził np. po warszawskim Kamionku. Ktoś może pomyśleć: Kamionek, co tam właściwie jest ciekawego? A potem zaczynasz chodzić, przyglądać się i okazuje się, że jest tam cały świat.

Skoro już Kamionek i Warszawa, to co, jeśli kogoś kompletnie nie interesuje wspomniana okolica, stolica, na dodatek ma dość jeżdżenia tramwajem, bo robi to regularnie? Jak wtedy ruszyć z miejsca?

– Przede wszystkim nie stawiaj sobie od razu zbyt ambitnych celów. W książce opisuję chodzenie po puszczy z Adamem Wajrakiem i to właśnie on mówi: najpierw podejdź 10 m do płotu, ale rób to codziennie i patrz, co się zmieniło. Nie trzeba od razu narzucać sobie wielkiego wyzwania. Można też znaleźć innych ludzi. Mateusz Kusznierewicz stworzył Power Walk – w wielu miastach, w określonym miejscu i czasie, spotykają się ludzie, którzy po prostu chcą razem pochodzić. Możesz przyjść i do nich dołączyć. To bardzo pomaga osobom, które same nie chcą albo trochę boją się ruszyć. Czasem pierwszy krok najłatwiej zrobić właśnie z kimś.

A jak uczynić chodzenie doświadczeniem niezwykłym?

– Możesz pomyśleć o czymś, co zawsze chciałeś zrobić, ale nigdy nie było na to czasu. Chcesz pójść do Muzeum Neonów? Sprawdź, ile masz tam kilometrów, i przejdź tę trasę. Chcesz znaleźć najlepsze rurki z kremem w mieście? Zrób sobie szlak po rurkach. Jan Mencwel w „Przygodowniku warszawskim" proponuje takie nieoczywiste wyprawy po Warszawie – wzdłuż skarpy, tropem Syrenek. Ale to może być naprawdę dowolna rzecz.

Lonely Planet wydało kiedyś przewodnik antypodróżowania z pomysłami na to, jak poczuć się podróżnikiem bez wyjeżdżania z własnego miasta. Pamiętam stamtąd takie

eprasa.pl 818f3ad50a

zupełnie absurdalne zadania: odwiedzać urzędy i w każdym szukać pokoju nr 106 albo wypatrywać pomników, na których ktoś ma nakrycie głowy. Możesz wymyślić sobie własną regułę i według niej poznawać miejsce, które wydawało ci się doskonale znane. I oczywiście to ma być ciekawe przede wszystkim dla ciebie. Kiedy komuś opowiesz, że szukasz pokoju 106 w każdym urzędzie, może zapytać: ale po co? No właśnie – nieważne. Potem się w to wkręcasz i nagle ze zwykłego chodzenia robi się mała przygoda.

Bywa jednak, że punkt wyjścia ma znacznie większy ciężar niż mała przygoda, a chodzenie staje się próbą poradzenia sobie z tym ciężarem. Po śmierci twojego brata znajoma z Ameryki namawiała cię do biegania. Ty zaczęłaś chodzić. Pamiętasz moment, w którym zaczęłaś chodzić inaczej?

– Oby tylko nie trzeba było czekać, aż do chodzenia zmotywuje nas jakaś trauma. Bardzo dużo czytelników mówi mi: umarł mi mąż, ktoś mnie rzucił, straciłam pracę – i wtedy zaczęłam chodzić. U mnie to był bardzo konkretny moment – 15 sierpnia 2021 r. Przyjaciółka z Ameryki powiedziała mi, że powinnam to „wybiegać": wstać rano, narzucić sobie reżim, codziennie przebiec 5 km. Pomyślałam: nie, ja po prostu zacznę chodzić. Pamiętam, że siedziałam wtedy na Wzgórzu Zamkowym w Cieszynie. Kiedy stamtąd ruszyłam, powiedziałam sobie: teraz będę patrzeć. Wcześniej w ogóle tak nie chodziłam. Zawsze szybko, dwa razy szybciej niż inni, z takim widzeniem tunelowym, nastawiona na cel. Nawet kiedy szłam z synem w góry, to było: dzisiaj robimy dwa schroniska, żółty szlak i dalej. A wtedy nagle zaczęłam zauważać rzeczy, których wcześniej nie widziałam, i odkrywać miejsca, do których przedtem nawet bym nie poszła, bo nie było po co.

To przełączenie nastąpiło właściwie od razu, ale żeby stało się nawykiem, potrzebowałam czasu. Przez trzy miesiące chodziłam codziennie, czasem dwa razy dziennie. Po 82 przechadzkach weszło mi to w krew. Dzisiaj już właściwie nie umiem chodzić inaczej – wszyscy narzekają, że się wlokę, bo ciągle gdzieś się zatrzymuję i czemuś przyglądam.

Twoje nogi zrobiły ponad milion kroków, poczynając od wspomnianego wzgórza, a kończąc na plaży w Jelitkowie. A co w tym czasie wydarzyło się w głowie? Jak zmieniało się twoje podejście do straty i do samej siebie?

– Po śmierci brata bardzo zmieniła mi się perspektywa. Drobne rzeczy przestały mieć taką wagę. Starzeję się? To dobrze, że mogę się starzeć. Mam zmarszczki? Fajnie, że mogę je mieć. Jestem mniej sprawna? Ale wciąż jestem. Mam takie poczucie: póki idę, to jestem.

Ta książka jest też o nim i dla niego. Krzyś był ode mnie 13 lat młodszy, więc najpierw uczył się przy mnie chodzić, a później bardzo dużo chodziliśmy razem – zabierałam go w góry, na różne wyprawy. Wiele bym dała, żeby móc jeszcze raz pójść z nim. Przypomina mi się tu Mikołaj Grynberg i jego zdanie, że zawał ma jedną zaletę: potem stajesz się „niewkurwialny". Po prostu przestajesz się przejmować drobiazgami – jak mówią Amerykanie: you don't sweat the small stuff.

> Kiedy chodzisz sam, masz czas, żeby coś przemyśleć, przeprowadzić w głowie jakąś rozmowę, nawet z kimś, kogo już nie ma.

Zmarszczki zaakceptowałaś. A trzeszczki, od których właściwie zaczyna się „Na nogach"? Co z nimi? Na razie operacji nie będzie, jak sygnalizujesz w książce.

– Trzeszczki nadal trzeszczą, więc uczę się z nimi żyć. I to też jest dla mnie proces akceptacji. Prawdopodobnie nie przejdę już Camino de Santiago, bo po 30 czy 50 km moje trzeszczki powiedziałyby: koniec. Ale właśnie uczę się, że można mniej, że nie trzeba do wszystkiego podchodzić zero-jedynkowo. Nie chodzę już na obcasach ani w butach z wąskimi noskami, chodzę mniej, ale częściej. Może nie wybieram już tak wysokich gór i trudnych szlaków, ale nadal chodzę. I to jest dla mnie również trochę o odpuszczaniu sobie i pogodzeniu się z tym, że nie wszystko muszę. Zresztą, kiedy widzę ludzi, którzy chodzą na pielgrzymki o kulach albo mimo znacznie większych ograniczeń, myślę sobie: co tam moje trzeszczki.

Wspomniałaś wcześniej o chodzeniu jako rodzaju rebelii wobec cyfrowego świata. Sama książka o chodzeniu też wydaje mi się trochę przewrotna w kraju, w którym przyrost liczby samochodów plasuje nas w europejskiej czołówce. Jak oceniasz zainteresowanie chodzeniem?

– Mam wrażenie, że jest naprawdę duże – i chyba większe, niż sama się spodziewałam. Na festiwalu w Wiśle prowadziłam spacer poświęcony właśnie chodzeniu i byłam przekonana, że nikt nie przyjdzie. W programie były przecież spacery o ptakach, architekturze, różne ciekawe rzeczy, a ja proponowałam ludziom przechadzkę o… chodzeniu. Tymczasem przyszły tłumy, chyba ok. 200 osób. Obserwowaliśmy, jak chodzą inni, jak chodzimy my sami, próbowaliśmy iść wolniej, mocniej, słabiej, dziwnym krokiem. Chodziło też o to, żeby bardziej się przyglądać, podchodzić bliżej do różnych miejsc, pochylać się albo zadzierać głowę. Teraz prowadzę kolejne takie spacery i widzę, że ludzie naprawdę mają na to ochotę.

Może dlatego, że próg wejścia jest bardzo niski. Chodzić właściwie każdy potrafi, nie trzeba mieć sprzętu ani specjalnego przygotowania. To jest proste, inkluzywne i bez spiny. Mówię zresztą uczestnikom, że to będzie spacer ani po coś, ani dokądś. Po prostu mamy mieć z niego przyjemność.

Żeby jednak to zainteresowanie nie kończyło się na festiwalu, na co dzień potrzebujemy miasta, które do chodzenia zachęca, a nie zniechęca. Jak wyglądałaby urbanistyka przyjazna piechurom? I co stoi na

eprasa.pl 818f3ad50a

przeszkodzie temu, żebyśmy mieli jej więcej?

– Czasem chodzi o naprawdę prozaiczne rzeczy. Potrzebujesz dobrego, równego chodnika, na którym nie będziesz się potykać, trochę zieleni i cienia, ale też miejsca, gdzie możesz po prostu usiąść, nie kupując kawy. I nawet ławkę trzeba zaprojektować z myślą o człowieku. Jeśli zrobisz ją z metalu i postawisz w pełnym słońcu, to podczas upału nikt na niej nie usiądzie. Są dwa zderzające się sposoby myślenia o mieście – amerykański i duński. W tym pierwszym liczy się przede wszystkim przepustowość: masz szybko i sprawnie przejść określony odcinek. W duńskim ważne jest, żeby szło ci się dobrze, żebyś mógł odpocząć w cieniu, minąć się z drugim człowiekiem albo iść z kimś za rękę. To dwa zupełnie różne sposoby myślenia o przestrzeni. My w Polsce wciąż nie jesteśmy do końca po tej duńskiej stronie mocy.

Problem w tym, że ciągi piesze często projektuje się przy okazji wytyczania drogi. Robią to drogowcy, a niekoniecznie urbaniści patrzący na przestrzeń z perspektywy człowieka, który będzie po niej chodził. Na to nakłada się presja, żeby było szybko, prosto i tanio. Jest też coś, co nazwałabym dyktatem brył: najpierw projektujemy budynek, parking czy drogę, a dopiero potem zastanawiamy się, gdzie w tym wszystkim zmieści się człowiek.

Ciągi piesze często projektuje się przy okazji wytyczania drogi. Robią to drogowcy, a nie urbaniści patrzący na przestrzeń z perspektywy człowieka.

Aby model duński w Polsce się ziścił, trzeba by przebudować całe połacie miast.

– Można też miasto odzyskiwać kawałek po kawałku – ulicę po ulicy, skwer po skwerze, tworzyć deptaki, przyjazne place przed szkołami, przejścia naziemne. I zadbać o to, żeby partery budynków nie były martwymi ścianami, ale żeby były tam księgarnie, kawiarnie, małe miejsca, które zatrzymują wzrok i dają pretekst, żeby zwolnić albo na chwilę przysiąść. Miasto powinno po prostu łagodnie schodzić do człowieka.

Zaczęliśmy od chodzenia jako luksusu. Tylko chyba okazuje się, że dziś luksusem stają się właśnie rzeczy najprostsze.

– Tak. Czas jest luksusem – czas na to, żeby się nie śpieszyć. Cisza jest luksusem, ciemność, czyste powietrze. Możliwość chodzenia i przestrzeń, w której można chodzić. Obecność drugiego człowieka. To przedziwne, prawda? Kiedyś luksusem były rzeczy skomplikowane, technologie, kruszce, a dzisiaj coraz częściej są nim rzeczy najprostsze. I chyba właśnie tego powinniśmy sobie wszyscy życzyć: prostych rzeczy. A potem trzeba po prostu zrobić pierwszy krok.

Grzegorz Przepiórka



eprasa.pl 818f3ad50a

tcn TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

AKT III głos

SEZON 2026/2027

Repertuar | Listopad 2026

05 CZW | 19:00 — **BIŁ SOBIE ANDRZEJ**
Twórcy: Furdyna, Gębska, Gołosz, Nowak, Tas, Zieliński — SALA 205 C

06 PT | 19:00 — **BIŁ SOBIE ANDRZEJ**
Twórcy: Furdyna, Gębska, Gołosz, Nowak, Tas, Zieliński — SALA 205 C

07 SB | 19:00 — **BIŁ SOBIE ANDRZEJ**
Twórcy: Furdyna, Gębska, Gołosz, Nowak, Tas, Zieliński — SALA 205 C

13 PT | 19:00 — **TO NIE JEST SPEKTAKL O TWOJEJ URODZIE**
reż. Marta Twardowska — SALA IM. JANA KRECZMARA

14 SB | 19:00 — **TO NIE JEST SPEKTAKL O TWOJEJ URODZIE**
reż. Marta Twardowska — SALA IM. JANA KRECZMARA



MIODOWA 22/24
STACJONARNA KASA TEATRU:
WTOREK–PIĄTEK: OD 17:30 DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU | SOBOTA: OD 15:00 DO 17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
NIEDZIELA: OD 17:30 DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU (WYŁĄCZNIE W DNI, W KTÓRYCH JEST GRANY SPEKTAKL)
MAILOWY LUB **TELEFONICZNY** KONTAKT Z KASĄ TEATRU: **662 155 960** **kasa@e-at.edu.pl:**
WTOREK–PIĄTEK: 11:00–19:00 | SOBOTA: 13:00–17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
NIEDZIELA: 13:00–17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

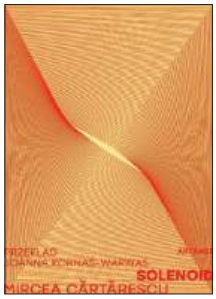
Patroni medialni: chilli zet, Przegląd

Partnerzy Teatru: biletomat PLG

eprasa.pl 818f3ad50a

MIĘDZY OKŁADKAMI

Mircea Cărtărescu
Solenoid
tłum. Joanna Kornaś-Warwas
ArtRage, Warszawa 2026



Cărtărescu pisze z rozmachem niemal kompulsywnym. „Solenoid" ma prawie 800 stron i momentami sprawia wrażenie literackiego organizmu, który sam decyduje, dokąd zmierza. Pojawiają się groteska, cielesność, obrzydzenie, erotyka, sny, obsesje, matematyka, religia i kosmologia. Nauczyciel i niedoszły pisarz, żyjący w komunistycznym Bukareszcie, porusza się po świecie, w którym zaciera się granica między snem a jawą, pamięcią a halucynacją. Wszystko zostaje ze wszystkim połączone, jakby autor chciał udowodnić, że rzeczywistość jest jedynie cienką warstwą przykrywającą znacznie większą tajemnicę. To zarazem największa siła i największa słabość tej powieści. Czasem zachwyca, czasem męczy własną nieokiełznaną wyobraźnią.

Rafał Pikuła

Wojciech Chmielarz
Wyższa konieczność
Marginesy, Warszawa 2026



Na tę chwilę czekali czytelnicy serii z Bezimiennym. Zapewne nie bez obaw. Nie, nie o jakość. Pod tym względem prawdopodobnie mają tak jak ja zaufanie do autora – wiedzą, że dostaną dobrze osadzoną w aktualnej problematyce, zaskakującą akcję i bohatera, który jest śmiertelnie niebezpieczny, skutecznie broni potrzebujących (tym razem to jego rodzina) i honorowo spłaca długi. Bardziej można było bać się tego, że ujawniając wreszcie jego przeszłość, Chmielarz wyraźnie zasygnalizuje koniec cyklu. A kto wtedy tak satysfakcjonująco rozprawiałby się z bandziorami, tłumacząc przy tym drobiazgowo, dlaczego nie powinni w ogóle do niego startować? Ale z przeszłości kogoś takiego da się jeszcze niejeden wątek wyciągnąć, a i gangster Czarny mógłby się upomnieć o przysługę za przysługę… Oby!

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ



Robert Bolesto, „Little", reżyseria Małgorzata Wdowik, Wrocławski Teatr Pantomimy im. H. Tomaszewskiego, premiera 20 marca 2026

Chłopacy

Po mrocznym spektaklu „Niepokój przychodzi o zmierzchu" Małgorzata Wdowik znów podejmuje wraz z artystami Wrocławskiego Teatru Pantomimy temat dorastania. I choć tym razem mamy do czynienia z portretem psychologicznym nastolatka dorastającego w latach 90. XX w. oraz (de)konstrukcją kulturowych modeli męskości, wcale nie jest mniej przerażająco.

Rozpisana na dwójkę aktorów postać Chłopaka (Mikołaj Ciapa i Jakub Pewiński) nosi w sobie całe to pogubienie, potrzebę bliskości, dojrzewanie płciowe i społeczne obarczone ryzykiem porażki. Pierwsze miłości, relacje rówieśnicze – wszystko to brzmi banalnie, tymczasem na scenie, opatrzone krótkimi tekstami (Robert Bolesto) inspirowanymi kinem i popkulturą („Fight Club", MTV itd.), tworzy sugestywną całość. Są w niej kostyczna Matka (Anna Nabiałkowska), nieobecny Ojciec (Jan Kochanowski), pierwsze dziewczyny, kumple i męskie bijatyki – szukanie akceptacji i łączności z własnym zmieniającym się ciałem, frustracja seksualna, wstyd i pokusa ucieczki w przemoc albo w autodestrukcję, wreszcie muzyka (kultowe Prodigy) jako przestrzeń wolności i buntu.

Transowa muzyka, efektowne światło (Aleksandr Prowaliński) oraz ekspresyjne aktorstwo budują interesujący, bo ponadczasowy, portret dojrzewania, rozpiętego między chęcią wpasowania się w oczekiwania, role i wzorce a rozpaczliwą chwilami próbą ocalenia siebie.

Michał Centkowski

NA POWAŻNIE



Matki Chersonia walczą

Spektakl operowy o perypetiach kobiet z ukraińskiego miasta, które organizują wyjazd na Krym, aby odzyskać odebrane podstępem dzieci. Historia taka zdarzyła się naprawdę, na scenie pokazano bardzo realistycznie dramat i wahania matek, gotowych nawet zrezygnować z przynależności narodowej za cenę zwrotu pociech. Przeważa jednak pogląd, że trzeba walczyć o swoje prawa. Całą historię spaja muzycznie kołysanka, którą śpiewały dzieciom do snu. W przedstawieniu występują znakomici polscy artyści, a opera zostanie też zaprezentowana w Nowym Jorku.

Bronisław Tumiłowicz

Maxim Kolomiiets, „Matki Chersonia", libretto George Brant, reżyseria Barbara Wysocka, dyrygentka Keri-Lynn Wilson, Teatr Wielki-Opera Narodowa, prapremiera 16 października 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. NATALIA KABANOW, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 818f3ad50a

Tęsknota za lagą

Kluby wciąż w rolach Świętych Mikołajów

Wojciech Kuczok

Po kolejnych konfrontacjach naszych klubów z europejskimi rywalami ze średniej półki mam już pewność, że najbardziej niedocenionym i pokrzywdzonym szkoleniowcem ostatniej dekady jest Czesław Michniewicz. Jego strategia meczowa była prosta jak obsługa cepa, ale jako jedyna sprawdzała się zarówno w prowadzonych przez niego klubach, jak i w reprezentacji Polski – chodziło o sławetną „lagę", którą po pamiętnym triumfie Polski nad Arabią Saudyjską, naszym jedynym mundialowym zwycięstwie w Katarze, nazwałem „lagą mistrzów".

Michniewicz był pragmatystą, rzeźbił z tego, co ma, a nie z materii urojonej. Wiedział zatem doskonale, że w Polsce nie ma zawodników zdolnych do bezpiecznego wyprowadzania piłki z własnego pola karnego przez kolejne formacje, że to jest już program studiów wyższych, tymczasem wszyscy, którzy choć dociągnęli do piłkarskiej matury, z Polski uciekają do bogatszych lig.

Owóż, zamiast uczyć języka futbolowego dla zawansowanych, skupił się na podstawach, dzięki czemu jego drużyny grały piłkę toporną, ale efektywną – ryzyko sprezentowania gola rywalom przez niedojdy próbujące ją rozgrywać między sobą we własnym polu karnym zostało tym samym zniwelowane – jego bramkarze wykopywali piłę z całych sił, tak, by ta od razu znalazła się w okolicach pola karnego rywali. Piłka najczęściej w ten sposób była tracona, za to teren został zdobyty, a niebezpieczeństwo oddalone.

Doktryna trenerska Michniewicza nie zakładała ataków zaczepnych, była wybitnie obronna, albowiem ten nie w ciemię bity szkoleniowiec wiedział, że dostępni nad Wisłą piłkarze nadają się raczej do psucia akcji niż ich konstruowania – wolał więc, żeby psuli cudze niż własne. Dzięki tej taktyce udało mu się jako jedynemu w ostatnim 40-leciu wyjść z reprezentacją Polski z grupy na mistrzostwach świata, z młodzieżówką ograć Portugalię w drodze na mistrzostwa Europy, na juniorskim Euro pokonać Belgów i Włochów, a prowadzonej przez niego Legii ograć w pucharach Slavię Praga, Spartaka Moskwa czy Leicester City.



Patrik Wålemark z Lecha Poznań (w środku) oraz Kevin Danso z Sunderlandu (z lewej) walczą o piłkę podczas meczu pomiędzy Lechem Poznań a Sunderlandem. Poznań, 22 października 2026 r.

Naród jednak się obraził na takie stawianie sprawy, środowisko piłkarskie uznało, że brzydzi się tak zdobywanymi sukcesami, Michniewicz został uznany za zabójcę futbolowego romantyzmu i po zwolnieniu z funkcji selekcjonera nigdy już w Polsce roboty nie znalazł.

Mniej więcej od tej pory blady strach padł na wszystkich trenerów zatrudnionych między Bugiem i Odrą – koniec z lagą, musimy grać piłkę nowoczesną, będziemy rozgrywać od tyłu! Efekty są niezmiennie katastrofalne. Nigdy nie były tak jaskrawo widoczne, jak tej jesieni.

Lech i Jagiellonia, zmuszane przez trenerów do wyprowadzania piłki poprzez kolejne formacje, narażają się pod wysokim pressingiem rywali na fatalne straty i regularnie trwonią gole po stracie piłki w okolicach własnego pola karnego. W każdym meczu przytrafia się im po kilka niewymuszonych, samobójczych w skutkach błędów, które przez rywali na poziomie Ligi Europy są z zimną krwią karcone. Gdyby nieporadność obrońców miała wartość energetyczną, moglibyśmy nią zasilać elektrownie atomowe. Każdy mecz zaczynamy od szybkiej straty gola, nawet jedyną wygraną tej jesieni bitwę w Lidze Europy Jagiellonia zaczęła od utraty bramki – jedynej zresztą, jaką dotąd zdobył ormiański Ararat, zdecydowanie najsłabsza drużyna w stawce 36 zespołów.

A może to przygotowanie mentalne w naszych klubach szwankuje? Czy nadal jest to chałupnicza, przeciwskuteczna psychologia spod hasła „Nie bójcie się ich, to tacy sami

FOT. PIOTR HAWALEJ/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 818f3ad50a

ludzie jak wy”? Piłkarze nagle zastanawiają się, dlaczego właściwie mieliby się bać, wcześniej może nie brali tego pod uwagę, ale skoro ogłoszono alert, coś musi być na rzeczy – kiedy jadę metrem i słyszę nagle komunikat „Prosimy o zachowanie spokoju”, czegokolwiek by on dotyczył, o spokoju mowy już być nie może. Wiadomo, że coś złego się wydarzy, to działa jak ponura muzyka w horrorze, kiedy widz już wie, że musi być gotowy na jump scare i nawet jeśli go nie doczeka, wszystko go przeraża.

Doktryna trenerska Michniewicza była wybitnie obronna. Wiedział, że dostępni nad Wisłą piłkarze nadają się raczej do psucia akcji niż ich konstruowania.

Owóż, zamiast ładować lagę przez całe boisko i liczyć, że coś się ugra „na aferę”, nasi piłkarze uprawiają we własnym polu karnym futbol paniczny, bo taki jest teraz trend.

Lech podjął Sunderland z tradycyjną gościnnością i już po niespełna dwóch minutach przegrywał po skrajnie pokracznej próbie rozegrania piłki między bramkarzem i obrońcą. Golkiper Lis niemrawo podawał do obrońcy Gurgula, ale lisem pola karnego okazał się napastnik rywali, który mrawo piłkę przejął. Potem tylko szczęściu Lechici zawdzięczali fakt, że Anglicy wyniku nie podwyższyli – obijali słupek albo golkipera.

W szatni trener Brytyjczyków najpewniej oznajmił, że nie ma sensu się szarpać, w weekend czeka ich starcie w lidze, w której lekko nie mają, a skoro Lech z dziewięciu dotąd straconych bramek w Lidze Europy większość zmajstrował sobie sam, piłkarze Sunderlandu postanowili cierpliwie zaczekać na kolejny prezent. Nie doczekali się – Lechitów należy pochwalić, bo zaczęli grać w piłkę, w ofensywie wyglądali całkiem poradnie, sytuacje stwarzali, na wyrównanie w pełni zasłużyli. Po kapitalnym, plasowanym półwoleju szwedzkiego pomocnika Leo Bengtssona udało im się wywalczyć remis. Zanim tym wynikiem się zachłyśniemy, należy mieć świadomość, że Lech Poznań to aktualny mistrz Polski i współlider Ekstraklasy (ma o jeden mecz rozegrany mniej od prowadzącego Górnika Zabrze), natomiast Sunderland jest obecnie najsłabszą drużyną Premier League, zamykającą tabelę po siedmiu kolejkach.

Szwedzi w Lechu nie zawiedli, pokazali się także Ishak, Wålemark i Berggren – za to Szwed zawalił po całości w Jagiellonii. W kategorii goli kompromitujących lub też najbardziej absurdalnych prezentów, jakie tej jesieni nasze kluby ofiarują swoim przeciwnikom, asysta Hampusa Finddella na razie ma murowane podium.

O ile jednak Lech w końcu się pozbierał, Jaga w meczu z Anderlechtem Bruksela pozostała żenująca do ostatniego gwizdka. Ligowy kryzys drużyny Adriana Siemieńca w końcu przełożył się też na występ pucharowy. Między Jagiellonią a belgijskim średniakiem, za jakiego należy obecnie uznać Anderlecht, była różnica kilku klas, przepaść bliźniacza do tej, która dzieliła możliwości Lecha od Bayeru Leverkusen.

W Jadze przez pierwsze pół godziny jedynym piłkarzem, który regularnie miał kontakt z piłką, był bramkarz Abramowicz. W drugiej odsłonie było niewiele lepiej, a najbardziej zajmującą akcją wieczoru z naszej strony była próba wymuszenia faula przez Ousmane Sowa. To potężny chłop, lekko popchnięty przez ostatniego obrońcę spokojnie utrzymałby się na nogach, gdyby jego celem było zdobycie gola, a nie sprokurowanie czerwonej kartki dla rywala.

Skoro sędzia nie pomógł nam, myśmy pomogli rywalom – kolejna niewymuszona strata przy wyprowadzaniu piłki zakończyła się drugim golem Belgów. Na deser przysolił nam 17-latek – fenomenalny Jayden Onia Seke zachował się przy trzeciej bramce po profesorsku, ze stoickim spokojem przymierzył idealnie przy słupku. Po kilku jego akcjach, po paru ruchach już można wyczuć przyszłego „pana piłkarza” – zapamiętajmy to nazwisko, bo z obecną klauzulą wykupu długo w Belgii nie pogra – to gwiazda przyszłości europejskiej piłki.

Jagiellonia mimo wszystko nie była sobą – dopiero z ławki podnieśli się jej weterani Romanczuk i Imaz, bez których reszta zespołu wydaje się bezradna i rachityczna jak ten memiczny chudzielec, pytany na komisji lekarskiej „Jaki jest pański rekord na 1000 m?” i odpowiadający „400 m”. A może piłkarzy dodatkowo sparaliżowała obecność na trybunach pierwszego kibola Rzeczypospolitej w asyście podchujaszczych z kancelarii prezydenckiej? Stadion zorganizował klakę powitalną, wiadomo – stolica Podlasia to miasto „białej siły”. Raz-dwa-trzy – kiedy Batyr patrzy – nogi same się plączą z wrażenia.

Nie ma kolejki, Ligi Europy, w której jeden z naszych klubów nie obrywałby wysoko. I raczej rychło zmiany nie doczekamy. Już w następnej serii Lech jedzie na Estádio da Luz, by zagrać z Benficą. Potem przyjdą jeszcze raczej nieuniknione bęcki na stadionie mistrza Belgii, Union-Saint Gilloise. Ale w trzech ostatnich meczach Lech będzie mógł powalczyć o zwycięstwo z Ferencvárosi, Torreense, a potem czeka go najpewniej decydujący bój na Krecie z OFI. O awans choćby z najniższego miejsca będzie piekielnie trudno, zważywszy na fatalny stosunek bramek 1:9 po trzech kolejkach.

A może piłkarzy sparaliżowała obecność na trybunach pierwszego kibola RP? Raz-dwa-trzy – kiedy Batyr patrzy – nogi same się plączą z wrażenia.

Na usprawiedliwienie trzeba zauważyć, że Lech miał fatalny terminarz – najsilniejsi rywale czekali już na starcie. Jaga niestety mocarzy dopiero napotka, a w obecnej formie zdziwiłbym się, gdyby do końca rozgrywek zdobyła więcej niż punkt. ■

eprasa.pl 818f3ad50a

Jacek Pałkiewicz



Szanghaj – najbardziej spektakularny dowód chińskiego sukcesu

Nie jestem człowiekiem wielkich metropolii. Z natury ciągnęło mnie zawsze raczej ku rzekom, dżunglom, pustyniom, ku przestrzeniom zmuszającym do mierzenia się z naturą, samotnością i własną słabością. Wielkie miasta często mnie męczą. Czuję się w nich, jakby ktoś odebrał światu horyzont, zastąpił go betonem, szkłem i reklamą, a potem kazał ludziom zachwycać się tym technologicznym triumfem. A jednak z Szanghajem stało się inaczej. To miasto, mimo całej swojej nieludzkiej skali, wciągnęło mnie bez reszty. Może dlatego, że widziałem je wiele razy, nie z perspektywy przypadkowego turysty, lecz jako ktoś, kto wracał tam regularnie, odwiedzając synów, obserwując zmiany z bliska, rok po roku, niemal warstwa po warstwie.

Szanghaj nie jest dla mnie pocztówką z Chin. Jest doświadczeniem. Miastem, które widziałem w ruchu, w gorączce, w szaleństwie budowy i ambicji. Kiedy po raz pierwszy patrzyłem na Pudong, po prawej stronie rzeki Huangpu, nie było tam jeszcze tego futurystycznego lasu wieżowców, który dziś stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych widoków współczesnego świata. Tam, gdzie wcześniej były pola ryżowe, skromne zabudowania i nabrzeża, wyrosło nowe centrum chińskiego kapitalizmu, szanghajski Manhattan, pokaz siły państwa, które postanowiło nadrobić stracone dziesięciolecia w tempie niewyobrażalnym dla Europy.

W dawnym tekście zapisałem, że Pudong działa jak „pulsujące serce chińskiego biznesu" i że trudno znaleźć gdzie indziej panoramę stali, betonu i szkła tak przytłaczającą swoją potęgą. Dzisiaj to zdanie wydaje mi się jeszcze bardziej aktualne.

Jeśli prawdą jest, że dzień zaczyna się na Wschodzie, to w Szanghaju można odnieść wrażenie, że tam zaczyna się również przyszłość. Nie ta wymarzona przez poetów, łagodna, humanistyczna i sprawiedliwa, lecz przyszłość technologiczna, bezsenna, szybka, bezlitosna, uwodząca i zarazem niepokojąca. W 2024 r. produkt krajowy brutto Szanghaju osiągnął ok. 5,39 bln juanów, czyli ponad 740 mld dol., a gospodarka miasta wzrosła o 5%. To już nie jest tylko wielkie chińskie miasto. To organizm gospodarczy porównywalny z państwami.

W Szanghaju najlepiej rozumie się, że Chiny nie awansowały na globalną scenę po cichu. One na nią wtargnęły. Z rozmachem, pewnością siebie i planem rozpisanym nie na kadencję parlamentu, ale na pokolenia. Tam, gdzie my w Europie przez lata dyskutujemy, konsultujemy, oprotestowujemy, poprawiamy, unieważniamy i zaczynamy od nowa, oni budują. Oczywiście cena tego tempa jest wysoka. Nie wolno jej przemilczać. Ale nie wolno też udawać, że rezultat nie robi wrażenia.

Szanghaj stał się jednym z najbardziej spektakularnych dowodów chińskiego sukcesu ekonomicznego. Port w Szanghaju od 15 lat utrzymuje pozycję największego portu kontenerowego świata, a w 2024 r. przeładował ponad 51,5 mln TEU (kontenerów), ustanawiając kolejny rekord. To nie jest sucha statystyka. To obraz współczesnej gospodarki: kontenery płynące do Europy, Ameryki, Afryki, Azji; towary, które za kilka tygodni znajdziemy w sklepach; części do samochodów, elektronika, ubrania, maszyny, zabawki, narzędzia, całe życie codzienne globalnej klasy średniej zamknięte w stalowych pudłach.

Kiedy patrzyłem z Bundu na drugą stronę rzeki, na Pudong, miałem wrażenie, że stoję na granicy dwóch epok. Za plecami kolonialny Szanghaj – fasady banków, dawnych klubów, domów handlowych, które pamiętają czasy brytyjskiej potęgi, wojen opiumowych, koncesji, europejskiej pychy i chińskiego upokorzenia. Przed oczami – wieże nowego świata: Oriental Pearl Tower, Jin Mao Tower, wreszcie Shanghai Tower, która z 632 m wysokości należy do najwyższych budynków świata. Dawniej cudzoziemcy przybywali do Chin po zysk i narzucali reguły. Dzisiaj Chiny

eprasa.pl 818f3ad50a



Awangardowa metropolia, która nadchodzi szybciej, niż zdążymy ją opisać.

Miasto wróciło do światowej elity, przestało być symbolem upokorzenia. Za ten triumf zapłaciło utratą ogromnej części starej tkanki miejskiej.

Wieżowce obok starych enklaw, wykwintne restauracje obok ulicznych kramów, galerie sztuki w miejscach dawnych palarni opium.





zapraszają cudzoziemców, ale reguły piszą już same.

Bund jest jednym z tych miejsc, gdzie historia nie daje się łatwo wygładzić. Można oczywiście fotografować fasady i zachwycać się elegancją art déco, ale pod tą elegancją kryje się pamięć przemocy ekonomicznej. Po wojnie opiumowej Chiny zostały zmuszone do podpisania traktatu nankińskiego, a Szanghaj stał się jednym z miast otwartych dla zachodniego handlu. Powstały koncesje, własne sądy, policja, administracja – obce państwa funkcjonowały tam jak w wydzielonych fragmentach własnego imperium. W latach 20. i 30. XX w. miasto było nazywane Królową Orientu, Perłą Wschodu, Paryżem Orientu, ale też Dziwką Azji. Te przydomki mówią wiele. Szanghaj był zachwytem i grzechem jednocześnie.

Dzisiaj tamta kolonialna elegancja stała się dekoracją dla nowej chińskiej potęgi. To jeden z paradoksów historii: budynki wzniesione kiedyś jako znaki obcej dominacji służą dziś za tło dla dumy kraju, który postanowił już nigdy więcej nie dać się upokorzyć. Chińczycy mają długą pamięć. Europejczycy często o tym zapominają. My lubimy patrzeć na Chiny przez pryzmat rynku, inwestycji, taniej produkcji albo rywalizacji politycznej. Oni patrzą również przez pryzmat stulecia upokorzeń. Szanghaj jest więc nie tylko miastem biznesu. Jest także monumentalną odpowiedzią na historię.

Mój prywatny Szanghaj nie składa się jednak wyłącznie z wieżowców i wielkiej polityki. Składa się również ze spotkań rodzinnych, kolacji z synami, rozmów przy stole, obserwowania młodych ludzi, którzy nie noszą w sobie kompleksu prowincji. Oni żyją w mieście, które uważa się za jedno z centrów świata. Szanghajczycy są inni niż mieszkańcy wielu pozostałych regionów Chin. Bardziej kosmopolityczni, bardziej obyci, czasem bardziej chłodni, ale i niezwykle dynamiczni. W ich sposobie poruszania się po mieście, robienia interesów, planowania kariery, używania technologii, zamawiania jedzenia, płacenia telefonem widać społeczeństwo, które dawno przekroczyło granicę tradycyjnej biedy i weszło w fazę wielkomiejskiej pewności siebie.

Nie znaczy to, że wszyscy stali się bogaci. To byłby fałsz. Szanghaj olśniewa, ale bywa również bezwzględny. W tym mieście awans społeczny jest możliwy, ale kosztuje dużo: kilkanaście godzin pracy dziennie, samotność, oddalenie od rodzinnych prowincji, życie w ciasnych mieszkaniach, presja konkurencji, nieustanne porównywanie się z innymi. W dawnym tekście opisywałem młodego człowieka, który przyjechał z prowincji i pracował te kilkanaście godzin dziennie, próbując odnaleźć swoją szansę w wielkim mieście. Tacy ludzie są prawdziwym paliwem Szanghaju. Nie tylko bankierzy, menedżerowie i architekci drapaczy chmur,

eprasa.pl 818f3ad50a

ale właśnie oni – migranci wewnętrzni, sprzedawcy, kucharze, kierowcy, kurierzy, pracownicy usług, ludzie, których pot i ambicja utrzymują tę metropolię w ruchu.

Szanghaj jest awangardową metropolią nie dlatego, że ma las wieżowców. Wysokie budynki mają dziś wszyscy, którzy dysponują pieniędzmi i ambicją. Jego awangardowość polega na tym, że jest laboratorium nowoczesnego życia miejskiego. Metro, które jeszcze niedawno było symbolem zapóźnienia, stało się jedną z największych sieci transportu miejskiego na świecie. W 2024 r. po otwarciu linii łączącej lotniska Pudong i Hongqiao długość szanghajskiej sieci transportu szynowego wzrosła do ok. 896 km. To już nie jest metro w klasycznym europejskim znaczeniu, lecz podziemny krwiobieg cywilizacji. Miasto codziennie połyka miliony ludzi i wypluwa ich w biurach, centrach handlowych, dzielnicach mieszkaniowych, na lotniskach i dworcach.

W szanghajskim metrze szczególnie mocno czułem, że nowoczesność potrafi znieść różnice społeczne przynajmniej na poziomie ruchu. Pod ziemią znikał chwilowo Bund, znikały salony, wieżowce, luksusowe butiki i kolonialna nostalgia. W wagonach stali obok siebie studenci, robotnicy, eleganckie kobiety z markowymi torebkami, cudzoziemcy, starzy ludzie z siatkami, młodzi zapatrzeni w ekrany. Chińska metropolia w swojej najbardziej praktycznej postaci: punktualna, zatłoczona, zdyscyplinowana, cyfrowa.

Ale Szanghaj to także miasto zmysłów. Wciąż pamiętam wieczory, gdy z wysokości baru patrzyłem na Bund i rzekę Huangpu, na statki sunące jak świetliste owady, na twarze cudzoziemców, którzy w tej metropolii czuli się trochę jak w dawnym porcie kolonialnym, a trochę jak w centrum świata przyszłości. W moim materiale notowałem obraz Baru Rouge, barmanki, neonów, biznesmenów, młodzieży mówiącej wieloma językami i legendarnego nabrzeża z budowlami art déco. To nie była tylko scena nocnego życia. To był kondensat Szanghaju: pieniądze, młodość, erotyczna energia miasta, pamięć kolonialna i ambicja, która nie zna zmęczenia.



W Szanghaju nowoczesność przyniosła wyzwolenie od biedy, ciasnoty, historycznej niższości.

Jednocześnie w tym samym mieście można zejść z eleganckiej ulicy w zaułek i nagle znaleźć się w świecie, który wydaje się ostatnim fragmentem dawnych Chin. Suszące się pranie, małe punkty gastronomiczne, warsztaty, krawcy, naprawiacze skuterów, ludzie jedzący na ulicy, starsi mieszkańcy grający w karty, zapach oleju, czosnku, wilgoci, ryb i spalin.

Współczesny kapitalizm chiński jest osobliwy. Nie jest liberalny w sensie zachodnim, bo państwo pozostaje wszechobecne. Nie jest też komunistyczny w dawnym znaczeniu, bo pieniądz, konsumpcja i prywatna ambicja stały się potężnymi motorami życia. To kapitalizm kierowany, nadzorowany, strategiczny, cierpliwie podporządkowany celom państwa. W Szanghaju widać go jak na dłoni. Prywatna energia milionów ludzi zostaje wprzęgnięta w państwową wizję. Jednostka może się bogacić, awansować, konsumować, podróżować, zakładać firmę, ale w ramach wielkiej maszyny, która wie, dokąd zmierza – albo przynajmniej sprawia takie wrażenie.

Dla Europejczyka jest to zarazem fascynujące i niepokojące. Fascynujące, bo skuteczne. Niepokojące, bo skuteczność nie jest jedyną miarą człowieczeństwa. Patrząc na Szanghaj, trzeba zachować podwójne widzenie. Nie wolno popadać ani w naiwny zachwyt nad chińskim cudem, ani w arogancką pogardę człowieka Zachodu, który uważa, że tylko jego droga jest moralnie uprawniona. Szanghaj jest sukcesem. I jest ostrzeżeniem. Uświadamia, co można osiągnąć, gdy państwo, kapitał, urbanistyka i technologia idą w jednym kierunku. Ale też pokazuje, jak łatwo w takim marszu zgubić po drodze pamięć, intymność, lokalność, czułość miasta.

Z polskiego punktu widzenia Szanghaj powinien być lekcją szczególnie ważną. My zbyt często myślimy o sobie kategoriami peryferii, kompleksu, wiecznego nadrabiania. Tymczasem Chiny w ciągu kilku dekad dokonały skoku, który nie polegał tylko na kopiowaniu Zachodu. Owszem, kopiowały wiele. Uczyły się brutalnie, szybko, bez sentymentów. Ale potem zaczęły przetwarzać, skalować, udoskonalać i w końcu wyprzedzać. Szanghaj jest dowodem, że peryferyjność nie musi być wyrokiem. Może być etapem, jeśli naród ma strategię, dyscyplinę i wolę awansu.

Dla mnie, człowieka drogi, Szanghaj jest paradoksem. Nie oferuje ciszy pustyni ani czystości wysokich gór. Nie ma bezpośredniości świata plemiennego ani surowej prostoty rzeki. A jednak fascynuje, bo jest inną formą żywiołu. Żywiołu urbanizacji, ambicji, pieniądza, technologii i ludzkiej energii. Jak Amazonia pokazuje potęgę natury, tak Szanghaj pokazuje potęgę cywilizacji, która uwierzyła, że może samą siebie zaprojektować od nowa.

Jacek Pałkiewicz – reporter, odkrywca źródła Amazonki, survivalowy guru, uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

eprasa.pl 818f3ad50a

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wybory półgłówkowe

W antykapitalistycznej dystopii Alejandra Gonzáleza Iñárritu rozsławionej rolą tytułowego Diggera, w której przez dwie godziny szarżuje Tom Cruise (sztucznie postarzony, czy raczej przywrócony zabiegami charakteryzacyjnymi do przeciętnego wyglądu swojego równolatka), pojawia się także postać prezydenta USA i jego świty nieomal żywcem przeniesiona z Białego/Pomarańczowego Domu.

Problem polega na tym, że trudno karykaturować to, co samo w sobie jest karykaturalne, ale naturalnie odchudzony John Goodman radzi sobie świetnie w roli idioty rządzącego Ameryką. Mnie szczególnie rozbawiła scena, w której rozeźlony i zniechęcony do głowienia się nad rozwiązaniem narastających problemów międzynarodowych żąda przyniesienia mu walizki atomowej, aby poprzez wciśnięcie czerwonego guziczka w końcu załatwić sprawę. Dopiero wtedy dowiaduje się, że ów guziczek to mit, a w nuklearnej teczce znajduje się przede wszystkim mnóstwo tekstów, na czele z 75-stronicową Black Book, zawierającą szczegółowe opcje atomowych ataków, z którymi POTUS musi się zapoznać. Na twarzy rozczarowanego i oburzonego zarazem prezydenta pojawiają się znamiona zaawansowanej bibliofobii.

Poczułem się bezpiecznie, bo mam przekonanie graniczące z pewnością, że strach przed lekturą może ocalić świat – w końcu Trump nie po to zostawał prezydentem światowego mocarstwa, żeby czytać. Maniakalny narcyz w postępującej demencji już dawno by nas wysadził w powietrze, gdyby nie świadomość, że ten oficer, który za nim łazi z ciężką torbą w ręku, nosi tam nie detonator, tylko jakieś cholerne książki, które trzeba będzie przeczytać, zanim się podpali świat.

Na niewiele ponad tydzień przed amerykańskimi midterms Donald Trump bije historyczne rekordy niskości poparcia prezydenckiego i wedle sondaży czeka republikanów w wyborach połówkowych spektakularna klęska. Zastanawiam się, czy dwór prezydencki debatuje ze swoim wodzem, jak tę kartę w ostatniej chwili odwrócić, czy też po prostu chroni szefa przed dostępem do złych wieści. Trump zresztą żadnej szczególnej ochrony w tej kwestii nie wymaga, bo i tak żyje w rzeczywistości alternatywnej – fakty nie mają w niej znaczenia. Dlatego np. ze spokojem ducha obwinia Wołodymyra Zełenskiego o apokaliptyczny wzrost cen paliwa na światowych rynkach, nie bacząc na to, że sam wywołał wojnę z Iranem i blokadę cieśniny Ormuz.

Okazuje się jednak, że nawet najbardziej odporni na fakty poganiacze bydła, najbardziej tępi spośród fanatycznych półgłówków, jakieś tam kropki łączyć zaczęli, kiedy im w portfelach zaziała pustka, bo oto i w samym Teksasie, betonowym zdawałoby się bastionie MAGA, demokraci mają spore szanse odbić mandat senatorski.

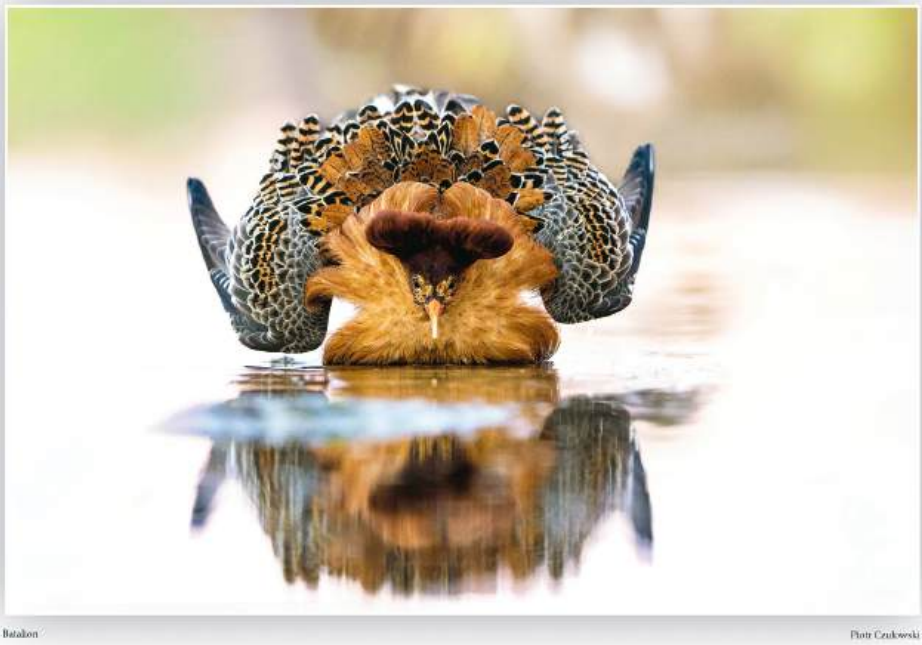
Narastają moje obawy o „wywrócenie stolika" w ostatniej chwili, bo dla Trumpa i jego akolitów władza jest kwestią egzystencjalną, a jej utrata lub choćby poważne ograniczenie w grę nie wchodzi. Oni wiedzą, że w polityce nie liczą się fakty, ważna jest narracja, w którą się je przyoblecze, bo masy kierują się emocjami – ale powinni także widzieć, że masy nie są emocjonalnie stabilne i droga od uwielbienia do dewaluacji bywa bardzo krótka.

Historia pełna jest przykładów gwałtownego zmierzchania bogów, których strącano z piedestału bezpardonowo, w dwójnasób odbijając brak pardonu zasiedziałych, narcystycznych tyranów. Teraz, kiedy Trump i Vance nasilili swoje lizusostwo wobec putinowskiej Rosji, odruch wymiotny na ich widok się, by tak rzec, zglobalizował. Ale nawet kino jednoznacznie antytrumpowskie wciąż nie zdołało uwierzyć w to, że najbardziej zidiociały i nieudolny prezydent Stanów Zjednoczonych może być ruską onucą – w „Diggerze" katastrofa, która grozi światu wskutek nieodpowiedzialnego fedrowania Grenlandii, przybiera postać gigantycznej, oderwanej od lądu góry lodowej dryfującej w stronę Europy. Wystarczy ochrzcić ją jako „Kremlińską", zwalić winę na Rosjan i zbombardować w imię boże, aby zbawić świat – takie przynajmniej przekonanie żywią imbecyle u władzy, których powołał do życia González Iñárritu.

Historia pełna jest przykładów gwałtownego zmierzchania bogów, których strącano z piedestału bezpardonowo.

W dzisiejszej rzeczywistości Trump wespół z Putinem nazwaliby megakrę „Kijowską" i spokojni czekali, aż się rozbije o północne brzegi Europy, a potem z radością spoglądali, jak Stary Kontynent ginie pod falami tsunami. ■

eprasa.pl 818f3ad50a



Batalion



Ptaki w obiektywie **Piotra Czułowskiego**

Za pojedynczym zdjęciem ptaka kryją się często godziny spędzone w ciszy, chłodzie, deszczu lub upale, w oczekiwaniu na pojawienie się skrzydlatego obiektu. Fotografia przyrodnicza Piotra Czułowskiego, olsztyńskiego przedsiębiorcy, zrodziła się z pasji obserwowania ptaków, z czasem stając się czymś więcej niż poszukiwaniem na Warmii i Mazurach, a potem w Polsce i na świecie efektownych obrazów. Aparat to dla autora jedynie narzędzie przyglądania się



Dudek



Żołny

eprasa.pl 818f3ad50a



Wilgi

przyrodzie – uważnego, bez ingerencji w naturę. Efektem jest wystawa „Czułowski. Ptaki”.

(mk)

Galeria Amfilada Miejskiego Ośrodka Kultury w Olsztynie
Kamienica Naujacka,
ul. Dąbrowszczaków 3
do 30 października





Kania czarna



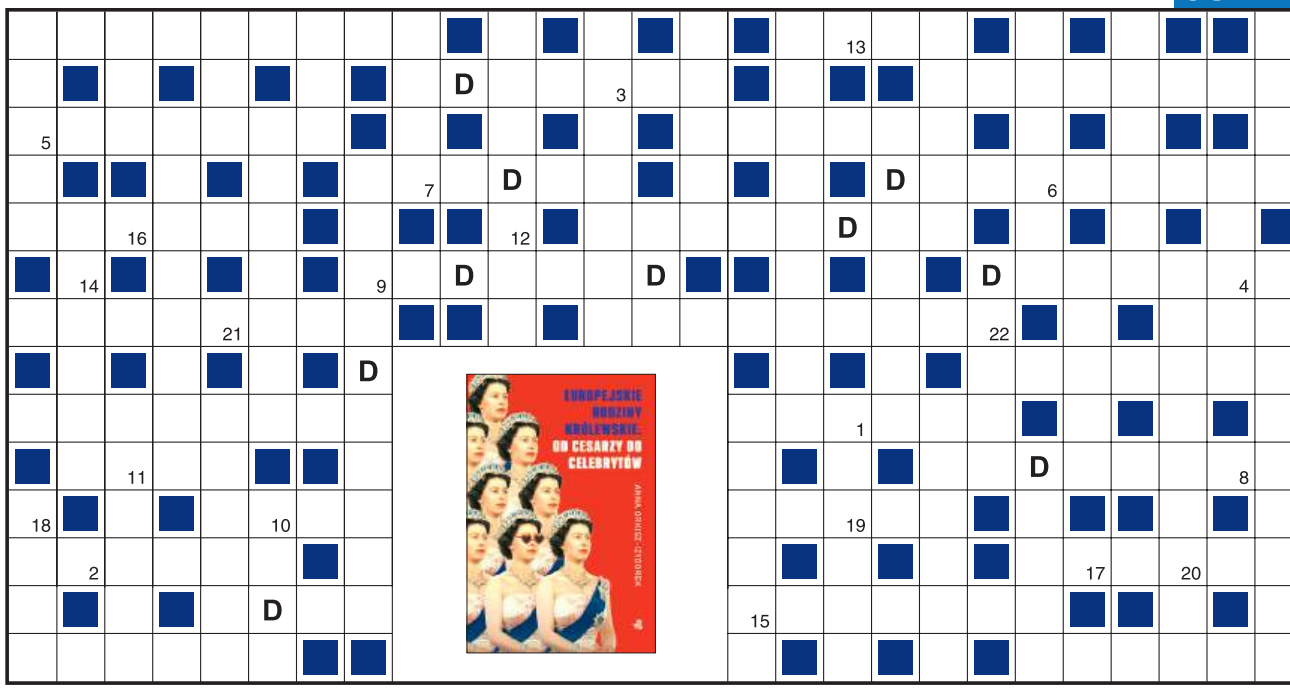
Czapla siwa i bocian czarny



Zimorodek

eprasa.pl 818f3ad50a

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- matka biblijnego Jubala, wynalazcy muzyki
- kwestionariusz z pytaniami
- pierwiastek w aminokwasach
- prowizoryczne budynki mieszkalne, socjalno-bytowe
- Józef, do II wojny kierował polityką zagraniczną
- wyższy stopień podoficerski w marynarce wojennej
- stoi w niej Marcin Bułka
- …zegarów odbyło się w weekend
- winien wszystkiemu rowerzysta
- głosowa, czyli dźwięcznik, lub goryczy
- rozwijająca się przy skoku część nośna spadochronu
- potrawa na stole
- niedobór, dziura budżetowa
- szczegół, drobiazg
- małpa człekokształtna z miocenu
- bogaty obywatel rzymski
- modlitwa o uświęcenie chleba i wina (z greki)
- nauka o moralności
- harcerski nóż
- ojciec Pantagruela
- myśl, koncepcja, pomysł
- o tej, co czymś głupim z równowagi wyprowadziła
- kosaciec
- niewielka rozpórka, trójkącik materiału
- przyprawa do kapusty albo chleba
- na list, kołdrę i łapówkę
- rządowy lub załamanie gospodarki
- srebro na choince
- klub piłkarski z Gdańska
- baaardzo wysokie czoło
- wisior z portrecikiem
- u Rowling ludzie bez zdolności magicznych
- inna nazwa lilii wodnej
- pętelki sieci
- polska państwowa agencja informacyjna w skrócie
- zestaw wyrobów papierniczych do korespondencji
- ostra marynata z ogórków
- poprzeczna belka pod szynami
- miasta, nadzorcza lub Ministrów
- „…litewska" Karłowicza
- kraj z Pretorią i Kapsztadem w skrócie
- pole po zżętym zbożu
- papierniczy, jubiler albo rybny
- nie czuje empatii, strachu ani troski
- o fachowcu, ekspercie
- kolejny etap nauki po liceum
- czasem na nich iskrzy
- żydowski modlitewny to tałes
- Radosław Zawrotniak lub Tomasz Motyka
- długi, zielony, ale nie strąk fasoli
- wyspa z Papeete
- włoski taniec kojarzący się z pająkiem
- zjawisko powstawania oporu hamującego ruch
- wypłacana etapowo część kredytu
- wymarły przodek bydła domowego
- Władysław Kozakiewicz lub Piotr Lisek
- decyzja sędziów, jurorów, komisji konkursowej
- ma się je do przyjaciela, partnera
- część pojazdu łagodząca skutki stłuczki
- skrzynia z paszą dla koni

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1297". Do rozlosowania książki „Europejskie rodziny królewskie" ufundowane przez Grupę Wydawniczą Foksal. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 listopada 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1294" z nr. 41: *Grzeczny ma wytrych do serca.* Nagrody otrzymują: Jerzy Ćwięk z Krakowa, Paweł Górniak z Poznania, Janina Pyra ze Stalowej Woli.

eprasa.pl 818f3ad50a

Nasz człowiek w Hadze

Najliczniejsza w MSZ jest frakcja zwolenników POPiS. Przynajmniej w tzw. gronie kierowniczym, które w latach drugiego panowania Sikorskiego rozrosło się gargantuicznie. Grono kierownicze to nie tylko „ścisłe kierownictwo" (samych sekretarzy stanu w MSZ jest trzech), lecz także dyrektorzy, ich zastępcy, kierownicy wydziałów, naczelnicy referatów. Będzie setka luda albo i więcej. I oni wszyscy wzdychają za dawno umarłym projektem, którym miał pokierować premier z Krakowa, dzisiaj robiący za polskiego Tołstoja.

Żadne wybory czy wartości polityczne nie stoją za tą tęsknotą, tu przemawia dobrze skalkulowany interes prywatny. Otóż wojna między prezydentem a premierem zablokowała nominacje ambasadorskie i w większości państw świata kierują naszymi placówkami dyplomaci w randze chargé d'affaires. A każdy naczelnik, kierownik czy dyrektor chciałby być ambasadorem, nadzwyczajnym i pełnomocnym. Frakcja POPiS naciskała więc w swoim czasie mocno na Sikorskiego, aby z Nawrockim się dogadał, podzielił z dużym pałacem placówkami i proces odblokował. Czyli np. rząd mianowałby 70 ambasadorów a Nawrocki – 20. To, że taki patchwork oznaczałby faktyczny dualizm i rozpad służby dyplomatycznej, zwolenników dealu nie niepokoiło. Najważniejsze, aby samemu wyjechać jako ambasador.

Dlatego frakcję POPiS w MSZ niektórzy nazywają „wsiokami" („Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna"), jako że stawia ona pokój swojej wsi na Szucha i własny awans ponad wszystko.

Frakcja POPiS, albo „wsioki", ma więc prosty cel – chodzi o to, żeby nie dopuścić do jakichkolwiek głębszych zmian w MSZ, do jakichkolwiek rozliczeń za bezeceństwa lat rządów PiS, a przede wszystkim nie dopuścić do utraty stanowisk i wpływów przez tych, którzy mieli je przez ostatnie kilkanaście lat. Dlatego urzędnicy, którzy za rządów PiS w czambuł potępiali „Berlin i Brukselę", „zgniły liberalizm" i „Tuska, sługusa Merkel", nie tylko mają się wyśmienicie, ale nawet awansują, zajmują kierownicze stanowiska i wyjeżdżają na placówki.

O kilku pisaliśmy, ale dodajmy do tej grupy jeszcze jednego. Jest sobie w naszej ambasadzie w Hadze, w Królestwie Niderlandów, radca-minister Paweł Baka. Baka w centrali awansował, awansował, aż w ostatnich latach rządów PiS został szefem kadr. To on, wspólnie z szefem służby zagranicznej Arkadym Rzegockim, przeprowadzał czystki i zwolnienia grupowe w MSZ. Rzegocki kierował, Baka wykonywał.

Po zmianie rządów w 2023 r. Baka schronił się na jakimś kierowniczym stanowisku w Ministerstwie Sportu i Turystyki. Dobrze mu się tam wiodło, ale Sławomir Nitras, który kierował tym ministerstwem, prowadził też kampanię wyborczą Trzaskowskiego. Przerżnął ją – i zapłacił za to stanowiskiem ministra. A jego następca dla pisowców nie był już tak łaskawy. Baka uderzył więc do znajomych w MSZ i z nominacji ówczesnego szefa służby zagranicznej Rafała Wiśniewskiego wyjechał na placówkę do Holandii.

Rozumiecie teraz, dlaczego koalicja Tuska nie potrafi przeprowadzić żadnych rozliczeń?

Spotykają się dwaj koledzy z MSZ. Jeden – już emeryt, drugi – jeszcze w służbie. – Co tam na Szucha? – pyta emeryt. I słyszy w odpowiedzi: – Jest, jak było. Tylko trochę gorzej.

Attaché



Rozlewanie świeżej oliwy z oliwek z tłoczni we wsi Turmusajja na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu. 20 października 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 818f3ad50a







PENETRACJE

OLGA TOKARCZUK,
PISARKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Mam wyraźną skłonność do popadania w kłopoty, jeśli chodzi o sformułowania czy słowa, które prowokują reakcje nieproporcjonalne do wagi czy celu wypowiedzi. (…) Nie bójmy się słowa „głupota”. Zdefiniowałabym głupotę jako brak nawyku sięgania do wiarygodnej informacji i skłonność do wysnuwania pochopnych wniosków z niewystarczającej liczby danych, lub korzystanie z danych fragmentarycznych, wyrwanych z kontekstu. To odrzucanie racjonalności na rzecz sądów afektywnych. Internet, serwując ogromne ilości fałszywych, niesprawdzonych lub jawnie kłamliwych informacji, spowodował, że mamy epidemię głupoty. A ta, niestety, bywa niebezpieczna, bo często jest punktem wyjścia dla całkiem rzeczywistej przemocy.

MAGDALENA SROKA,
PRZEWODNICZĄCA KOMISJI ŚLEDCZEJ DO SPRAW PEGASUSA

TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

Pegasus był wykorzystywany do inwigilacji ludzi niewygodnych – polityków, samorządowców, prokuratorów, sędziów i wielu innych osób. Wszystkich tych, którzy głośno sprzeciwiali się i krytykowali ówczesną władzę. To system, który pozwalał przejąć całe życie ofiary. Można było odczytywać SMS-y, słuchać prywatnych rozmów, zapoznawać się z treścią e-maili, mieć dostęp do wszystkich zapisanych haseł. Umożliwiał ponadto włączanie kamery i mikrofonu właściwie w dowolnym momencie. Na przykład kiedy byliśmy w sypialni, w konfesjonale w kościele czy w domowej łazience. W każdej chwili mógł być prowadzony nasłuch.

KINGA DĘBSKA,
REŻYSERKA, PISARKA

PANI

Wierzę, że kino ma znaczenie. Szczególnie teraz, gdy w Polsce i na świecie kończy się pewna epoka demokracji i dobrobytu. Już nie wystarczy opowiadać o uczuciach, kino może stać się głosem, który poruszy ludzi, coś zmieni. Nie wiem, czy dużo mogę zmienić swoimi filmami, ale będę próbować. Jak powiedział w swoim słynnym przemówieniu Marian Turski: „Jedenaste przykazanie. Nie bądź obojętny”.

KAROLINA GRUSZKA,
AKTORKA

VIVA!

Przed otrzymaniem propozycji czytałam „Lalkę” dwa razy. I muszę przyznać, że wtedy Florentyna jakoś się specjalnie w mojej pamięci nie zapisała. Nie jest postacią, wokół której toczą się wielkie wydarzenia. Pomyślałam jednak, że to może być wielkie wyzwanie. To jest dla mnie taka postać, która mówi o tęsknocie, poczuciu niespełnienia, straconej szansy i niezrealizowanego potencjału. Ja ją polubiłam i dostrzegam w niej jakąś głębię. (…) Mieliśmy konsultacje z zasad XIX-wiecznego savoir-vivre’u. Żeby wiedzieć, na co szczególnie zwrócić uwagę. Na planie była nawet moja pani profesor z Akademii Teatralnej, która czasami podchodziła do nas i mówiła: „Za duże kroki. Za duże kroki stawiasz!”.

FOT. MEMY.PL, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl 818f3ad50a

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 IDA + ZEN =	3 MILA + TAN =	5 NIKE + ZIMA =
2 GAR + SET =	4 PIZA + REK =	6 JULA + OWCE =

ROZWIĄZANIA: ZDANIE, AGREST, LAMINAT, PIEKARZ, ZIEMNIAK, EWOLUCJA



Aby język giętki...

ADAM MICHNIK O SOBIE
Nie wolno bać się być w mniejszości. Trzymać się swoich wyborów także wtedy, kiedy przegrywają, jeśli jesteś przekonany, że są słuszne.

KRYSTYNA JANDA O INTELIGENCIE
Zostaje sam, wyśmiewany, pogardzany i marginalizowany.

WILHELM SASNAL O AUTORYTETACH
Trendy, mody i wartości coraz częściej wyznaczają miernoty.

PETE HEGSETH O WOJNIE W AFGANISTANIE
W armii żartowano, że skrót nazwy międzynarodowych sił w Afganistanie – ISAF – oznaczał „I Saw Americans Fighting" (Widziałem, jak Amerykanie walczyli).

KAMILA URZĘDOWSKA O ROLI IZABELI ŁĘCKIEJ
Bardzo chciałam Łęcką uczłowieczyć, bo w powieści Prus zdecydowanie z nią nie sympatyzuje.

EWA WINNICKA O UPŁYWAJĄCYM CZASIE
Jest najcenniejszą walutą. Nie da się go odzyskać ani odpracować. To nie znaczy, że przestałam go marnować.

RAFAŁ STEC O RYSZARDZIE CZARNECKIM
Potrafi wyniuchać każdą kamerę, przed którą wypowie się na dowolny temat.

MAŁGORZATA OSTROWSKA O GARDEROBIE
Od zawsze miałam mało mieszczańskie gusta, wciąż lubię punkową, prowokacyjną estetykę.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 818f3ad50a



Bertha Wegmann, Lato



Leopold Löffler, Dziewczynka z kanarkiem

Utracone / Odzyskane

Oblicza kobiet

Dziesiąta odsłona cyklu „Utracone / Odzyskane" prezentuje dzieła sztuki odzyskane dzięki działaniom restytucyjnym Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wystawa poświęcona jest wizerunkom kobiet w sztuce od XVII do XX w. Wśród eksponatów znalazły się „Madonna z Dzieciątkiem" odnaleziona na aukcji w Tokio, „Dama z wachlarzem", która powróciła do kolekcji Pałacu w Wilanowie, czy „Dziewczynka z kanarkiem" Leopolda Löfflera. Dzieła uznawane za bezpowrotnie utracone dziś ponownie są częścią polskiego dziedzictwa kulturowego. Prace pochodzą ze zbiorów najważniejszych polskich muzeów i instytucji kultury.

Galeria Kordegarda – NCK
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 15/17
do 6 grudnia



Alessandro Turchi, Madonna z Dzieciątkiem



Leon Wyczółkowski, Wiejska dziewczyna w żółtej chuście (Góralka)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 818f3ad50a

MEDECINS SANS FRONTIERES
LEKARZE BEZ GRANIC

NIEDOŻYWIENIE DA SIĘ WYLECZYĆ.



Zdjęcie: Mohamed Abdirahman/MSF

Halima ze swoim synkiem na szpitalnym oddziale leczenia niedożywienia Szpitala Regionalnego Mudug w Somalii, który wspierają Lekarze bez Granic. Chłopiec otrzymał leczenie. – Kiedy go tu przywiozłam, nie sądziłam, że przeżyje. Teraz jest zdrowy i pełen energii – mówi Halima. Somalia, wrzesień 2026

Globalnie niemal 50% zgonów dzieci do 5. roku życia jest związanych z niedożywieniem. Lekarze bez Granic leczą niedożywienie w miejscach dotkniętych kryzysem humanitarnym, takich jak Somalia, Sudan czy Afganistan.

180 zł to całkowity koszt leczenia dziecka z ciężkim ostrym niedożywieniem. Kuracja trwa 56 dni.

POMÓŻ. WPŁAĆ DAROWIZNĘ.

lekarze-bez-granic.pl

eprasa.pl 818f3ad50a

DZIECIŃSTWO BEZ PRZEMOCY

dziecinstwobezprzemocy.pl

WSPIERAJ DZIECIŃSTWO MOCY BEZ PRZEMOCY



ORGANIZACJA:

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

WSPÓŁORGANIZACJA:

Krajowa Koalicja na Rzecz Ochrony Dzieci

PARTNER GŁÓWNY:

Rzecznik Praw Dziecka

PARTNERZY FINANSOWI:

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

LIDL

Sfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Kampania objęta została patronatami honorowymi: Marszałka Sejmu RP Włodzimierza Czarzastego, Marszałkini Senatu RP Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, Ministry Edukacji Narodowej Barbary Nowackiej, Ministra Spraw Zagranicznych Radosława Sikorskiego, Sekretarz Stanu w KPRM Katarzyny Kotuli

eprasa.pl 818f3ad50a